RAY BRADBURY, JERZY SOSNOWSKI, KACPER – KOLEGA VASCO DA GAMY

PRZEKRÓJ

Numer 16/2965 21 kwietnia 2002 r.

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)

Precz, Szatanie! – egzorcyści dzisiaj

O skąpych Szkotach, niemądrych blondynkach i innych takich stereotypowych grupotach

ŻOŁNIERZ POLSATU

Świat według Okiła Khamidowa

ISSN 0033-2488 16

9 770033 248021

Indeks 371424 • Y-9013-C

nowy numer już w sprzedaży

DOM&WNĘTRZE

NR 5(80)/2002 MAJ CENA 7,90 zł (w tym 7% VAT)

TEMAT NUMERU
MAŁA KUCHNIA
jak ją urządzić – radzą architekci wnętrz
specjalne wyposażenie – przegląd sprzętu i mebli
trzy wzorcowe aranżacje

PREZENTY ŚLUBNE
w dobrym guście i na każdą kieszeń

300 METRÓW W POZIOMIE
idealny dom blisko natury

ZUCHWAŁE TARASY
w czerwieni i w bieli

MIESZKANIE Z LUKSFERAMI
więcej światła i przestrzeni

PREZENT!
W MAJOWYM NUMERZE
SPECJALNIE DLA CZYTELNIKÓW
MIESIĘCZNIKA „DOM&WNĘTRZE”
ZABAWNY OTWIERACZ
W 4 KOLORACH

TEMAT NUMERU: MAŁE KUCHNIE

MIESZKANIE Z LUKSFERAMI

WYBÓR PREZENTÓW ŚLUBNYCH

DOM BLISKO NATURY

NUMER 16/2965
21.04.2002

FOT. TOMASZ JÓŹNY

4 **Ilustrowany „Przekrój” tygodnia**
9 **Rysunek TOMASZA BRODY**
10 **Śmierć w cenie** MACIEJ NAWARSKI
11 **Z tygodnia na tydzień** DARIUSZ ROSIAK
12 **Strzały przy moście niezgody**
16 **OKŁADKA Gdzie Polsat nie może, tam Tadżyka pośle**
– z OKIŁEM KHAMIDOWEM rozmawia MAX SUSKI
24 **Lekarze dusz opętanych**
MAŁGORZATA FIEJDASZ
29 **List z Berlina Kwiaty dla Róży**
PIOTR BURAS
30 **Ostatni skok** TADEUSZ JAGODZIŃSKI
34 **Nauka Nie spłaszczaj blondynki**
OLGA WOŹNIAK
36 **Kacper Odkrywca**
WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI
41 **Czerwoni Khmerzy islamu**
MICHAŁ WÓJCIK
42 STEFANIA GRODZIEŃSKA, **Polska Angola**, MAŁGORZATA BARANOWSKA, MORDILLO
44 **Wystawa Szwedzi w Warszawie**
MICHAŁ WÓJCIK
45 **Muzyka Cool Kids of Death – nienawiść w czasach popkultury**
PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ
50 **Kosmiczny architekt**
– o RAYU BRADBURYM pisze RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
56 **Muzyka** O nowej płycie NEILA YOUNGA pisze FILIP ŁOBODZIŃSKI
58 **Film Trójkąt to za mało**
BARTOSZ ŻURAWIECKI
59 **Teatr Leszek Miller zmarnowany**
ŁUKASZ DREWNIAK
60 **Książki Poeta i matma** FILIP ŁOBODZIŃSKI
61 **Okienko z wierszem Po prostu**
ANNA PIWKOWSKA
62 **Literatura** JERZY SOSNOWSKI
Mała futrzasta śmierć
66 **Kulinarne PIÓRO Polski**
67 **HOFF**
68 **Kici kici,** JERZY BRALCZYK
69 MAREK KONDRAT w rozmowie z MARIĄ CZUBASZEK, WILHELM SASNAL
70 **Piątka klepka,** RAFAŁ BRYNDAL, **Senniczek, Wytęż wzrok**
72 **Krzyżówka, zagadka i jolka**
74 **Co Pan na to, Panie LEM?**
76 **Rozmaitości**

FOT. THE BRIDGEMAN ART LIBRARY

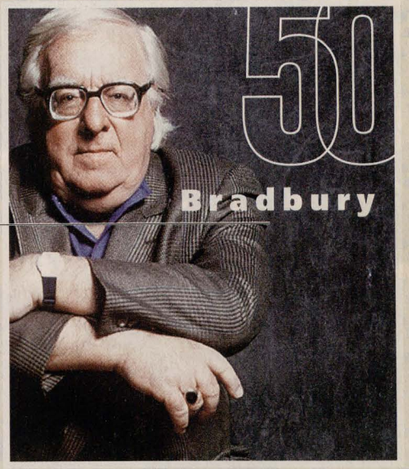

Już po raz 25. motocykliści sprawdzili swoje sprinterskie umiejętności na torze wyścigowym we francuskim Le Mans. Właśnie w taki nietypowy sposób zaczynają się tamtej zawody. Bieg do motocykla to najbardziej spektakularny moment imprezy. Potem jest już tylko nuda – jazda w kółko przez 24 godziny ze średnią prędkością 150 km/h.

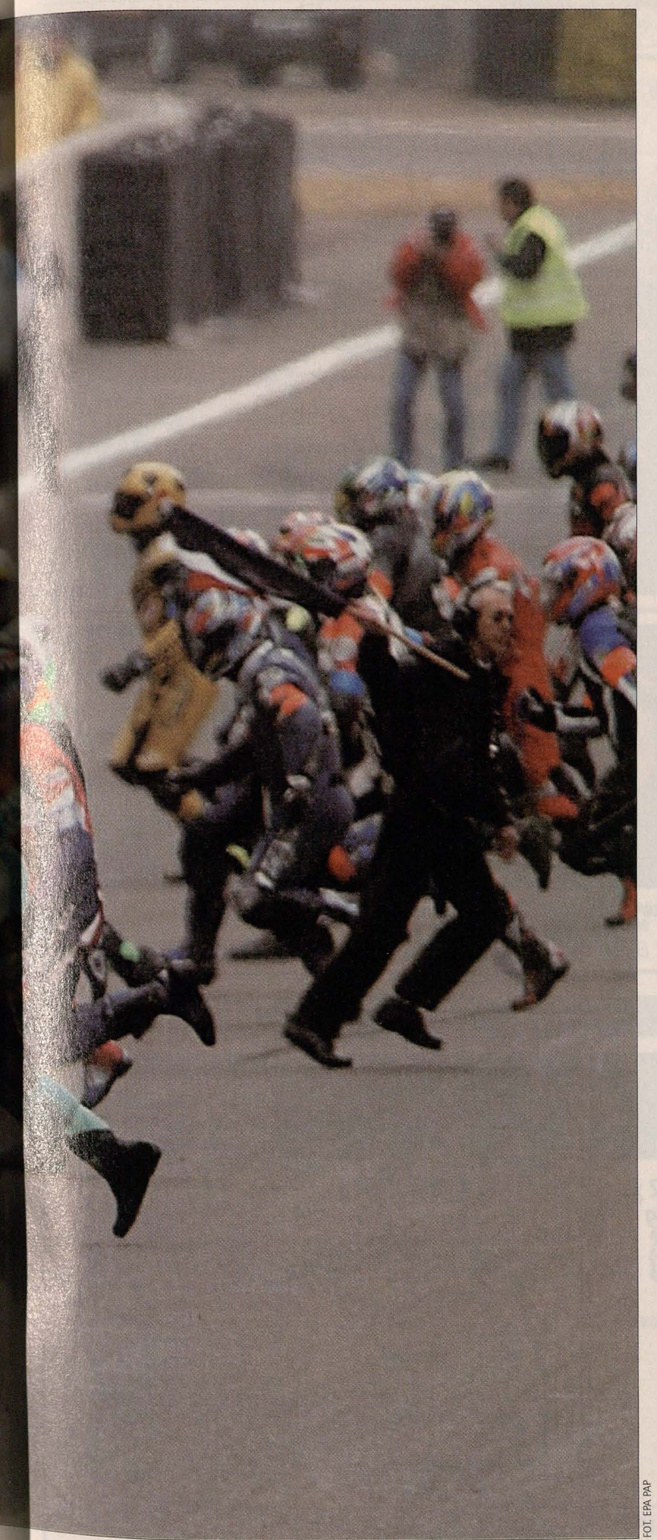

FOT. EPA/ PAP

FOT. STEFAN KRASZEWSKI / PAP

Gdański Neptun łaknął mycia jak kania dżdżu. Dzięki wiosennej kosmetyce z lica boga morza zniknęły ślady ptasiego złego wychowania.

FOT. MARIAN ZUBRZYCKI / RZECZPOSPOLITA

Prokuratura zajęła się łódzką strzelnicą, na której można było postrzelać do takiej tarczy. Właścicielowi grozi kara za „znieważanie konstytucyjnych władz państwa".

FOT. AP

Czterodniowy śmigus-dyngus rozpoczął w sobotę buddyjski nowy rok w krajach Azji Południowo-Wschodniej. W Tajlandii policjantom po raz pierwszy w historii zakazano udziału w zabawie. W przeszłości zdarzało się, że zaatakowani z armatek wodnych lub pistoletów na wodę funkcjonariusze sięgali po broń służbową.

MYŚL TYGODNIA

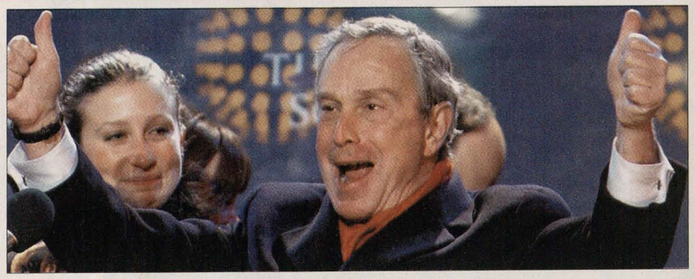

FOT. EPA/ PAP / FORUM

Jasne, że paliłem marihuanę. I smakowała mi.

Michael Bloomberg, magnat prasowy, nowy burmistrz Nowego Jorku

„POLITYCZNE GRAFFITI" — ANDRZEJ MLECZKO.

WIOSNA

czeczot PRZEKRÓJ

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY O...

...o tym, o czym w tym tygodniu nie piszemy.

PRZEKRÓJ Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor **MARIAN EILE**

REDAKTOR NACZELNY: Roman Kurkiewicz
Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO: Jacek Kowalczyk
ASYSTENTKA REDAKTORÓW NACZELNYCH: Maria Świetlik
SEKRETARZE REDAKCJI: Magda Bauman (szef), Ewa Biała, Magda Gędziorowska
DZIAŁY: KULTURA: Marcin Baran (szef), Bogna Świątkowska (z-ca), Paweł Dunin-Wąsowicz, Joanna Gromek Illg, Leszek Mazan, Tadeusz Nyczek, Magda Sendecka, Marcin Sendecki, Justyna Sobolewska
WYDARZENIA: Dariusz Rosiak (szef), Małgorzata Fiejdasz, Filip Łobodziński, Wojciech Maziarski, Jakub Mielnik, Magda Papuzińska, Wawrzyniec Smoczyński, Kazimierz Targosz, Anna Tarnowska, Michał Wójcik
REPORTAŻ: Monika Piątkowska, Leszek Talko (szefowie), Marcel Andino Velez
NAUKA: Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak
ROZRYWKA: Paweł Sito (szef)
PRACOWNIA GRAFICZNA: Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Łukasz Dziedzic, Dominika & Dominika
FOTOEDYCJA: Agnieszka Steinhagen (szef), Anna Majewska, Ewa Morgunow, Marek Szczepański, Bogdan Krężel (fotograf)
KOREKTA: Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Tercjak
ARCHIWUM: Wanda Lacrampe
PRODUKCJA: Agencja Poligraf – Maciej Kowalski
REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor
ADRES REDAKCJI: ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 627 23 06 do 08, faks (0-prefiks-22) 627 23 05 e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl
WYDAWCA: Edipresse Polska SA, ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 628 05 29, faks (0-prefiks-22) 621 19 76
PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała
WICEPREZESI: Krystyna Kaszuba, Ewa Redel
DYREKTOR FINANSÓW: Paweł Satkowski
DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH: Agnieszka Smit
DYREKTOR WYDAWNICZY: Ewa Niezbecka
DYREKTOR MARKETINGU: Izabela Bochenek
DZIAŁ DYSTRYBUCJI: tel. (0-prefiks-22) 628 05 29 w. 233, Grzegorz Barej – dyrektor
DZIAŁ PROMOCJI: Marcin Fedisz (kierownik), Agata Obrębska
BIURO REKLAMY: Agata Eigner – dyrektor, Maciej Stożek, Bartek Kluczny, Adriana Olczak, Marzena Kiedacz (Kraków) Warszawa, ul. Wiejska 12, tel./faks (0-prefiks-22) 627 23 09, 626 96 17
DRUK: Winkowski Sp. z o.o., ul. Okrzei 5, 64-920 Piła, tel. (0-prefiks-67) 210 84 00
PRENUMERATA:
u Wydawcy Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska, tel./faks (0-prefiks-22) 625 08 20, tel. (0-prefiks-22) 628 05 29 w. 210
przez pocztę przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe na terenie całego kraju
przez Ruch SA informacja tel. (0-prefiks-22) 532 87 31, faks (0-prefiks-22) 532 87 32

Zabroniona jest bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych „Przekroju" po cenie niższej od ceny detalicznej ustalonej przez wydawcę. Sprzedaż po cenie innej niż wydrukowana jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością prawną.
Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

Nadzwyczajny Zjazd Stowarzyszenia Filmowców Polskich był porażką ideowo-moralną środowiska

Filmowców zjazd żebraczy

O przyszłości polskiego kina nie dyskutowali z ministrem Celińskim młodzi reżyserzy. Ani nominowany do Oscara Sławomir Fabicki, ani Łukasz Barczyk, ani Małgorzata Szumowska. No cóż, formalnie nie są członkami Stowarzyszenia Filmowców Polskich

Agnieszka Holland próbowała rozpocząć poważną debatę podczas Nadzwyczajnego Zjazdu SFP w ostatnią sobotę (13.04.). Niestety, większość sali nie chciała rachunku sumienia. Natomiast chętnie obarczono winą wszystkich dookoła. Przede wszystkim kolejne rządy, że nie dbają o kulturę. A telewizje, że nie wykonują wobec kina obowiązków zapisanych w koncesjach, co kazano nawet sprawdzić zarządowi. To wniosek zabawny. Kiedy podejrzewamy, że instytucje nie wykonują swoich statutowych zadań, to zwracamy się do NIK o wdrożenie kontroli. Jeśli łamią one prawo, wtedy składamy doniesienie do prokuratury o popełnieniu przestępstwa. Jednak aby wystąpić tak zdecydowanie, trzeba mieć pewność własnej racji. Filmowcom tej pewności zabrakło. Widocznie podświadomie czują, że niewiele mają do zaoferowania.

Czy pora mówić o ideach, kiedy trzeba ratować substancję materialną kina? Stowarzyszenie nie prowadziło rozmów o ideach także wtedy, gdy były pieniądze. Widocznie dla tego środowiska jest to kwestia uboczna. Chodzi mu tylko o pieniądze. Kiedy ktoś nie mówi wyraźnie, na co chce je wydać, to wiadomo, że potrzebuje po prostu na życie. Innymi słowy, jest żebrakiem.

Filmowcy zgromadzeni w sali warszawskiego kina Kultura stanowili przejmujący widok. Siwe włosy i brody, trochę ludzi w średnim wieku, dwóch młodych pod kaloryferem, na lewo od prezydium. I z nimi rozmawiać o nowej epoce? Większość chce tylko spokojnie dożyć swego wieku. Jest to powód konfliktu, który zżera środowisko od ponad sześciu lat. Tyle czasu trwa wewnętrzny bój o nową ustawę o kinematografii.

Krajowa Izba Producentów Audiowizualnych zamierza wyrównać pole gry między studiami państwowymi i prywatnymi. Chodzi o to, że studia państwowe nie muszą zwracać państwowej dotacji w wypadku sukcesu kasowego filmu, a prywatne muszą. Zupełnie niedawno KIPA przygotowała projekt ustawy o utworzeniu fundacji Polskiego Instytutu Filmowego, który przejmie majątek kinematografii. Wydaje się, że uczciwie i dobrze. W Polsce znów będzie ambitne kino, jakie mają Francuzi, Anglicy, Duńczycy itp. Ba! Ale to uderza w interesy kierowników i pracowników pięciu studiów państwowych, z których tylko trzy coś produkują. Ludzie ci zasilają się z tantiem producenckich od filmów powstałych w PRL oraz wspomnianymi, bezzwrotnymi dotacjami na filmy. Powstanie fundacji odbierze im dochody i posady. Tego układu pilnuje zarząd SFP ze stosownym autorytetem moralno-artystycznym na czele. Prezes stowarzyszenia Jacek Bromski jest ostatnio autorem dzieła pt. „Kariera Nikosia Dyzmy".

Kiedy już wydawało się, że KIPA przekonała ministra kultury Andrzeja Celińskiego do swojego projektu, stowarzyszenie filmowców zgłosiło kontrę i projekt utworzenia instytutu wrócił do punktu wyjścia. KIPA i SFP będą się bujać dalej. Tymczasem statek tonie...

Może by i utonął, gdyby nie minister. Celiński przygotował roztropny projekt reformy finansów kultury. W obecnej sytuacji gospodarczej jest to chyba jedyne realne wyjście z ciężkiej sytuacji. Niestety, minister ma problem natury psychicznej. Łatwo się obraża i sam lubi obrażać. Zupełnie niepotrzebnie. Na zjeździe pogniewał się o to, że filmowcy montują nacisk zagraniczny na polski rząd, by ratować kino. Tonący brzytwy się chwytają, trzeba ich zrozumieć. Rozładować sytuację żartem lub współczuciem: Kochani, czuję wasz ból i dlatego wyciągnę was z topieli.

Andrzej Wajda wyszedł z sali, gdy tylko Celiński rozpoczął przemówienie. To musi być dramat dla pana Andrzeja oglądać ruinę środowiska, któremu przewodził w czasach największej świetności. Bez jego filmów wszyscy bylibyśmy mniejsi. Myślę jednak, że wyznaczył nimi pułap aspiracji, który trzeba odzyskać.

Co robić? Poprzeć Celińskiego. Przekonać go, by arbitralnie rozstrzygnął spór na rzecz projektu ustawy producentów – po to jest ministrem. Utworzyć fundację Polskiego Instytutu Filmowego. Jak najszybciej zwołać Forum Młodego Kina, które odpowie politykom na proste pytanie: po co Polsce własne kino w czas odbudowy cywilizacyjnej kraju, zmiany ustroju, reformy mentalności – i kto ma je robić? A gdy już będzie to wiadomo, wystąpić do rządu o dotację z rezerwy budżetowej na ratowanie substancji kinematografii w najtrudniejszym okresie. Żałosny zjazd SFP zamknął etap związany z PRL. Nadszedł czas, by otworzyć nowy etap, etap wolnej Polski.

Widzę to w takiej kolejności: minister się rozluźnia, młodzi filmowcy przejmują pałeczkę w sztafecie pokoleń, zaczynają zbierać nagrody na festiwalach, a publiczność wykupuje bilety. Życie może być piękne!

KRZYSZTOF KŁOPOTOWSKI

REZOLUCJA STOWARZYSZENIA FILMOWCÓW POLSKICH

Do Sejmu, Senatu, Rządu i Prezydenta RP

Nadzwyczajny Zjazd Stowarzyszenia Filmowców Polskich w obliczu załamania się produkcji filmowej w Polsce i wobec perspektywy upadku kinematografii zwraca się z apelem do najwyższych władz państwowych o uważne rozpatrzenie wszystkich aspektów zaistniałej sytuacji.

Po raz pierwszy bowiem w całej naszej powojennej historii kino polskie znalazło się w sytuacji, która grozi całkowitym unicestwieniem szeroko rozumianej kultury filmowej – części kultury narodu.

Oszczędności budżetu państwa na kinematografii są pozorne, a dla kultury narodowej – zgubne. Załamanie się produkcji zniszczy infrastrukturę i rynek filmowy w sposób nieodwracalny. A przecież średnio 40 proc. widzów chodzi do kina na polskie filmy. Jeśli w przyszłym roku w polskich kinach nie będzie polskich filmów, to widzów tych stracimy.

Bez natychmiastowej odbudowy struktury finansowania kino polskie zginie.

Bez nowej ustawy o kinematografii kino polskie zginie.

Apelujemy o dotrzymanie unijnych standardów wspierania narodowej kinematografii.

Apelujemy o wprowadzenie ustawowego obowiązku koprodukowania polskich filmów przez nadawców telewizyjnych.

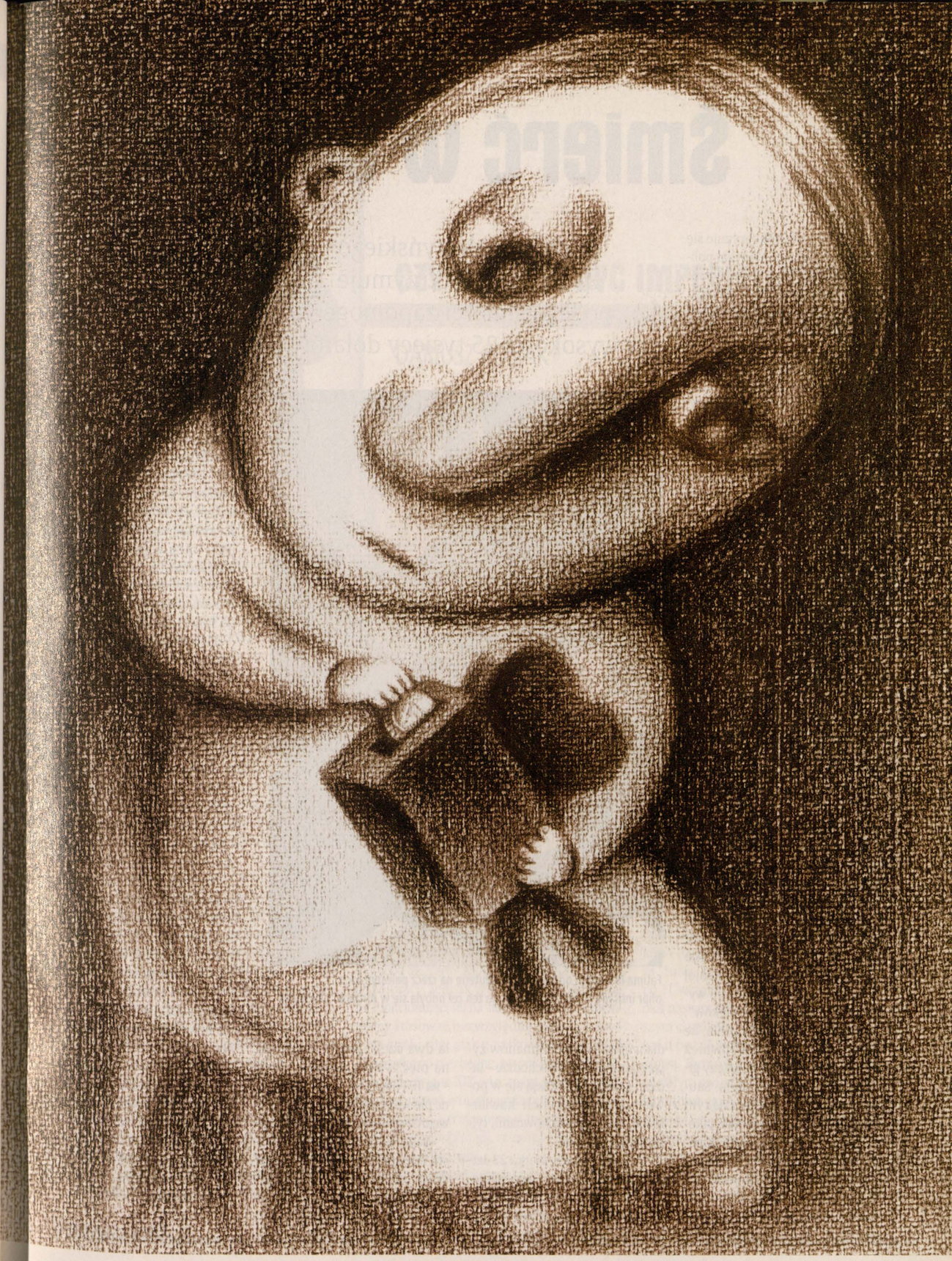

SPECJALNIE DLA „P" SYTUACJĘ POLSKIEJ KINEMATOGRAFII RYSUJE TOMASZ BRODA

Śmierć w cenie

Rodzina palestyńskiego zamachowca otrzymuje po jego śmierci zapomogę w wysokości 25 tysięcy dolarów

Świat arabski solidaryzuje się z Palestyńczykami nie tylko politycznie, lecz także finansowo. W ubiegłym tygodniu w najbogatszych państwach arabskich odbyły się ogólnokrajowe zbiórki pieniędzy na rzecz ofiar intifady. W Arabii Saudyjskiej ruszył miejscowy odpowiednik Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Telewizyjną zbiórkę, która rozpoczęła się 11 kwietnia, zainaugurował sam król Fahd. Podczas 11-godzinnej kwesty na konto pomocy dla Palestyny wpłynęło 55 milionów dolarów, z czego połowę podarował saudyjski miliarder książę Alwalid ibn Talal. Rodzina królewska wpłaciła pięć milionów, jedna z księżniczek podarowała swojego rolls-royce'a, a ludzie na ulicach w geście solidarności wrzucali do skarbonek pieniądze oraz biżuterię. Zbiórka w Zjednoczonych Emiratach Arabskich przyniosła 35 milionów dolarów, Kuwejt dał 7,5 miliona, a w Bahrajnie zebrano około 800 tysięcy.

Co dzieje się z tymi pieniędzmi? Saudyjskie datki rozdziela na miejscu prywatna organizacja humanitarna, którą zarządza sam minister spraw wewnętrznych Arabii Saudyjskiej książę Najef. Jak twierdzą Saudyjczycy, pieniądze zostaną przeznaczone na odbudowę infrastruktury w Autonomii Palestyńskiej i pomoc dla „Palestyńczyków będących ofiarami izraelskiego terroru i przemocy". Ale odkąd wśród odbiorców swojej pomocy Saudyjczycy zaczęli wymieniać „rodziny męczenników", pojawiły się przypuszczenia, że pieniądze mogą trafiać również do rodzin samobójców, którzy giną w zamachach w Izraelu. Saudyjczycy ostro zaprzeczają tym oskarżeniom. „Doniesienia, jakoby Arabia Saudyjska płaciła zamachowcom-samobójcom, są błędne i bezpodstawne" – stwierdziła w niedawnym oświadczeniu ambasada saudyjska w Waszyngtonie. Bo też dla nich – podobnie jak dla większości muzułmanów żyjących na Bliskim Wschodzie – ludzie, którzy wysadzają się w powietrze w izraelskich kawiarniach, nie są zamachowcami, tylko męczennikami.

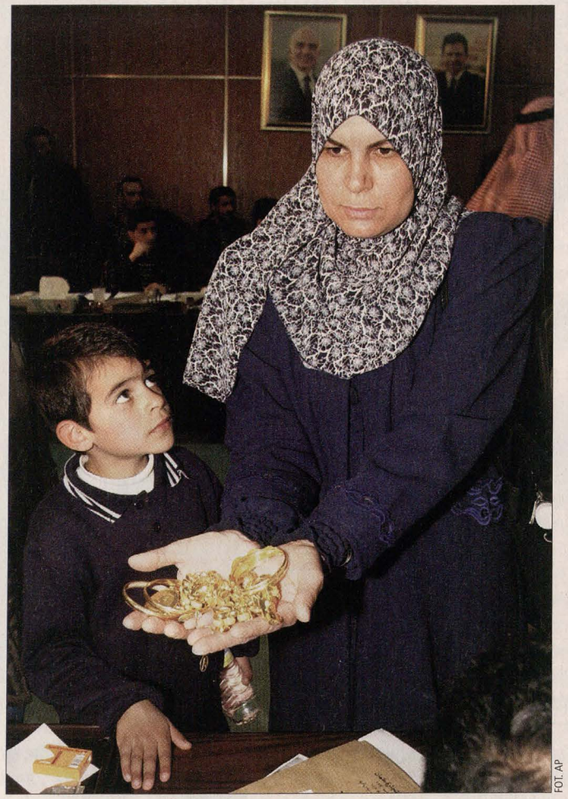

FOT. AP

Fatima Ramadan oddaje swoją biżuterię na rzecz palestyńskich ofiar intifady. Publiczna zbiórka na ten cel odbyła się w Jordanii 5 kwietnia

Dżamal Nasser, matka 23-letniego Palestyńczyka, który samochodem wyładowanym materiałami wybuchowymi próbował staranować izraelski autobus, dostała dwa czeki: jeden, saudyjski, na pięć tysięcy dolarów, drugi – na 10 tysięcy – z Iraku. Otrzymane pieniądze wystarczą jej na połowę małego mieszkania w Nablusie.

Saddam Hussajn od kilkunastu miesięcy otwarcie wspiera rodziny „męczenników". Od rozpoczęcia drugiej intifady w Autonomii Palestyńskiej działa irakijska fundacja dobroczynna, której działalność polega na wspieraniu rodzin zamachowców. W marcu Irakijczycy podwoili wysokość wypłacanych zapomóg. Rodzina zamachowca-samobójcy otrzymuje dziś 25 tysięcy dolarów, a krewni Palestyńczyka, który zginął w starciu z armią izraelską – 10 tysięcy.

Na wielu mieszkańcach Autonomii, gdzie od rozpoczęcia drugiego palestyńskiego powstania szaleje bieda i bezrobocie, taka suma z pewnością robi ogromne wrażenie. Ile warte jest życie, jeśli wybierając śmierć, można nie tylko zyskać chwałę męczennika, lecz także zapewnić dobrobyt udręczonej biedą rodzinie? Palestyńczycy twierdzą, że żaden z zamachowców nie poszedł na śmierć dla pieniędzy.

Co innego mówi Mahmud Safi, przywódca proirakijskiego Arabskiego Frontu Wyzwolenia w Palestynie. Twierdzi, że świadomość istnienia zapomóg ułatwia zamachowcom podjęcie ostatecznej decyzji. Niektórzy ludzie zatrzymują mnie na ulicy i mówią, że za 50 tysięcy dolarów zrobią to natychmiast – powiedział agencji AP Safi. – Chodzimy do każdej rodziny i dajemy jej czek. Mówimy im, że to dar od prezydenta Saddama i Iraku.

Rozmiary publicznej pomocy wspaniale świadczą o arabskiej solidarności i współczuciu dla palestyńskich ofiar. Są też wyraźnym dowodem powszechnego poparcia, jakim w krajach arabskich cieszy się intifada. Jak napisał znany saudyjski felietonista Nura Abdulaziz al-Cherejdżi, „nasz lud chce dżihadu w Palestynie". Ale jednorazowe, wysokie zapomogi dla rodzin zamachowców to już coś zupełnie innego niż bezinteresowna pomoc humanitarna czy nawet najostrzej sformułowane polityczne poparcie dla palestyńskiego powstania. To otwarte wspieranie terroryzmu.

MACIEJ NAWARSKI

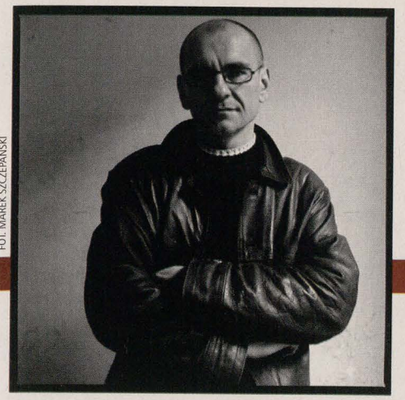

FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

CZY CHCEMY BYĆ IMPERIALISTAMI

DARIUSZ ROSIAK

Bezsilność, zgroza, strach. Fundamentaliści islamscy chcą wszystkich niewiernych wysłać do piekła, Amerykanie chcą wysłać fundamentalistów do wszystkich diabłów. Żydzi i Palestyńczycy wyrzynają się nawzajem. Europa nie wie, czego chce. A my żyjemy w Europie. Co robić?

Ogłoszony w ubiegłym tygodniu raport holenderskiego Instytutu Dokumentacji Wojennej obarcza ONZ i rząd Holandii współodpowiedzialnością za śmierć prawie ośmiu tysięcy muzułmanów w Srebrenicy w 1995 roku. „Holendrzy mieli mandat do pomocy muzułmanom, ale nie mieli woli, by nam pomóc" – mówi dziś Sabra Kulenowic, która straciła w dokonanej przez Serbów masakrze 28 członków rodziny. „Pragnienie przeżycia w tym piekle znaczyło dla Holendrów więcej niż los muzułmańskich mężczyzn" – piszą autorzy raportu. W Holandii wrze, nagle z szaf, w których panował idealny porządek, zaczynają wypadać trupy. Kraj liberalizmu, wolności i zdrowego rozsądku sam siebie wpisuje na listę podejrzanych o współudział w zbrodni.

Rany polskich policjantów w Mitrovicy również dla nas powinny być czytelnym znakiem. Nas – podobnie jak Holendrów, Brytyjczyków, Amerykanów i wszystkie inne narody, którym do niedawna wydawało się, że śmierć i bestialstwo są gdzie indziej – również dotyka zło tego świata. 11 września Osama ben Laden pozbawił nas złudzeń. Nie schowamy się za bezpieczne spory o wysokość inflacji, poziom bezrobocia, ceny leków. Ponosimy odpowiedzialność za Izrael i Palestyńczyków, za Kosowo, za Czeczenię, za Birmę. A zatem, co robić?

Może na początek spojrzeć prawdzie w oczy. Nie będzie to miłe i będzie bolało. Przed kilkoma dniami zadanie to podjął jeden z głównych doradców politycznych Tony'ego Blaira, Robert Cooper, brytyjski przedstawiciel na konferencji w sprawie przyszłości Afganistanu. Od dawna twierdzi on, że bezczynność wobec terroryzmu i konfliktów na całym świecie jest błędem ze strony Zachodu. To oczywiście nic nowego, bowiem w tej chwili niemal wszyscy ludzie dobrej woli są tego zdania. Robert Cooper różni się od innych tym, że proponuje rozwiązanie. Ma nim być neoimperializm.

W wydanym pod koniec marca manifeście politycznym z przedmową Tony'ego Blaira Cooper pisze: „Potrzebny jest nam nowy imperializm, który będzie do przyjęcia dla świata praw człowieka i kosmopolitycznych wartości. (...) Imperializm, którego celem – jak każdego imperializmu – jest niesienie porządku w miejsce chaosu, i który dzisiaj opierać się ma na zasadzie dobrowolności".

Dla Coopera najlepszym przykładem nowego imperializmu jest Unia Europejska – „imperium kooperatywne", grupa zrzeszonych na zasadzie dobrowolności państw, które za cenę ograniczenia własnej autonomii godzą się być częścią większej całości. Żadne z państw nie może w niej mieć roli dominującej. „Podobnie jak Rzym nowa wspólnota będzie dostarczała swoim obywatelom niektóre prawa i monety. Czasem zbuduje drogę" – pisze Robert Cooper.

A co, jeśli nasze „imperium kooperatywne" zostanie zagrożone? Musimy zaakceptować zasadę podwójnej miary – pisze Cooper. „Między sobą działamy na zasadach prawa i otwartej współpracy. Jednak w stosunkach z państwami funkcjonującymi na starych zasadach powinniśmy stosować bezwzględne metody z dawnych epok: siłę, atak z zaskoczenia, podstęp – wszystko co niezbędne, by pokonać tych, którzy ciągle żyją w XIX-wiecznym świecie, gdzie każde państwo istniało wyłącznie dla siebie. Między sobą utrzymujemy prawo, ale jeśli wchodzimy do dżungli, musimy również stosować prawa dżungli".

To twarde, prowokujące słowa. Nic dziwnego, że Robert Cooper jest od tygodnia ulubionym chłopcem do bicia tradycyjnej części Partii Pracy. Jakże to? Inaczej mielibyśmy traktować Somalię albo Irak niż na przykład Francję albo Japonię? Toż to zwykła dyskryminacja, rasizm, neokolonializm, imperializm w czystej formie. Liberalny imperializm? Jak zauważył jeden z zagorzałych krytyków Coopera, brzmi to podobnie jak „oświecone niewolnictwo". Co gorsza, oburzeni krytycy autora boją się, że przez jego tekst przemawia sam Tony Blair, a słowa doradcy są kolejnym elementem Blairowskiej krucjaty w celu stworzenia – ręka w rękę z USA – nowego porządku światowego.

A jednak – jakkolwiek niepoprawnie politycznie brzmiałaby wizja nowego imperializmu – nie zasługuje ona na karykaturalną krytykę, ale na poważną refleksję. Po pierwsze, imperializm globalnej gospodarki jest faktem i nikomu, kto się na niego obrażał, nie wyszło to na zdrowie. Narzędzia tego imperializmu: MFW, Bank Światowy, na zasadzie dobrowolności pomagają różnym krajom zbudować sprawne gospodarki. Można się oczywiście nie włączać – na własne ryzyko i własny koszt.

Drugim typem nowego imperializmu jest coś, co Cooper nazywa „imperializmem sąsiadów". Bałkany, gdzie interwencja Europejczyków i Amerykanów pozwoliła zakończyć rzeź, są tutaj najlepszym przykładem. Jednak po 11 września Osama ben Laden dowiódł, że dziś naszym sąsiadem jest cały świat. Irak w dalszym ciągu morduje Kurdów i najpóźniej za kilka lat będzie w stanie wyprodukować bombę jądrową. Terroryści wszelkiej maści organizują się na całym świecie. Zbrodnicze mafie i międzynarodowe gangi sieją spustoszenie w krajach, gdzie prawo Zachodu nie dociera. Możemy – jak Holendrzy przed siedmiu laty w Srebrenicy – przyglądać się temu. Potem napiszemy raport, w którym sami siebie skrytykujemy. Jeśli wystarczy nam czasu. ■

Kosowska Mitrovica, 8 kwietnia. Policjanci z sił ONZ kryją się przed strzałami serbskich demonstrantów

Strzały przy moście niezgody

FOT. AP

Bóg wysoko,
dom daleko.
Baza polsko-ukraińskiego
batalionu KFOR
w Kosowie

FOT. WOJTEK STEIN / REPORTER

Poznaliśmy tylko polską wersję zeszłotygodniowych zajść w kosowskiej Mitrovicy, gdzie rany odniosło 15 polskich policjantów. Być może relacje Serbów nie odpowiadają prawdzie, ale wypada je zacytować

Po starciu polskich policjantów z Serbami w Mitrovicy 8 kwietnia komentarz w naszych mediach był jednoznaczny: policjanci bohatersko próbowali rozdzielać zwaśnione strony i – jak oznajmił premier Miller – Polska jest z nich dumna. Wizytę premiera u policjantów rannych w starciu w Kosowie pokazała telewizja.

Telewizja poinformowała też, co się wydarzyło: policjantów w czasie rozdzielania Serbów i Albańczyków koło mostu w Mitrovicy (często dochodzi tu do starć obu zwaśnionych grup) zaatakowano granatami. Potem Serbowie zaczęli do nich strzelać. Gdyby nie kamizelki kuloodporne funkcjonariusze być może zginęliby. A tak, na szczęście, zdecydowaną większość odłamków francuscy lekarze wyciągają im z pośladków. „Mogę siedzieć tylko na jednej stronie" – bagatelizował obrażenia dwa dni po zajściach Ernest Szczepanik, policjant z Częstochowy.

Serbowie zupełnie inaczej opisują zajścia. Ich zdaniem było tak: Amerykanie zatrzymali Slavoljuba Jovicia, jednego ze „strażników mostu" (samozwańczych serbskich milicjantów zazwyczaj stacjonujących na mostach na rzece Ibar). Po aresztowaniu Jovicia oburzeni Serbowie wylegli na ulicę, a polscy funkcjonariusze tłumili demonstrację. Bili, i to solidnie – twierdzi brat zatrzymanego Nebojsza Jovič. Powiedział on „Rzeczpospolitej", że Polacy użyli broni wobec manifestantów. Padły strzały z broni długiej, gumowymi pociskami. – Strzelał do mnie polski policjant, nie wierzyłem, że to zrobi – mówił Nebojsza dziennikarzom radia B92.

Sam Slavoljub, przez którego miały wybuchnąć zamieszki, jest ciężko pobity, bo „bito go na oślep, po całym ciele" – dodaje brat zatrzymanego. Serbowie po poniedziałkowych zajściach mówili dziennikarzom, że międzynarodowa policja i albańscy ekstremiści występują już razem. „Chcą nas zastraszyć i zmusić do ucieczki" – mówił Marko Jaksic, poseł do kosowskiego parlamentu.

Tak przedstawiają zajścia Serbowie. Tadeusz Iwiński, doradca premiera ds. międzynarodowych, który razem z Leszkiem Millerem odwiedził rannych policjantów w Kosowie, twierdzi, że było inaczej. – To Polacy przyszli na pomoc policjantom francuskim – powiedział „Przekrojowi". – To nasi zostali zaatakowani i to nasi nie pozwolili, aby sytuacja wymknęła się spod kontroli. A poza tym, jaka była alternatywa wobec agresji Serbów?

Następnego dnia po zajściach w Mitrovicy nadal trwały manifestacje, o których polskie media już nie informowały. Nic nie zapowiada, aby w najbliższym czasie zapanował tam spokój. Może więc być więcej rannych. Jeżeli serbskim nacjonalistom uda się przekonać serbską ludność Kosowa, że Polacy stanęli w sporze po jednej ze stron, może być bardzo gorąco.

M. W.

Walczy „Barem” z „Big Brotherem”, „Światem według Kiepskich” z całym światem konkurencyjnych telewizji. Mówi o sobie – żołnierz Polsatu. Wrocławianin, choć z Tadżykistanu

Z OKIŁEM KHAMIDOWEM
ROZMAWIA MAX SUSKI

FOT. TOMASZ KUZNY

Gdzie Polsat nie może, tam Tadżyka pośle

Okił o „Kiepskich": „W Polsce jest moda na robienie ambitnych filmów, a ja uważam, że człowiek powinien wszystkiego spróbować"

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE OKIŁA KHAMIDOWA (2)

MAX SUSKI: Reżyseruje Pan teleturniej „Życiowa szansa", *reality show* „Bar", ale przede wszystkim serial komediowy „Świat według Kiepskich". A pochodzi Pan z Tadżykistanu. Czy Tadżycy i Polacy mają podobne poczucie humoru?

OKIŁ KHAMIDOW: Śmieją się z tych samych rzeczy! Oczywiście, niektóre odcinki „Kiepskich" byłyby dla Tadżyków niezrozumiałe, ale tylko te specyficznie polskie. Często zdarza mi się opowiadać tadżyckie czy rosyjskie dowcipy, zmieniam tylko Rosjanina na Polaka i wszystko pasuje. A najzabawniejsze jest to, że te dowcipy ktoś mi później opowiada jako tutejsze.

Na przykład...?

– Opowiedziałem kiedyś historię, autentyczną, o grupie moich dawnych kumpli z Duszanbe, którzy w Niemczech zarabiali pieniądze na udawaniu złodziei. To znaczy, udawali, że coś zwijają pod kurtkę, dawali się złapać ochronie i przeszukać, a potem domagali się odszkodowania za straty moralne. W każdym sklepie dostawali 30 marek, a obskakiwali ich po 10 dziennie. Opowiedziałem komuś tę historię, a po paru tygodniach usłyszałem, jak to Polak potrafi sobie radzić na Zachodzie...

Pan robił podobne dowcipy?

– Non stop. W młodości, kolegom, nauczycielom, chłopakom w wojsku...

Podkładał Pan pinezki na krzesło?

– To też. W szkole uwielbialiśmy robić kawały, zwłaszcza młodym praktykantkom. Tym bardziej że ja często przychodziłem do szkoły nieprzygotowany. Umawiałem się z kumplami, że gdy zostanę poproszony do odpowiedzi, to robimy trzęsienie ziemi. W Tadżykistanie takich małych trzęsień jest w roku bardzo dużo i ze względów bezpieczeństwa nauczyciele muszą wyprowadzać klasę na boisko, aż ziemia się uspokoi.

> Nie chciałem być ministrem kultury, więc zaproponowali mi szefostwo wytwórni filmowej. Też nie chciałem

No i kiedy byłem wzywany do odpowiedzi, to wszyscy jednocześnie zaczynali trząść stołami i krzyczeć: „Trzęsienie ziemi!". Udawało się w ten sposób urwać ze 20 minut lekcji.

A jaki najlepszy numer Pan wykręcił?

– Chyba koledze z wojska. Przez pół roku pisałem do niego listy w imieniu nieistniejącej dziewczyny. Umiem dobrze udawać kobiecy charakter pisma, a listy wysyłała mi znajoma, tak żeby nawet stempel na kopercie się zgadzał. Ponieważ on mi dużo o sobie opowiadał, to sporo o nim wiedziałem i listy były bardzo wiarygodne. Udawałem koleżankę jego prawdziwej dziewczyny; pisałem, że go kiedyś tam zobaczyłam i się zakochałam. Pisałem, że śni mi się po nocach, że wyobrażam sobie, jak się z nim całuję. Wie pan, jak takie listy mogą podziałać na żołnierza. Kiedyś poprosiłem w liście, żeby niby w dniu moich urodzin wyszedł o północy na zewnątrz i mówił do księżyca oraz że ja u siebie w mieście też będę mówiła i tak przez kosmos odbędzie się nasze pierwsze spotkanie. Uprzedziłem wszystkich kolegów w plutonie, tak ze sto osób. Wszyscy patrzyli, jak ten wyszedł w majtkach, zapalił papierosa i mówi „kocham cię" do księżyca. Wszystko działało, dopóki nie pojechał tam na urlop. Poszedł do tej mojej znajomej, dostał od niej wszystkie swoje listy i zdjęcie tej niby zakochanej dziewczyny – a na nim byłem ja w chustce na głowie. Ale się obraził! Przez tydzień ze mną nie rozmawiał, ale w końcu darował.

Nie wiedziałem, że w radzieckim wojsku może być tak wesoło...

– I nie było. Ja poszedłem do służby zasadniczej, bo szkoła filmowa – nawet ta moskiewska – nie zwalniała z wojska. Jedyna ulga to ta, że spędziłem w armii 18 miesięcy zamiast dwóch lat.

Tbilisi, rok 1996. Okił Khamidow w trakcie kręcenia filmu o Polakach żyjących w Gruzji

Pochodzi Pan z inteligenckiej rodziny. Pana ojciec był dyrektorem wytwórni filmowej w Duszanbe, a mama wykładowcą na uniwersytecie...

– Tak, ale częściowo jestem dzieckiem ulicy. Nie to, żeby ulica mnie wychowała, wychowali mnie rodzice, ale ulica bardzo dużo dała. Spędzałem dużo czasu w podzielonym środowisku – z dziećmi znajomych rodziców i rodzin z dzielnicy chuligańskiej. Mam kumpli, którzy potem siedzieli w więzieniu, nie odcinam się od nich, bo to też historia mojego życia. Pamiętam, jak kiedyś nauczycielka wskazała na mnie jako przykład chuligana, wtedy zdałem sobie sprawę, że może idę w złym kierunku. Ale inaczej ciężko byłoby w życiu. Kiedy 10 lat temu kręciłem reportaż z wojny domowej w Tadżykistanie, to gdyby nie ta ulica, mógłbym się załamać, spanikować.

W końcu nie został Pan recydywistą, ale filmowcem. Ojciec naciskał, żeby poszedł Pan w jego ślady?

– Wręcz przeciwnie! Ojciec nie chciał, żeby ktokolwiek z nas, a było nas trzech braci, trafił do branży. Najstarszy brat miał wręcz zakaz. Poszedł najpierw na chemię, ale po pierwszym roku zdał w tajemnicy egzaminy do szkoły filmowej. Drugi brat nie miał problemów, poszedł do szkoły teatralnej. Ja też nie miałem kłopotów, ale pamiętam taką historię: kiedy miałem sześć lat, ojciec zabrał mnie do pracy, żeby pokazać mi, jak wygląda wytwórnia filmowa. Spotkaliśmy tam szefa laboratorium. Wielki wujek w białym kitlu stanął nade mną i mówi: „Co, mały, ty też pewnie będziesz chciał tu kiedyś pracować? A wiesz, co to jest wytwórnia? To taki wielki basen wypełniony gównem, do którego cię wrzucają. Ty nie umiesz pływać i chcesz się wydostać, ale dookoła stoi 10 strażaków z wężami, którzy leją na ciebie jeszcze więcej tego gówna".

Mimo to w latach 80. poszedł Pan na studia do moskiewskiej filmówki. Jak Pana traktowano w tym mieście? Czuł Pan niechęć Rosjan do innych nacji?

– Za czasów ZSRR była nakazana przyjaźń narodów, i to działało. Nikt nie był lepszy ani gorszy. Czułem się bardzo dobrze. Teraz boję się po Moskwie chodzić. Milicja poluje na każdego o innym kolorze skóry i zamyka na trzy dni, jeśli złapie kogoś bez zameldowania. Mnie osobiście nie spotkało nic nieprzyjemnego, ale brata i wszystkich znajomych tak. Zresztą gdyby pan pojechał, to chociaż jest pan bardziej podobny do Rosjanina, to bez meldunku też pana zamkną. I za każdy dzień zamknięcia trzeba płacić. Paranoja.

Wspomniał Pan, że był na wojnie...

– Tak. Wtedy naprawdę bałem się o swoje życie. 10 lat temu w Tadżykistanie była regularna wojna domowa. Partia Demokratyczna i islamiści przejęli władzę i połączyli się przeciw komunistom, których pokazywali w telewizji jako morderców i zabójców. Ja dostałem od partyzantów komunistycznych propozycję, żeby robić zdjęcia na wojnie. Załatwili mi kamerę, sprzęt, auto, ochronę. Pamiętam, jak z oddziałem partyzantki komunistycznej dostaliśmy się w okrążenie islamistów. Ktoś strzelał do nas z moździerza. Stałem obok dowódcy czołgu i patrzyłem, jak operator działa nie może za nic trafić w ten bunkier. Pociski spadały coraz bliżej, jeszcze chwila i byłoby po nas. Zaproponowałem dowódcy, że może spróbuję. A dla mnie trafić z 500 metrów to tyle co nic, bo bardzo dobrze strzelałem. Nie wiem, czy kogoś zabiłem, czy nie, ale tamci przestali do nas strzelać. Pocieszam się, że może uciekli.

A zatem nieprzypadkowo Ferdek z „Kiepskich" jest czołgistą... Zna Pan „Czterech pancernych"?

– O tak! Widziałem wiele razy. Dzięki temu filmowi zresztą poznałem pierwsze słowo po polsku: „dobre". W Tadżykistanie każdy je zna.

To prawda, że proponowano Panu ministerstwo kultury w Tadżykistanie?

– Była taka nieoficjalna rozmowa, kiedy już było wiadomo, kto wygrał tę wojnę. Proponowano mi dowolną posadę w tej branży. Powiedziałem, że nie chcę ministra, wtedy zaproponowali, że mogę być szefem wytwórni filmowej. Też nie chciałem. Po co mi to? Wolę coś robić, zamiast siedzieć na fotelu. W Polsce też jestem wiceprezesem wrocławskiej firmy ATM produkującej programy dla Polsatu, ale nigdy mnie nie ma w gabinecie, a fotel stoi pusty.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE OKIŁA KHAMIDOWA

Komil, Okił i Nigina w ich wrocławskim domu

Jak Pan trafił do Polski?

– Pracowałem w Tadżykistanie przy filmie dokumentalnym dla ATM. Moje zdjęcia się spodobały i w roku 1994 dostałem zaproszenie do Polski, żeby kręcić inny film. Produkcję w końcu odwołano, a ja nie miałem pieniędzy, żeby wrócić z Polski do domu. Musiałem zarobić na bilet, pracowałem jako asystent operatora. Przez pół roku było ciężko, ale potem odłożyłem już na bilet i prezenty dla rodziny.

Więc dobrze Pan wie, co to znaczy nie mieć pieniędzy?

– W Tadżykistanie pensje są bardzo niskie. Moja mama zarabia 10 dolarów miesięcznie. To wystarcza w zasadzie tylko na bardzo skromne jedzenie. Moja żona tuż przed wyjazdem do Polski miała przed dyplomem praktyki wykładowe na uniwersytecie. Pamiętam, że dzwoniłem do niej w dniu wypłaty. Chwilę przed tym zapłaciliśmy z kolegą 13 złotych w barze wegetariańskim. Dzwonię z komórki. Pytam, co słychać, a Nigina mówi, że dostała wypłatę. Pytam ile, ona, że będę się śmiał. Przez cały miesiąc zarobiła trzy dolary, czyli około 12 złotych. Ja krzyczę: „Ile?!". Przecież ja przed chwilą zjadłem śniadanie za 13 złotych! Powiedziałem: „Nie pracuj, chętnie wyślę ci tę miesięczną pensję". No, ale praktyki musiała zaliczyć.

Teraz zarabia Pan dobrze?

– Chyba tak, nawet jak na tutejsze warunki. Tak, że muszę się targować w dół.

Jak to?

– Było tak parę razy. Prezes szanuje moją pracę, pyta mnie: „Ile chcesz za tę pracę?". A ja: „A ile ty dajesz?". Wtedy on wymienia kwotę, wiem, że zawyżoną, i głupio jest mi wziąć. Mówię: „Przesadziłeś". On tyle, ja tyle. Robi się taki targ, trochę śmieszny. Pamiętam, raz to było na oczach kierownika produkcji, patrzył na nas wielkimi oczami. Nie przywiązuję wagi do pieniędzy, nie uważam ich za sens życia. Ale bywają potrzebne, na przykład czasem trzeba dać łapówkę.

Za co?

– Choćby za przyspieszenie terminu ślubu, sto dolarów.

Kiedy już zarobiłem na bilet do Duszanbe, nie wiedziałem jeszcze, czy wrócę na stałe do Polski. Miałem zdecydować w ciągu trzech miesięcy i dać odpowiedź mojemu szefowi Tomkowi Kurzewskiemu. On powiedział mi, że jeśli chcę wrócić, to tylko z żoną...

Pewnie chciał, żeby się Pan ustatkował. Podobno prowadził Pan wtedy intensywne życie towarzyskie?

– W sensie kobiet?

Kobiet, alkoholu, hazardu...

– Nie upijałem się jakoś strasznie, ale nie unikałem imprez, chodziłem do kasyna. Zdarzało mi się poimprezować, ale było to raczej w normie. Przez pierwsze pół roku pobytu w Polsce nie miałem na chleb, byłem krysznowcem, więc nie szalałem. Dopiero jak zerwałem z Hare Kryszną, zacząłem jeść mięso, palić, pić drinki. Wracałem do tego, co inni nazywają normalnością.

Jest Pan hazardzistą?

– W sumie tak. Pewnie dlatego, że mi karta idzie i jestem do przodu. Najczęściej grałem w pokera. Czasem po dwa, trzy dni nie wstawaliśmy od stołu.

Odwiedza Pan kasyna?

– Rzadko, bo mam dużo pracy. W Polsce raz wygrałem siedem tysięcy w jednorękiego bandytę. Pierwszy raz byłem w kasynie, usiadłem do automatu i przegrałem 50 złotych. Zdenerwowało mnie to, rozmieniłem jeszcze sto. Za drugim pociągnięciem wyszła mi maksymalna stawka.

Tomek Kurzewski, prezes ATM, robił wszystko, żebym nie chodził do kasyna, dzwonił do szefa kasyna we Wrocławiu, próbował załatwić, żeby mnie tam nie wpuszczali. Bał się, że przegram, ale mi zawsze dobrze szło. Grałem w jednorękiego bandytę, ruletę, automaty, pokera.

A potem wysłał Pana do Tadżykistanu z zadaniem przywiezienia sobie żony. Poważnie wziął Pan sobie do serca to polecenie?

– Tak, pojechałem z myślą, że się ożenię, ustatkuję. Ale minęły trzy miesiące i nic. Bo cały czas pracowałem w Duszanbe przy kręceniu teledysków. Na dwa tygodnie przed powrotem do Polski rozmawiam z Tomkiem, a on znowu: „Bez żony nie wracaj".

Może bym wrócił i bez żony, ale kilka dni później spotkałem w barze wytwórni Niginę. Od razu wiedziałem, że to jest to. Uderzyła mnie jej niewinność, czystość, wydawała się taka ufna, łatwowierna. Zdziwiłem się, że jeszcze ktoś taki jest na świecie. Przedstawiłem się i zapytałem, czy pójdzie ze mną następnego dnia do urzędu wziąć ślub.

– Na początku pomyślała, że to żart, ale zgodziła się przyjść. Następnego dnia byłem trochę zestresowany, bo wiedziałem, że to idzie już na poważnie. Umówiliśmy się koło muzeum, więc weszliśmy do środka. Ona jest wykształcona, rozmawialiśmy o sztuce i takich tam pierdołach, każdy popisywał się swoim intelektem. Poszliśmy na spacer, potem na lody i tak dochodziliśmy coraz bliżej do urzędu stanu cywilnego. Przy składaniu podania Nigina bardzo się wahała, bo co na to rodzice itd. Ale powiedziałem, że przecież może się jeszcze później wycofać, a rodzicom coś tam wytłumaczymy. Ona jeszcze nie wiedziała, że zaraz będzie musiała pojechać ze mną do Polski! Poprosiłem w urzędzie o termin ślubu w ciągu tygodnia, bo nie mam czasu. A tam mówią, że jest kolejka i trzeba czekać dwa miesiące. No to dałem te sto dolarów i po tygodniu dostaliśmy ślub, od razu był też ten religijny, a zaraz potem wesele.

A po paru tygodniach spacerowaliśmy z Niginą po wrocławskim rynku. Ona do tej pory powtarza, że to wszystko wydaje jej się snem.

Polubił Pan to miejsce?

– Wrocław to jest moje miasto, chociaż mieszkam tu dopiero siedem lat. Czuję się wrocławianinem.

FOT. STUDIO 69

Sukces roku. Okił Khamidow i Kiepscy odbierają Telekamerę 2002 – nagrodę czytelników tygodnika „Teletydzień"

To prawda, że pracuje Pan po 20 godzin na dobę?

– Przed środą i sobotą pracuję nawet po 36 -38 godzin. Śpię dwie-trzy godziny. Teraz robię *reality show* „Bar". Gdybym spał w czasie, gdy uczestnicy programu nie śpią, straciłbym wiedzę o nich i nie wiedziałbym, jak pokierować montażem, jak ich sprowokować, jakie im wyznaczyć zadania.

> Praca to nałóg. Jedni lubią narkotyki, inni kobiety, a ja pracę. I muszę być najlepszy, bo nie lubię przegrywać

Cieszy Pana władza, którą ma Pan nad tymi ludźmi?

– Szczerze mówiąc, nie jestem najlepszym kandydatem do robienia *reality show*, bo na pewno nie będę im niszczył życia, żeby zdobyć sensacyjny materiał do pokazania. Doskonale zdaję sobie sprawę, że mam nad nimi władzę, ale staram się nie wykorzystywać jej ich kosztem.

Na przykład dzisiaj rozmawiałem z jednym z uczestników „Baru". Miał do mnie pretensje, że pokazałem go w złym świetle - tak mu powiedzieli ci, którzy widzieli program w TV. Obiecałem mu więc, że zaproszę go do montażowni i pokażę mu, co wyprawiał w ostatnich trzech dniach. A potem porówna to z materiałem wyemitowanym w TV. Gdybym pokazał wszystko, byłby skończony w oczach widzów. Tak naprawdę chronię tych ludzi przed nimi samymi, żebym nie musiał sobie pluć w brodę, że zniszczyłem komuś życie.

Po co Pan tak haruje?

– To jest nałóg. Jedni lubią narkotyki, inni kobiety, a ja pracę. Poza tym robię to dla ambicji. Nie lubię przegrywać. Muszę być najlepszy.

I co, jest Pan? Polsat wyznaczył Panu rolę głównego rozgrywającego w meczu z TVN-em. Na „Big Brothera" Pan odpowiedział „Dwoma światami", na „Milionerów" – „Życiową szansą", na „Wybacz mi" – „Zerwanymi więziami". Gdy tylko TVN wchodzi z jakimś programem, Pan zaraz robi jego klona.

– Dziennikarze, którzy twierdzą, że to „podróby", nie mają pojęcia, o czym piszą. Dlaczego nikt nie zwrócił uwagi, że kiedy Polsat wprowadził *sitcomy*, to nagle TVN zrobił to samo? Każda stacja ma prawo kupić licencję na program. „Zerwane więzi" też są robione na licencji.

Więc Pana zdaniem „Dwa światy" nie nasladowały „Big Brothera"?

– Mieliśmy kompletnie inny scenariusz. Jedyne podobieństwo sprowadzało się do podglądania przez kamery uczestników programu... to znaczy, do obserwowania, bo to nie jest podglądanie, skoro ci ludzie wiedzą o tym.

Wszyscy mówią, że „Dwa światy" to porażka. A przecież program miał średnio cztery miliony oglądalności, a w finale ponad sześć milionów. To porażka?! Wielu marzy o takiej oglądalności. „Wielki Brat" ma teraz trzy z kawałkiem – i TVN jest szczęśliwy.

Czyli to Pan wygrał ten mecz?

– To Polsat walczy z TVN-em, a nie ja. Ja nawet nie pracuję dla Polsatu, lecz dla ATM, który produkuje dla Polsatu. Jestem wolną osobą. Swoją walkę wygrałem. Uważam, że dramaturgicznie dużo lepsze były „Dwa światy". Walka była nierówna, bo wystartowaliśmy trzy tygodnie później – to tak, jakbym komuś na dystansie stu metrów dał 30 metrów przewagi. Trzeba być bardzo dobrym, żeby wystartować dużo gorzej i wygrać w finale. W ostatnim tygodniu mieliśmy lepsze wyniki niż „Wielki Brat". To jest sukces.

Co Pana złości w Polakach?

– Że wiecznie narzekają na swój kraj. Kiedy Adam Małysz zajął w grudniu drugie miejsce, widziałem artykuł pod tytułem „Małysz zepsuł nam sylwestra". Przecież to bohater narodowy. Często zdarza się, że muszę bronić Polski przed Polakami. Mówię ludziom, że mogę zaprosić ich do paru innych krajów i pokazać, jak tam się żyje. Polacy nie potrafią docenić tego, co mają. Ja przyjechałem tu w roku 1994 i widzę duży postęp. Samochody na ulicach, hotele, supermarkety.

Tadżycy nie narzekają?

– Mogliby mieć sporo powodów do narzekania, ale tego nie robią. Niedawno ogarnęła mnie nostalgia i zacząłem na chybił trafił dzwonić pod różne numery w Duszanbe. Najpierw dodzwoniłem się do hotelu Tadżykistan, największego w Duszanbe. Mówię: „Dawno nie byłem w kraju, jak tam teraz jest?". A pani w recepcji, że jest fajnie, proszę przyjechać, zapraszać gości, a czemu pan tak daleko wyjechał? Możliwe, że mówiła tak, bo bała się podsłuchu; tam jeszcze pokutują stare zasady KGB. Drugi telefon, trafiam

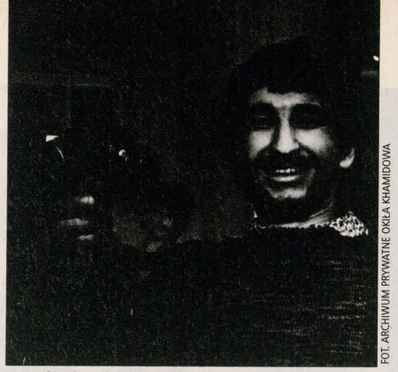

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE OKŁA KHAMIDOWA

Po tadżycku Okił znaczy Mądry

na jakąś babcię. Mówi: „Dobrze jest, proszę przyjechać, już nie chodzą z bronią po ulicy". Dzwoniłem do 15 osób, z jedną się nawet zaprzyjaźniłem. Wszyscy mówili, że jest super.

A ja przecież wiem od rodziny, jaka naprawdę jest sytuacja, że jest ciężko, średnia pensja to 10 dolarów.

Poza narzekaniem nie lubię kombinowania, a to się często zdarza, kiedy nagrywamy teleturnieje.

Gracze oszukują?

– Jeszcze jak! Mają opracowane całe systemy podpowiedzi. Nawet ostatnio, ekipa na planie tego nie zauważyła, facet wygrał mnóstwo pieniędzy, a wyraźnie było widać, jak mu ktoś z widowni podpowiadał. Innym razem przyszedł człowiek z nadajnikiem ukrytym w kucyku.

Co mówią rodzice o Pana sukcesie?

– Są oczywiście dumni, że sobie poradziłem. Ale, jeśli można tak powiedzieć, byli przyzwyczajeni, że robię wokół siebie dużo hałasu. Zawsze dużo pracowałem, też przy chałturach, czyli filmach tak zwanych nieambitnych. W Polsce też jest moda na ambitne filmy, a ja uważam, że operator powinien wszystkiego spróbować: w bajce, melodramacie i filmie sensacyjnym też. Ważne, że miałem robotę, niektórzy siedzieli bez pracy. Tu, w Polsce, chyba bardziej widać ten sukces.

Po tym jak „...Kiepscy" zostali nagrodzeni Telekamerą, dużo pisało się o mnie, ale wszyscy pisali to samo. Myślałem, że to nudne dla ludzi, tak czytać te same fakty w różnych gazetach. A mnie promocja nie jest potrzebna, ja nie jestem osobą znaną z ekranu. Niedawno dostałem zaproszenie do jednej znanej gazety, żeby razem z bardzo znanymi obcokrajowcami malować pisanki. Odmówiłem.

Pańskie imię oznacza „mądry". Jaką mądrością kieruje się Pan w życiu?

– Przekazuję dzieciom doświadczenie życiowe. Mój syn ma prawie pięć lat. Nie będę go izolować. On powinien mieć dobre wychowanie, ale kontakt z innymi ludźmi uodpornia. Przecież on pójdzie w życie, i tak na nich trafi. Powinien wiedzieć, jak reagować. Rodzice zabraniali mi na przykład zajmować się ekstremalnym sportem, a ja uważam, że to błąd. Mój ojciec był bokserem i miał złamany nos. Nie chciał, żeby mi złamali, ale i tak mi złamali, w bójce na ulicy. Lepiej, żeby puścił mnie do szkoły bokserskiej, może bym nie dał tak łatwo sobie złamać.

O co się Pan bił?

– W podstawówce dwa razy dlatego, że broniłem młodszego, i dwa razy źle na tym wyszedłem.

Nie o dziewczynę?

– O dziewczynę później, jak byłem dorosły. Wtedy właśnie nos mi złamali. To było w Taszkiencie, obcym dla mnie mieście. Byłem trochę pijany, a kiedyś jak byłem podpity, to często szukałem wrażeń. Widziałem, jak trzech facetów napadło dziewczynę. Krzyknąłem, że zawołam policję, oni do mnie: „Spierdalaj". Ale ja wziąłem dziewczynę za rękę, mówię, że ona jest ze mną i ją zabieram. No i wtedy mi wlali.

Skończyło się na złamanym nosie?

– Nie tylko. Mam jeszcze bliznę na brodzie. Uderzyli czymś, nawet nie wiem czym. Policja znalazła mnie nieprzytomnego na śniegu. Półtora miesiąca leżałem w szpitalu.

Udało się ich znaleźć?

– Udało, ale nie przez policję, tylko przez margines, prywatnymi kanałami. Oddali mi wszystko, co zabrali – bo oczywiście przy okazji mnie obrabowali – i przeprosili.

Przeprosili? Jak to? A żadnego sądu nie było?

– Nie. Tam to się inaczej załatwia, prywatnie. Milicja nie znajdzie. Kolega reżyser pochodził stamtąd, wychowywał się podobnie jak ja i miał znajomych z marginesu, znał nawet jakiegoś szefa tych bandziorów. Ale nie żałuję. Trzeba starać się dawać sobie radę. Jest taki odcinek „...Kiepskich", kiedy Ferdek zamienia się w żabę. Przez przypadek Paździoch go spuszcza do kibla i on poszedł do kanalizacji. Wyskoczył przez zlew. Kiedy zamienił się z powrotem w człowieka, Walduś pyta: Tatuś, a jak tam było w tej kanalizacji? A on: Jak tu, wśród ludzi. Trzeba dawać sobie radę. I w tym jest dużo prawdy. W „...Kiepskich" te puenty to mądrości życiowe.

Rozmawiał **MAX SUSKI**
Współpraca **MAŁGORZATA FIEJDASZ**

Prószyński i S-ka
NAJNOWSZA POWIEŚĆ
JOHNA IRVINGA

„Czwarta ręka" to niepoprawna politycznie komedia, satyra i erotyczna farsa – a nade wszystko wzruszająca opowieść o potędze miłości, pozwalającej odkupić dawne winy i zacząć życie od nowa. W bezdusznym świecie końca wieku Irving z właściwym sobie ironicznym humorem poszukuje fundamentalnych wartości, pozwalających nie stracić wiary w człowieka.

PATRONAT MEDIALNY
PRZEKRÓJ MAXIM EMPIK onet.pl VIVA! księgarnia internetowa www.merlin.pl

KSIĄŻKI MOŻNA KUPIĆ TANIEJ
ZADZWOŃ, NAPISZ – PRZEŚLEMY CI KATALOG KKKK
adres: Garażowa 5, 02-651 Warszawa
tel.: 0-801-120-121, fax: (0-prefiks 22) 843-41-61
e-mail: klub@kkkk.com.pl
oraz w księgarni internetowej www.merlin.pl

WŁOSKIE ODKRYCIE FILMOWE ROKU!

ON, ONA i ON

W KINACH OD 19 KWIETNIA

FILM KONKURSOWY BERLIN 2001

Nagrody dla najlepszego aktora i aktorki od Włoskiego Syndykatu dziennikarzy Filmowych

CZY TROJE TO JUŻ ZA WIELE?

radiostacja PRZEKRÓJ INFORMATOR KULTURALNY STOLICY www.spi.pl PŁYTA CD JUŻ W SPRZEDAŻY FILMWEB SPInka

Ks. Gabriele Amorth, Włoch, najsłynniejszy na świecie katolicki egzorcysta

FOT. GAMMA / BE&W

Egzorcyzmy to nie średniowieczny rytuał, ale popularna współczesna posługa duszpasterska. W Polsce jest 50 księży egzorcystów

MAŁGORZATA FIEJDASZ

Lekarze dusz opętanych

Ania: drobna dziewczyna w białym sweterku. 22 lata, krótkie włosy, okulary. Lubi kino, Grzegorza Turnaua i piosenki ze „Shreka". Skończyła liceum, nie dostała się na studia. Teraz jest sprzedawczynią w sklepie odzieżowym.

Najważniejszy w jej życiu był mroźny dzień w grudniu zeszłego roku. Naprawdę było bardzo zimno – do kościoła dotarła przemarznięta. Tam czekał już ksiądz Andrzej Grefkowicz i grupa członków Odnowy w Duchu Świętym. Potem wszyscy razem modlili się o uwolnienie Ani od wpływu złego ducha.

To rzeczywiście musiał być zły duch, bo modlitwy poskutkowały. Od tej chwili życie Ani stało się jasne i pełne miłości. A wcześniej nic nie pomagało, mimo że przez trzy lata leczyła się z depresji. To właśnie bezradna pani psycholog poradziła jej w końcu, żeby poszła na czuwanie Odnowy w Duchu Świętym.

Dziś Ania już wie, że lęki z mrocznego okresu jej życia były skutkiem dręczenia demonicznego. Dopiero modlitwy postawiły ją na nogi. Później powiedziano jej też, że te modlitwy w kościele to były egzorcyzmy.

Zło nie jest abstrakcyjne

Egzorcyzmy często kojarzą się dziś z jakimś zapomnianym rytuałem z odległej przeszłości. Wiele osób sądzi, że są częścią tego samego świata, w którym płonęły stosy czarownic. Nieprawda. To współczesna posługa duszpasterska, która w ostatnich latach zyskuje na popularności.

Polscy księża egzorcyści po raz pierwszy spotkali się na zjeździe w Białymstoku w roku 1998, wówczas w nielicznej jeszcze, kilkunastoosobowej grupie . Od tamtej pory ich grono powiększyło się do blisko pół setki.

– Kościół bardzo poważnie traktuje tę posługę – zapewnia ojciec Adam Schulz, rzecznik Episkopatu Polski. – Wynika to z pojawienia się po 1989 roku większej liczby sekt związanych z kultem szatana, nasilenia się praktyk wywoływania duchów, częstego korzystania z wróżb i parapsychologii, gdzie łatwo o uzależnienie od działania złych duchów.

– Egzorcyści to odpowiedź na potrzeby naszej epoki – mówi ojciec Benedykt Barkowski, egzorcysta z Białegostoku. – Ludzie troszczą się dzisiaj o ciało, dbają o zdrowe jedzenie, ale zaniedbują duszę. W Polsce żyje wprawdzie tylko kilkanaście osób opętanych, ale 40 milionów jest kuszonych.

Ojciec Marian Polak, michalita, egzorcysta: – Komunizm trzymał naród w dyscyplinie. Żyliśmy w getcie, pożądania Polaków były uwiązane na sznurku. Kiedy nastała wolność, wielu ludzi łapczywie się rzuciło, by te pożądania realizować. Łakną ich na oślep, wbrew wartościom. To szatan tak ich kusi wizjami ziemskimi, zmysłowymi, cielesnymi. I osoby ze słabą wiarą dają się na to nabrać.

Jak podkreśla ojciec Adam Schulz, Kościół z powagą podchodzi do opętania: – Działanie zła nie jest abstrakcją. Walka złych i dobrych duchów towarzyszy człowiekowi niemal od początku jego istnienia, a chrześcijaństwo wskazuje na to od dwóch tysięcy lat.

Ksiądz Andrzej Grefkowicz, jak wielu polskich egzorcystów, jest związany z Odnową w Duchu Świętym. To jeden z największych ruchów katolickich w Polsce, należy do niego kilkadziesiąt tysięcy osób. Raz w tygodniu przez cztery i pół godziny ksiądz Grefkowicz dyżuruje w warszawskim Caritasie i jeszcze się nie zdarzyło, żeby musiał czekać na chętnych. Na jednym dyżurze przyjmuje średnio siedem osób.

Ania otwiera furtkę

Zły duch zamieszkał w Ani w postaci depresji, której źródeł lekarka upatrywała w rodzinie i ojcu alkoholiku. Napełnił ją strachem – przed wyjściem na ulicę, przed ludźmi, przed tym, że nie spełni oczekiwań. Pchnął ją w stronę okultyzmu, którym Ania zainteresowała się, gdy miała 17 lat. Wylicza: medytacje z pentagramem, bioenergia (próbowała być bioenergoterapeutką dla swojego psa, teraz wie, że to też jest grzech), zabawa ze znajomymi w zgadywanie i przekazywanie sobie nastrojów, kurs kontroli umysłu Silvy.

– Obiecywali wstawanie bez budzika, czerpanie energii ze snów, przewidywanie przyszłości. A ja chciałam za wszelką cenę kierować swoim życiem i mieć władzę nad ludźmi. Chciałam być silna, samowystarczalna. Zdobywać najlepsze stopnie, cieszyć się powszechnym uznaniem.

A tymczasem nękało ją wieczne niezadowolenie: z tego, jak wygląda, co robi, jak mówi. – Nie godziłam się na Boga, który stworzył mnie w takim kształcie – mówi Ania. – To była furtka dla demona.

Przestała spotykać się ze znajomymi. Kłóciła się z rodzicami. Nie mogła wytrzymać w domu. – Uciekałam na podwórko i kryłam się gdzieś po ciemnych zakamarkach – mówi Ania.

Przeszła drugi stopień kursu Silvy i przez moment czuła euforię, ale czuła też, że jest to szczęście wa-

runkowe, pozorne. Jak po wypiciu wina, które szybko wietrzeje z głowy. Żeby dalej cieszyć się tym szczęściem, będę musiała zapracować na nie, zasłużyć – myślała. Eksperymentowała. Próbowała wchodzić w kontakt z „bytami duchowymi", podróżowała w głąb siebie.

FOT. THE BRIDGEMAN ART LIBRARY

Ilustracja z XIV-wiecznego brewiarza

W Polsce żyje wprawdzie tylko kilkanaście osób opętanych przez zło, ale 40 milionów jest kuszonych

Ale nie znalazła tam niczego poza ciemnością.

Czy mógłby ksiądz odczynić?

– 80 proc. moich pacjentów to kobiety – mówi ksiądz Edmund Szaniawski z Lichenia, który już drugi rok zajmuje się egzorcyzmami. – Mają 30–50 lat, pracują. Te ze wsi boją się, że znachorka „rzuciła na nie czar". Miastowe chodzą do magów, wróżek. Potem mówią, że przestało im się powodzić w życiu, mają samobójcze myśli. Czują niepokój. Słyszą kroki, spadające przedmioty w mieszkaniu. Mają wrażenie, jakby towarzyszył im jakiś cień. Widzą ciemne plamy, postaci. Boją się. Pod tym strachem kryje się samotność, bezradność, zagubienie.

– Nie da się zarazić wpływem demona jak katarem, nie wiadomo od kogo – mówi ojciec Cezary Jenta, dominikanin kierujący Ośrodkiem Informacji o Sektach i Nowych Ruchach Religijnych w Szczecinie. – Jednym ze znaków, że mamy do czynienia z wpływem złego ducha, są wyraźne źródła: osoba była w ruchach okultystycznych, korzystała z dziwnych wróżb. To tam sama się otworzyła na działanie sił zła.

Ksiądz Szaniawski: – Horoskopy drukowane przez kobiece pisma wydają się niewinne, ale jeśli człowiek zaczyna wiązać swoją przyszłość z wróżbami i układać swoje życie według nich, to łączy swój los z siłami nieczystymi. Sam wchodzi w okultyzm, nie zdając sobie sprawy, że to kontakt z demonem. I okazuje się, że szatan istnieje naprawdę!

Ksiądz Szaniawski często ma wrażenie, że ci, którzy się do niego zgłaszają, traktują go jak „odczyniacza" złych czarów. Chcą, by im pomógł, ale sami nie są skłonni do wysiłku. – A przecież w wielu wypadkach wystarczyłaby modlitwa, uporządkowanie życia moralnego, odcięcie się od zniewalających źródeł – mówi.

Do egzorcystów przychodzą też mamy z dziećmi. Mama z 11-letnią córką, która – od kiedy brała udział w seansie spirytystycznym – widzi w nocy ubranego na czarno mężczyznę przy łóżku. Mama z synem uzależnionym od narkotyków („To też przejaw złego ducha, który znieważa człowieka" – tłumaczy ksiądz). Mama z synem, który uciekał ze szkoły. I z córką anorektyczką, której wróżka przepowiedziała chorobę.

Ania jest bólem

W czwartej klasie liceum Ania wyrzuciła tarota, wahadła, kamienie, bo znajoma powiedziała jej, że za pomocą kart i wróżb wchodzi się w kontakt z demonem.

– Miałam wtedy obsesję na punkcie umierania – mówi. Biegała na tory kolejowe, żeby czekać na pociąg, który ją przejedzie, ale nie miała odwagi wskoczyć pod koła. Walczyła ze sobą. Wrzeszczała, krzyczała. Nienawidziła siebie, swojej rodziny i – co mocno podkreśla – Boga. Pisała w pamiętniku: „Boże, nienawidzę Cię. Zabij mnie, już nie mogę. Nie mam prawa żyć, nie zasługuję na to. Jezus nie żyje. Jestem bólem".

Kaleczyła się, ale umiejętnie ukrywała blizny: – Całe życie potrafiłam zachowywać pozory. W szkole skrywałam anoreksję, uczyłam się dobrze, mimo że nie mogłam skupić się nad książkami.

Po liceum nie dostała się na studia. Od lipca 1999 roku była pod opieką psychologa. Miała zapisane tabletki antydepresyjne, ale zamiast łykać, gromadziła je. W końcu połknęła wszystkie za jednym zamachem. Po kilku godzinach obudziła się. – Byłam przerażona, modliłam się, żeby nie umrzeć. Czułam ulgę, że mi się nie udało. A lekarze byli zdziwieni, że żyję.

Po odtruciu trafiła na oddział psychiatryczny i po tygodniu obserwacji wróciła do domu. Chodziła na spotkania z grupą terapeutyczną, a potem znowu wróciła pod opiekę swojego psychologa. Tłumaczy swoich rodziców: – Wiem, że kochają mnie na swój sposób, chociaż nigdy nie umieli mi tego okazać. Mają swoją historię, mama też jest okaleczona emocjonalnie. Moim największym nieszczęściem jest to, że mam straszne braki z miłości. Zawsze miałam poczucie, że muszę sobie na nią zasłużyć, że muszę być idealna, doskonała. I zawsze wydawało mi się, że to ze mną jest coś nie tak, skoro nie jestem bezwarunkowo kochana.

Nowy rytuał na XXI wiek

W roku 1999 Watykan po blisko 400 latach odnowił rytuał egzorcystyczny (poprzedni obowiązywał od roku 1614). Zmiany mają głównie charakter techniczny: zaleca się więcej tekstów biblijnych w modlitwie, zrezygnowano też z bezpośredniego pytania o imię złego ducha. Na koniec – to nie zmienia się od wieków – egzorcysta w imię Boga rozkazuje duchowi opuścić opętanego.

Tak więc rytuał opiera się w gruncie rzeczy na serii modlitw i czytaniu psalmu oraz fragmentów Ewangelii. Skąd więc aura tajemniczości i sensacji wokół egzorcyzmów? Zrodziły ją opowieści o tym, co może się stać, gdy Dobro toczy walkę ze Złem, a owładnięty demonem człowiek uwalnia się od jego wpływu. Włoski ksiądz Gabriele Amorth, najsłynniejszy na świecie egzorcysta, wspomina w swoich książkach, wydanych również w Polsce („Wyznania egzorcysty", „Egzorcyści i psychiatrzy") o lewitacji, pluciu kawałkami ostrego szkła i gwoździ.

Ksiądz Andrzej Grefkowicz nie kwestionuje prawdomówności księdza Amortha, ale sam nie miał podobnych doświadczeń. Może dlatego, że polscy kapłani rzadko mają do czynienia z opętaniem. Zazwyczaj są to sprawy lżejszego kalibru – nękanie, dręczenie, uzależnienie od złego ducha.

Ania czuje się kochana

Minęły dwa lata od próby samobójstwa Ani, zanim wraz z terapeutką, osobą głęboko religijną, doszły do wniosku, że źródła problemów trzeba szukać właśnie w okultyzmie. Psycholog poradziła Ani, żeby poszła na czuwanie Odnowy w Duchu Świętym. To było w grudniu 2001 roku. Od tego momentu zaczyna się jasny etap w jej życiu.

Członkowie Odnowy modlili się za nią i skierowali ją do księdza Grefkowicza, egzorcysty. W grudniu zeszłego roku ksiądz wraz z kilkoma osobami ze wspólnoty modlił się o uwolnienie Ani od wpływu złego ducha. – Robiliśmy to według schematu: modlitwy po łacinie i po polsku, żebym też mogła coś zrozumieć. Nie rzucałam się – uśmiecha się. – Weszłam mocno w modlitwę i myślałam, żeby oddać się Bogu, niech robi ze mną, co chce.

Najprzyjemniej wspomina ciepło, z jakim podeszły do niej obce osoby, tyle nadludzkiej miłości. – Jak można być tak dobrym dla kogoś obcego? – mówi Ania. – Chyba tylko dzięki Bogu. On mnie chciał taką, jaka jestem. Czułam się jak ukochane dziecko. Pierwszy raz doświadczyłam, że jestem kochana bez żadnych warunków. Czuję się przeniknięta miłością, nie da się tego opisać, to jest takie... takie delikatniutkie – mruga powiekami.

Nie przerwała psychoterapii, ale uważa, że to dzięki modlitwom odzyskała spokój.

– Trzy lata psychoterapii pozwoliły mi zrozumieć rodziców i to, co się ze mną działo w dzieciństwie. Ale psychoterapia mówi, co się z tobą dzieje, i każe ci z tym żyć. Dzięki egzorcyzmom zrozumiałam, że moje braki z dzieciństwa mogą zostać uzdrowione, że będzie mnie leczył Duch Święty. Egzorcysta zabrał ze sobą to, co działo się ze mną po okultyzmie. Nie mam już takich lęków jak wcześniej, poczucia beznadziei. Jezus pokonał złego ducha, który mnie nienawidził i chciał mojej śmierci – mówi Ania.

Egzorcyści i psychiatrzy

Zanim osoba trafi do egzorcysty, musi zazwyczaj odwiedzić psychologa, by wykluczyć chorobę psychiczną. Tak jest w warszawskim Caritasie, tak radzą też dominikanie, kiedy ktoś prosi ich o kontakt z egzorcystą. Ojciec Cezary Jenta przytacza historię rodziny przekonanej

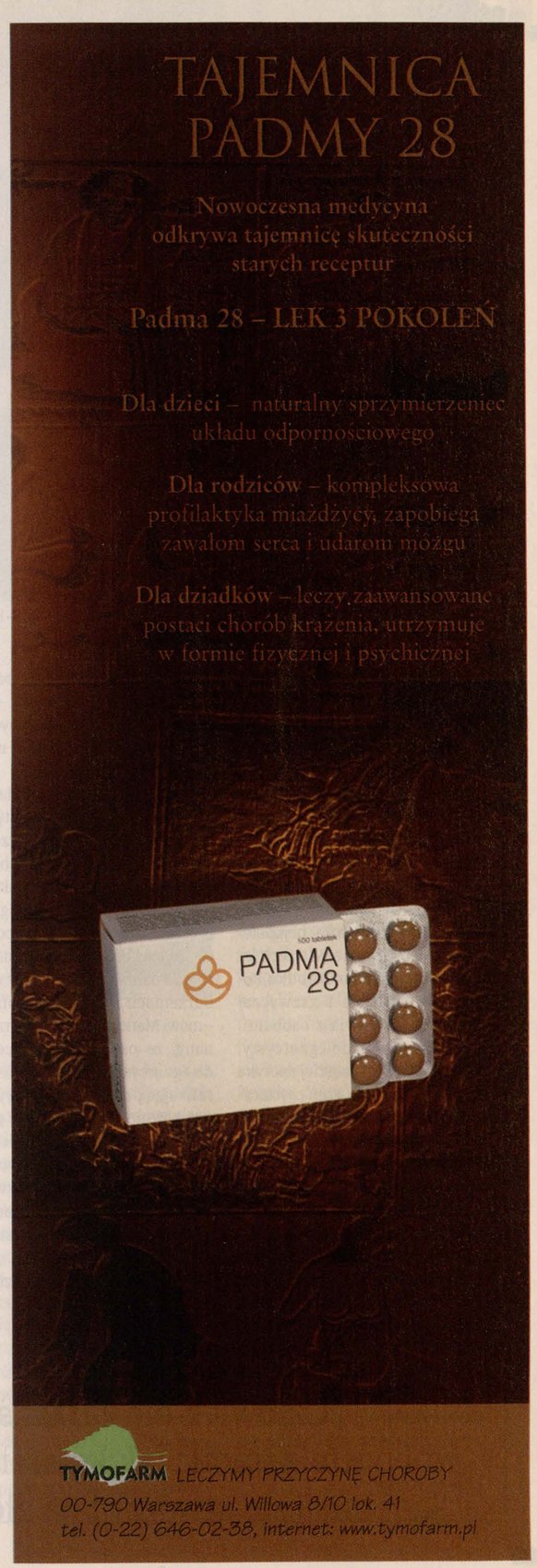

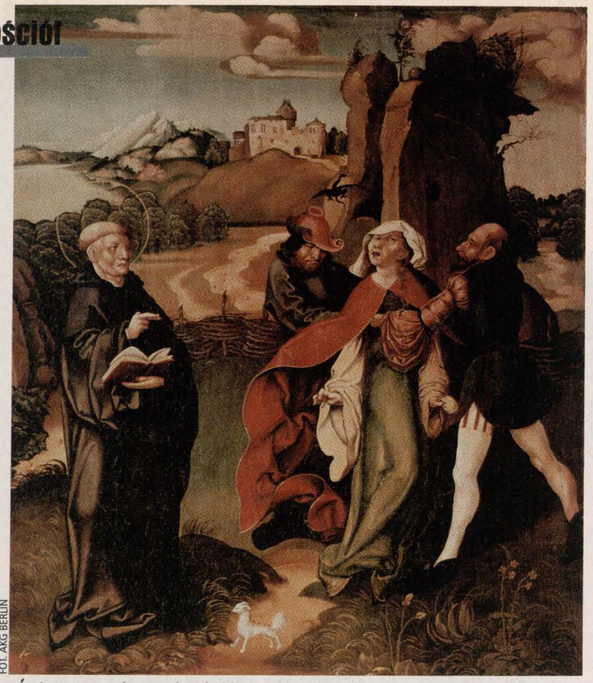

FOT. AKG BERLIN

„Święty Bernard wypędza diabła" – obraz Jörga Breu'a starszego (1475–1537)

o tym, że ich dom jest nawiedzony. Widzieli, że sprzęty się poruszają, telewizor sam się włącza. Byli zgodni w swoich obserwacjach. Lekarska diagnoza brzmiała: psychoza indukowana. Mieszkanie odwiedzała osoba chora psychicznie i jej stany chorobowe, lęki związane ze śmiercią i tragicznym zgonem kogoś z rodziny, udzieliły się zdrowym domownikom.

Katarzyna Kawiecka, psychoterapeutka, przyjmuje od trzech lat w Chrześcijańskim Ośrodku Pomocy w Caritasie i zazwyczaj pierwsza rozmawia z osobami, które chcą trafić do egzorcysty. Przyznaje, że najczęściej spotyka się z objawami zaburzeń psychicznych. Opętanie to rzadki przypadek, ale jej zdaniem możliwy. – Jeśli słyszę, że z człowieka wydobywa się dziwny dźwięk, jeśli człowiek ten ma ogromną siłę, zna fakty z przeszłości różnych osób, chociaż nie miał możliwości ich poznać, to jest to już bardzo czytelny sygnał, żeby taka osoba trafiła do księdza Grefkowicza – mówi Kawiecka. Jej zdaniem psychiatria jako nauka nie wszystko może wytłumaczyć.

Jednak doktor Cezary Markuszewski z warszawskiego Instytutu Psychiatrii i Neurologii jeszcze nie spotkał pacjenta, u którego objawy choroby wymykałyby się naukowemu opisowi. – Urojenie religijne, opętanie, urojenie wpływu i poczucie, że ktoś bezpośrednio kimś kieruje, to bardzo częste objawy w zaburzeniach z kręgu schizofrenii – mówi Markuszewski. Jest przekonany, że osoby zgłaszające się do egzorcystów zrobiłyby lepiej, szukając pomocy psychiatry czy psychoterapeuty w świeckiej przychodni. Egzorcyzmy, nawet jeśli spełniają funkcję terapeutyczną, to zazwyczaj w sposób nietrwały: – Nie usuwają przyczyny zaburzenia i w końcu dochodzi do nawrotu problemu – przekonuje. Jego zdaniem działanie egzorcyzmów można porównać do hipnozy sugerującej, że oto złe duchy odchodzą i stan się poprawia. – Ta poprawa utrzyma się prawdopodobnie, dopóki pacjent będzie wierzył, że egzorcysta ma moc wypędzania złych duchów.

Czy zatem egzorcyzmy to rodzaj kościelnej psychoterapii?

– Absolutnie nie – oponuje ojciec Cezary Jenta. – Rozumiem lęk psychiatrów, którzy podważają ideę egzorcyzmów. Oni boją się, że zaniechanie leczenia i zastąpienie go przez egzorcyzmy może zaszkodzić osobie chorej. Jednak jeśli ksiądz orientuje się, że ma do czynienia z zaburzeniem psychicznym, to powinien daną osobę odesłać do specjalisty. Egzorcyzmy stosuje się tylko wówczas, gdy jest pewność, że mamy do czynienia z wpływem złego ducha.

Ojciec Jenta tylko raz spotkał się z przypadkiem opętania, który nie budził wątpliwości. Był to 20-letni chłopak, satanista: – Powiedział innej osobie o jej grzechach, nie mogąc mieć tej wiedzy. I to był jeden z kluczowych dowodów.

Spokój we wspólnocie

Czasami jeszcze Anię nachodzą wątpliwości. Coś podszeptuje jej, że to wszystko na nic, że wrócą do niej dawne lęki, nienawiść do siebie i otoczenia. Wtedy stara się myśleć, że opiekują się nią Anioły Światłości i Bóg, który nie da jej skrzywdzić. Odzyskuje spokój we wspólnocie. Od niedawna kilka razy w tygodniu spotyka się z nową wspólnotą – neokatechumenalną – czytają razem Pismo Święte. – Czego mi życzyć? Żebym nie robiła tak wszystkiego na maksa, żebym oduczyła się teorii doskonałości – mówi Ania. Prosi, żeby nie pisać, jak ma naprawdę na imię. Rodzice do tej pory o niczym nie wiedzą.

MAŁGORZATA FIEJDASZ

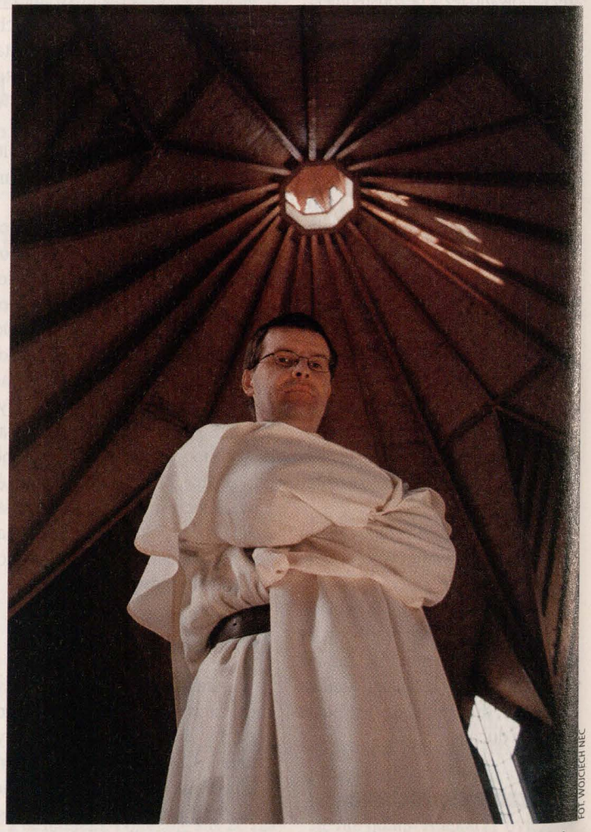

FOT. WOJCIECH NIEC

O. Cezary Jenta, dominikanin, kieruje Ośrodkiem Informacji o Sektach i Nowych Ruchach Religijnych w Szczecinie

„Człowiek nie zarazi się wpływem demona jak katarem. Sam musi się otworzyć na zło"

Kwiaty dla Róży

Lubię patrzeć na Berlin jak na ginące miasto. Berlin wschodni, oczywiście. Podróż śladami bezpowrotnie minionego DDR-u może wprawdzie nosić znamiona niczym nieuzasadnionej nostalgii, ma w sobie jednak coś niezaprzeczalnie kuszącego

Choć na pierwszy rzut oka NRD jest obecna wszędzie, to wielkie blokowiska, aleje (na przykład dawna Stalina) szerokie jak cztery Marszałkowskie w Warszawie czy ohydny pomarańczowy wrak Honeckerowskiego Pałacu Republiki sprawiają wrażenie atrap w krajobrazie innego już świata. Symbolika NRD – pomniki, trabanty, szyldy i plastiki – trafiła do magazynów i na złomowiska. Idąc za jej cieniem w pulsującym centrum wschodniej części miasta, najprędzej trafimy do knajpy – choćby VEB (skrót od: Przedsiębiorstwo Państwowe), gdzie możemy się rozlokować na kanapie-bagażniku „trabbiego"; tu, wodząc wzrokiem po ścianach oklejonych gazetą „Neues Deutschland", możemy podziwiać portrety sekretarzy niemieckiej partii.

Ale w ostatnich miesiącach duch nieodległej przeszłości jakby nabrał wigoru. Odkąd w miejskim Senacie (rządzie Berlina) zasiedli – po raz pierwszy od upadku muru – politycy postkomunistycznej PDS, nie ustają dyskusje nad projektem osobliwym: budową pomnika Róży Luksemburg w samym centrum miasta. Komunistka na piedestale w stolicy „nowego Berlina"? Atlantyda wraca na powierzchnię?

Spór o pomnik rewolucjonistki zamordowanej w roku 1919 przez socjaldemokratyczny rząd wpisuje się w długą listę debat na temat symbolicznej przestrzeni niemieckiej stolicy. O zapełnienie tej przestrzeni troszczą się – każdy na swój sposób – prawicowcy i lewicowcy, sympatycy

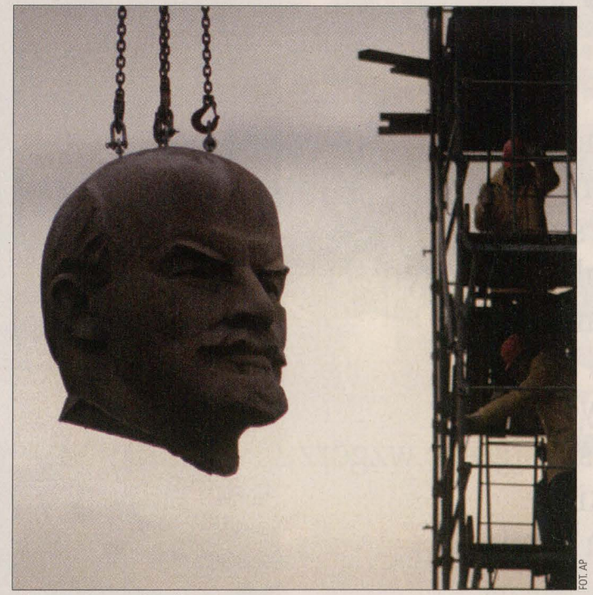

FOT. AP

Głowa Lenina znad Berlina

Prus i ich zaciekli wrogowie, Ossis i Wessis, związki wypędzonych i rząd federalny.

Po 12 latach dyskusji i sporów rozpoczęły się prace nad gigantycznym Miejscem Pamięci Pomordowanych Żydów Europy. Pomnik Holocaustu w samym centrum Berlina to dla jednych przesadna manifestacja niemieckiej winy i cyrograf oddający niemiecką duszę do czyśćca niezabliźnionej pamięci; dla innych – dowód ciągłości niemieckiego rozrachunku z historią po zjednoczeniu, hołd złożony pomordowanym i obowiązkowa lekcja przeszłości dla następnych pokoleń. Za sprawą pomnika Holocaustu i otwartego niedawno Muzeum Żydowskiego pamięć o Zagładzie i znaczeniu narodu żydowskiego w kulturze Niemiec staje się nieodłączną częścią berlińskiej przestrzeni publicznej.

Nie wiadomo, czy to samo uda się wypędzonym. Zgłoszony dwa lata temu projekt utworzenia Centrum przeciwko Wypędzeniom autorstwa Związku Eriki Steinbach spotkał się wprawdzie z przychylnością kilku ministrów rządu Schrödera, ale sam kanclerz go nie poparł. Choć planowana instytucja miałaby być poświęcona wypędzeniu jako problemowi ogólnoeuropejskiemu, to los Niemców po II wojnie światowej zajmowałby w niej miejsce szczególne.

Inny wielki spór dotyczy odbudowy wspaniałego zamku Hohenzollernów w centrum Berlina wschodniego. Choć zamek – wielkością i przepychem nieustępujący Wersalowi – nadawał się do odrestaurowania, na początku lat 50. Rosjanie wysadzili go w powietrze jako symbol pruskiego imperializmu. Także obecna dyskusja nad jego odbudową jest częścią większej debaty nad znaczeniem dziedzictwa Prus w niemieckiej historii.

Berlin jest dzisiaj sceną, na której odbywa się gra cieni rzucanych przez pomniki i fasady domów. Architektura Berlina nie jest przedmiotem muzealniczej zadumy, lecz punktem wyjścia dla sporów o wartości, pryncypia – i o przyszłość. W tej krainie cieni przybysz z zewnątrz łatwo może się zagubić – tym bardziej że każdy szanujący się pomnik, czy to Bismarcka, króla Fryderyka, czy Kolumna Zwycięstwa, zmieniał miejsce pobytu kilka razy w zależności od politycznej koniunktury. Sam Bismarck – kiedyś przed Reichstagiem – stoi dziś w krzakach Tiergarten. Zjawisko „wędrujących pomników" jest dla Berlina równie charakterystyczne jak białe piwo z syropem i *Döner Kebab*. Niewykluczone więc, że nawet jeśli Róża Luksemburg kiedyś stanie w centrum miasta, to później zostanie przeniesiona nad jezioro w Köpenick lub do skromnego parczku w Pankow.

A ja wolę wspomnieć dumną rewolucjonistkę, popijając Berliner Weisse w knajpie November z czerwoną gwiazdą dyskretnie umieszczoną nad barem, niż składając kwiaty pod jej pomnikiem. Tak będzie lepiej. Niech wschodnioberlińska Atlantyda pozostanie w ukryciu – tym większa radość dla odkrywców szperających po krainie cieni.

PIOTR BURAS

Ostatni skok

Desant na Falklandy przeprowadziliśmy w nocy. Jak tylko zaczęło świtać, pojawiły się samoloty i zaczęły bezlitosne bombardowanie naszych okrętów i barek desantowych. Oglądaliśmy to wszystko ze wzgórz, jakby siedząc w kinie na niesamowitym filmie

Kwiecień roku 1982. Brytyjscy żołnierze na pokładzie HMS „Hermes" płyną do wybrzeży Falklandów

FOT. CORBIS/FREE

O HORRORZE NAJBARDZIEJ ABSURDALNEJ WOJNY XX WIEKU PISZE TADEUSZ JAGODZIŃSKI

We wtorek 8 stycznia bieżącego roku od małego pasażerskiego samolotu lecącego nad południową Anglią oderwał się nagle czarny punkt. Naoczni świadkowie z wioski Fyfield sądzili zrazu, że to część kadłuba awionetki, bo samolot lekko się zachybotał na wysokości kilku tysięcy metrów i na moment jakby zboczył z kursu. Dopiero po paru chwilach, gdy punkt urósł w oczach na tyle, iż można było rozpoznać w nim ludzką sylwetkę, doszli do wniosku, że to jakiś amator spadochronowego szaleństwa. W tej okolicy często ćwiczą skoki. I rzeczywiście, Charles Bruce, którego sylwetkę widzieli, był wytrawnym spadochroniarzem, o czym rzecz jasna nie mogli wiedzieć. Nikt jednak nie zauważył, że mężczyzna przeleciał nad wioską, ale spadochron się nie otworzył, bo go nie było. Nie było także świadków samego zderzenia z ziemią. Dopiero później, kiedy przyjechała policja, na pobliskich polach znaleziono zdeformowane zwłoki Bruce'a.

Do dziś nie wiadomo dokładnie, co wydarzyło się nad Fyfield. Dawni koledzy Bruce'a z elitarnej brytyjskiej jednostki wojskowej SAS nie mają wszak żadnych wątpliwości. – To samobójstwo – powiadają – związane z jego wojennymi przeżyciami na Falklandach. – Potwierdza to jego dziewczyna pilotująca maszynę w feralny wtorek: – Nish – tak nazywali go przyjaciele i bliscy – bez żadnego ostrzeżenia odpiął pasy, otworzył drzwiczki kabiny i po prostu rzucił się głową w dół. – Nie zostawił żadnego listu wyjaśniającego tę decyzję...

Co pchnęło doświadczonego ekskomandosa do tak desperackiego kroku? Tego zapewne nie dowiemy się nigdy, ale Charles Bruce – z pozoru człowiek sukcesu, dawna podpora legendarnego cyrku spadochronowego Red Devils, przystojny, dobrze zarabiający – już wcześniej kilkakrotnie próbował odebrać sobie życie. W autobiografii opublikowanej w roku 1998 opisał mozolne próby wydobywania się z depresji i nawroty nerwowych załamań. Wynikało z nich niezbicie, iż wojenne doświadczenia tkwiły w nim niczym niemożliwy do usunięcia cierń. Od lat zdradzał klasyczne symptomy zaburzeń stresu pourazowego (ang. *post traumatic stress disorder*): bezsenność, powracające koszmary, nagłe zmiany nastrojów, napady panicznego lęku. Nie był w tym odosobniony, podobne objawy obserwowano u setek innych kombatantów, którzy walczyli na południowym Atlantyku. Jeden z nich powiedział kiedyś: „Demony Falklandów nigdy nie dadzą nam spokoju".

Sama wojna o Falklandy należała do najbardziej absurdalnych konfliktów zbrojnych ubiegłego stulecia. Oto dwa państwa oddalone od siebie o 11 tysięcy kilometrów stoczyły wojnę – wprawdzie krótką i bez formalnego jej wypowiadania, ale nadzwyczaj brutalną – o smagany wichrami archipelag w subarktycznych rejonach Atlantyku. Kamieniste wysepki stanowiły dom dla niespełna dwóch tysięcy ludzi i ponad pół miliona owiec. W sensie gospodarczym i strategicznym tereny te nie przedstawiały prawie żadnej wartości. Nie tylko z polskiej perspektywy cały kryzys wyglądał co najmniej dziwnie: pamiętam, że gdy 20 lat temu Falklandy doczekały się swoich pięciu minut ogólnoplanetarnej sławy, moi znajomi najpierw chwytali się za głowy z niedowierzania, mamrocząc coś o postkolonialnym anachronizmie, a potem snuli domysły, iż to sprawka Moskwy... Ale wtedy wszystko wydawało nam się sprawką Moskwy.

Prawda zaś była taka, że generał Leopoldo Galtieri, szef junty sprawującej wówczas władzę w Argentynie, uznał, iż zewnętrzny konflikt na ograniczoną skalę pomoże mu odwrócić uwagę opinii publicznej od problemów wewnętrznych kraju, zaś ewentualny sukces całego przedsięwzięcia – w swoich kalkulacjach nie liczył się z możliwością poważnych militarnych działań Londynu – zapewni mu przedłużenie rządów.

W Argentynie niemal od zawsze panowało przekonanie o wielkiej historycznej krzywdzie, jaką stanowiła brytyjska obecność na Malwinach (bo tak Latynosi nazywają sporne wyspy). Slogan *Las Malvinas son argentinas* (Malwiny są argentyńskie) znany był każdemu dziecku. Ojczyzna tanga opierała swoje roszczenia na prawie do kolonialnego spadku po Hiszpanach, Brytyjczycy powoływali się na zasadę ponadstuletniego ciągłego zasiedlenia. Bezowocne spory trwały latami, aż wreszcie wiosną roku 1982 argentyńscy generałowie sięgnęli

po argument siły. Nad Tamizą inwazja stanowiła szok. Bulwarowe media natychmiast uderzyły w patriotyczne tony, pani Thatcher ze swadą wczuwała się w rolę Churchilla, zaś wojna zaczęła rządzić się swoimi prawami i własną logiką. 5 kwietnia 1982 pierwsze jednostki brytyjskiej flotylli ekspedycyjnej odpłynęły w kierunku utraconych wysp.

Czy będą się bić?

Krótko potem Charles Bruce szykował się już do jednego z najtrudniejszych skoków w swojej karierze. Jednostka specjalna SAS, do której należał, miała przeprowadzić misję zwiadowczą w rejonie Falklandów. Skakali z pokładu samolotu transportowego Hercules C-130. Z otwarciem spadochronu trzeba było czekać aż do wysokości około 200 metrów. W dole szalał lodowaty ocean, każdy podmuch wiatru mógł roztrzaskać skoczka o skały. „Nawet w optymalnych warunkach szanse były niewielkie – pisał później Nish we wspomnieniowej książce – ale udało się". Czy już wtedy – wczesną wiosną 20 lat temu – przeczuwał, że ten skok otworzy mu drogę do prywatnego piekła?

Mniej więcej w tym samym czasie David Brown, lat 20, szeregowiec 2. Batalionu Pułku Spadochroniarzy, zmierzał w kierunku Falklandów na pokładzie pasażerskiego promu, który wynajęto do transportu wojska.

– Podróż odbywała się raczej w pogodnym nastroju – mówi dziś „Przekrojowi". – Nikt z nas tak naprawdę nie wierzył, że będziemy użyci do operacji wojennych.

Czy Argentyńczycy będą się bić, nie wiedzieli ani żołnierze, ani ich dowódcy. „To Latynosi – w połowie Hiszpanie, a w połowie Włosi – mówił jeden z członków rządu cytowany w głośnej biografii Żelaznej Damy pt. »One of Us« autorstwa Hugo Younga. – Jeśli górę weźmie hiszpańskie pochodzenie, będą się bić, jeśli włoskie – to nie". Sęk w tym, że to nie szefowie resortów, ale 20-letni chłopcy tacy jak Dave Brown mieli na własnej skórze przekonać się o dominacji hiszpańskich genów po drugiej stronie umocnień.

Przekonali się bardzo szybko. – Jak tylko zaczęło świtać, a desant na Falklandy przeprowadziliśmy w nocy – opowiada dalej Brown o swoim pierwszym zetknięciu z wojną – pojawiły się samoloty i zaczęły bezlitosne bombardowanie naszych okrętów i barek desantowych. Oglądaliśmy to wszystko ze wzgórz, jakby siedząc w kinie na niesamowitym filmie.

Konflikt falklandzki stworzył mity o ludzkiej odwadze i małości, poświęceniu i śmierci

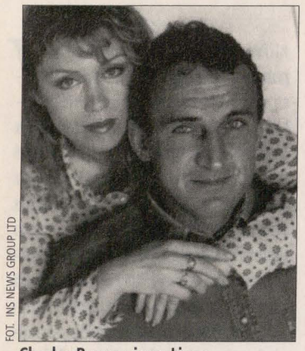

FOT. INS NEWS GROUP LTD

Charles Bruce z żoną Livvy. Były komandos wyskoczył z samolotu bez spadochronu

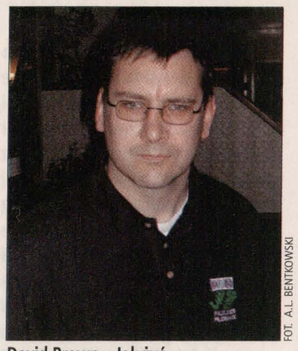

FOT. A.L. BENTKOWSKI

David Brown. „Jak żyć z doświadczeniem Falklandów? Jak uniknąć depresji i cynizmu?"

Jak każda wojna, tak i konflikt falklandzki tworzył swoje mity o odwadze, ludzkiej małości, poświęceniu i śmierci. Po stosunkowo długim okresie wyczekiwania na lądową próbę sił zawodowi żołnierze Jej Królewskiej Mości z każdym dniem pobytu na archipelagu udowadniali swoją przewagę nad pośpiesznie szkolonymi rekrutami armii argentyńskiej. Ale jednych i drugich ponad zwycięstwami czy klęskami łączyło najtrudniejsze z żołnierskich doświadczeń – samopoznanie. Dokonujące się jakby poza świadomością, za pośrednictwem bezwiednie niekiedy wchłanianych przez oczy i mózg obrazów.

Zamorska masakra

„Na Falklandach widziałem rzeczy, w które większości ludzi trudno byłoby uwierzyć – zwierzał się we wspomnieniach kilkanaście lat później Nish Bruce. – Widziałem ciała tak zmasakrowane, że najbliżsi nie mogliby zidentyfikować zwłok, widziałem 18-letnich chłopców, którzy próbowali sobie poderżnąć gardła, bo nie mogli znieść ran oparzeniowych". Po największej bitwie konfliktu Hector z 12. Pułku Piechoty argentyńskiej notował: „Wszędzie walały się rozczłonkowane ludzkie zwłoki, w powietrzu unosił się swąd spalonych ciał. Prawdziwa tragedia polega na tym, że nie bardzo wiadomo, kto naprawdę miał szczęście: ci, co zginęli, czy ci, co przeżyli, bo teraz nigdy już nie zaznają spokoju?".

Entuzjazm, z jakim półtora miesiąca po desancie brytyjskich sił interwencyjnych przyjęto nad Tamizą wywieszenie przez Argentyńczyków białych flag nad stolicą archipelagu, był stosunkowo krótkotrwały. Już w piątą rocznicę tego wydarzenia w tonie okolicznościowych programów telewizyjnych na dobre zagościł cynizm i tak dobrze znane kombatantom, którzy nie mogli odnaleźć miejsca w cywilnym życiu, poczucie zdrady i osamotnienia.

Owszem, wielu z nich wciąż – i nie bez dumy – sądzi, że w skali wielkiej polityki cała operacja warta była podjętego wysiłku. Falklandy wyzwolono, napastnik przekonał się, że agresja nie popłaca. Zresztą nawet po argentyńskiej stronie można mówić o pewnych pozytywnych skutkach konfliktu, gdyż skompromitowana falklandzką porażką junta musiała oddać władzę, torując tym samym drogę demokratycznym przemianom. Podobno również sam fakt nieustępliwości Brytyjczyków wywołał podziw i zmiany doktryny wojennej w chylącym się ku upadkowi Związku Sowieckim (więc jednak rzecz miała swój moskiewski wymiar...), co mogło być kolejnym kamyczkiem, który w końcu obalił mur i w naszej części świata. Z tym że, jak mówił ostatnio jeden z saperów brytyjskich, który przeżył Falklandy, choć stracił tam rękę: „Zawsze uważałem, że ta wojna była słuszna, ale jeśli zapytać o to wdowę po Jimie [jego towarzysz broni, który zginął, rozbrajając niewybuch na pokładzie fregaty „Antelope" – przyp. T.J.], to ona pewnie będzie przeciwnego zdania".

Przywrócenie *status quo* sprzed argentyńskiej inwazji do dziś uważa się za osobisty triumf pani Thatcher. Jej popularność dramatycznie wzrosła, w przyspieszonych wyborach konserwatyści pod jej kierownictwem odnieśli miażdżące zwycięstwo nad lewicową opozycją. W swoich pamiętnikach opublikowanych 11 lat po Falklandach pierwsza brytyjska premier z dumą pisała: „Przestaliśmy być krajem uległym, krajem ciągle wycofującym się (...), ożywiliśmy znów ducha, który rozpalał wcześniejsze pokolenia Brytyjczyków".

FOT. CORBIS/FREE

Maj roku 1982. Żołnierze brytyjskiej piechoty morskiej wciągają flagę brytyjską na maszt w Port Howard

Zupełnie jednak inny ogień trawił tych jej rodaków, którzy w imię głoszonych przez polityków racji czy pryncypiów prawa międzynarodowego otarli się w roku 1982 o piekło. A kiedy stamtąd wrócili, nie bardzo mogli się uporać z bagażem przywiezionych doświadczeń. Dziś 41-letni David Brown przyznaje, że należy do tych, którzy zdołali jakoś nauczyć się żyć z odniesionymi na Falklandach ranami psychicznymi: – W tej wojnie zginął mój najlepszy przyjaciel. Trafił go pocisk artyleryjski. Oderwało mu nogi, leżał tuż koło mnie, wykrwawiając się na śmierć, a ja nic nie mogłem zrobić. Próbowaliśmy go ratować z kolegami, nie wiem nawet, jak długo to trwało, ale umarł w naszych ramionach. Trudno potem otrząsnąć się z uczucia niemocy i winy. Człowiek zadaje sobie ciągle pytanie: dlaczego to on zginął, a nie ja? I – czy mogłem go uratować?

Jak żyć z takim doświadczeniem? Jak uniknąć depresji, cynizmu, zamknięcia w sobie?

– Najgorzej jest w nocy, bo śpisz i... nagle wszystko wraca: jesteś na Falklandach, czujesz zapach bitwy, słyszysz jej hałas, widzisz, jak giną ludzie... To nie są „zwyczajne" koszmary, ale niesamowicie wręcz realne doznania. Bywało, że budząc się w panice w nocy, chowałem się do szafy albo pod łóżko, bo wydawało mi się, że jesteśmy pod ostrzałem... Czasem też wystarczy usłyszeć nad głową warkot policyjnego helikoptera i znów wydaje mi się, że Argentyńczycy mnie szukają, oświetlając reflektorami.

Ofiary po wojnie

Organizacje kombatanckie szacują, że liczba samobójstw w wyniku stresu pourazowego wśród weteranów przekroczyła już liczbę żołnierzy poległych w roku 1982. W marcu grupa byłych żołnierzy brytyjskich wniosła do sądu sprawę przeciw ministerstwu obrony, zarzucając władzom ignorowanie ich cierpienia i, w konsekwencji, odpowiedzialność za setki ofiar wśród kombatantów.

– Wcześniej przez lata ślaliśmy monity – mówi David Brown. – Były nawet interpelacje poselskie, ale bezskuteczne. Ludzie, którzy bili się o Falklandy, czują się zdradzeni przez władze.

Cena zwycięstwa rośnie cały czas i dramat, jaki rozegrał się niegdyś na południowym Atlantyku, średnio raz na miesiąc znajduje kolejne epilogi: pod Londynem, w Leeds albo – tak jak w przypadku spadochroniarza Charlesa Bruce'a – na przemarzniętych polach wioski Fyfield.

TADEUSZ JAGODZIŃSKI

KALENDARIUM WOJNY O FALKLANDY MARZEC – LIPIEC 1982 ROKU

26.03
Junta w Buenos Aires kierowana przez generała Leopolda Galtieriego wydaje rozkaz inwazji na Falklandy.

2.04
O świcie wojska argentyńskie dokonują desantu na wyspy. Ogółem Argentyńczycy wyślą na Falklandy 10 tysięcy żołnierzy.

3.04
Do Port Stanley, stolicy archipelagu, przyjeżdża argentyński gubernator wojskowy generał Benjamin Menendez.

5.04
Flotylla sił ekspedycyjnych pod dowództwem kontradmirała Johna Woodwarda opuszcza angielskie porty, kierując się na południowy Atlantyk.

12.04
Londyn ogłasza wprowadzenie blokady morskiej Falklandów. Obce jednostki w tak zwanej strefie zakazanej (w promieniu około 300 kilometrów wokół wysp) będą traktowane przez Brytyjczyków jako „nieprzyjacielskie".

26.04
Komandosi z SAS odbijają z rąk argentyńskich wyspę Georgię Południową zajętą przez Argentyńczyków już pod koniec marca. Stany Zjednoczone deklarują poparcie dla Londynu i wprowadzają sankcje przeciwko Argentynie.

2.05
Zatopienie krążownika „Generał Belgrano" (ginie 368 argentyńskich marynarzy) storpedowanego przez brytyjski okręt podwodny.

4.05
Argentyńczycy trafiają pociskiem niszczyciel HMS „Sheffield". Wybucha pożar, ginie 20 Brytyjczyków. Uszkodzony okręt tonie kilka dni później.

21.05
Lądowanie zasadniczego kontyngentu brytyjskich sił ekspedycyjnych (ogółem korpus liczył około 20 tysięcy ludzi) na Wschodnim Falklandzie, największej wyspie archipelagu. Argentyńskie lotnictwo zaciekle bombarduje jednostki desantowe.

25.05
Argentyńczycy zatapiają niszczyciel HMS „Coventry".

28.05
Po zaciętej bitwie spadochroniarze brytyjscy zajmują osady Darwin i Goose Green, 1400 żołnierzy argentyńskich trafia do niewoli.

14.06
Brytyjczycy odbijają Port Stanley. Kapitulacja argentyńskiego garnizonu na Falklandach.

26.06
Powrót brytyjskiego gubernatora.

6.07
Londyn oficjalnie informuje o swoich stratach: 255 zabitych (oraz pięciu falklandzkich cywilów), przeszło 700 rannych. Straty argentyńskie szacuje się na około 750 poległych.

TEKST OLGA WOŹNIAK ● RYSUNKI IGNACY CZWARTOS

Nie spłaszczaj blondynki!

Szkot jest skąpy, Francuz to żabojad, blondynka nie grzeszy inteligencją. To znane prawdy. Ale czy to naprawdę są prawdy? A jeśli nie, to po co nam takie nieprawdziwe prawdy?

Stereos po grecku znaczy „stanowiący bryłę, stężały", *typos* – „odbicie, obraz". Mówiąc więc najprościej, stereotypy to utrwalone w naszym umyśle obrazy czegoś. Przyswajamy je sobie bardzo wcześnie, potrzebujemy ich nawet. Pomagają nam poznawać świat i się uczyć. Mózg za ich pomocą upraszcza rzeczywistość, co ułatwia mu segregowanie danych. Każdy z nas posiada w swojej głowie stereotypowy obraz otaczających nas przedmiotów, ludzi, zjawisk. Dzięki temu umiemy odpowiedzieć na pytania: „co to jest piłka, dom, mama?", „co robi górnik?", „jak wygląda planeta?".

Najpełniej stereotypowe myślenie naszego mózgu ilustrują dziecięce rysunki, na których dom zawsze ma spadzisty dach, okno, drzwi i komin, z którego leci dym. Kwiatek ma łodyżkę, listki i płatki. Człowiek dwie patykowate nogi, takież ręce i okrągłą głowę. Dziewczynki mają spódniczki, chłopcy spodnie. Pies mieszka w budzie, a nad wszystkim świeci żółte słońce.

Dzięki myśleniu stereotypami możemy objąć rozumem otaczający nas świat. Może trochę go przy tym trywializujemy, spłaszczamy, ale dzięki temu łatwiej go sklasyfikować. To szufladkowanie ma jednak także i złe strony. Najlepiej wiedzą o tym blondynki, które nie są głupie, hojni Szkoci, Francuzi, którzy nie cierpią żabich udek, i pracowici Murzyni.

Tymczasem stereotypy trwają niewzruszenie i mają ogromny wpływ na nasze postępowanie, myślenie, ba, nawet na zdrowie.

Przychodzi baba do doktora

Profesor Deborah Best pracująca w Wake Forest University w Winston-Salem w Karolinie Północnej ma dwie siostrzenice. Ulubioną zabawą dziewczynek (jedna ma trzy, druga pięć lat) jest udawanie wizyt u doktora. Niby nic dziwnego, ale dlaczego w tych zabawach nie występuje doktor? – zastanowiło któregoś dnia prof. Best.

Zaobserwowała nieraz, że kiedy jedna z dziewczynek udaje pacjenta, druga odgrywa rolę pielęgniarki. Zapytane o powód takiego podziału ról dziewczynki zgodnie odparły, że przecież kobieta nie może być lekarzem. Dzieci twierdziły tak, mimo że posiadają ciotkę profesora, a ich lekarz rodzinny to bardzo miła pani.

Zaintrygowana tego rodzaju myśleniem prof. Best postanowiła przeanalizować proces powstawania stereotypów. Chciała sprawdzić, jaki wpływ wywierają na zachowanie ludzi.

Badając dzieci, ustaliła, że stereotypy wnikają do naszych umysłów bardzo wcześnie, kiedy jeszcze nie jesteśmy w stanie ich analizować. W wieku czterech lat dzieci potrafią opisać kulturowe stereotypy związane z płcią, wiekiem, rasą. Zgadzają się z porządkiem społecznym panującym w historiach przedstawiających mężczyzn jako silnych i agresywnych, kobiety zaś jako uczuciowe i podatne na emocje.

Na dodatek okazuje się, że tego typu myślenie pozostawia poważne ślady w mózgu.

Uprzedzenia trzymają z emocjami

Idąc podobnym tropem co prof. Best, Lee Osterhout, psycholog z University of Washington w Seattle, chciał znaleźć w naszej głowie miejsce, w którym kryją się stereotypy. Użył do tego elektroencefalografu (EEG).

Odkrył, że zdania typu „Chirurg przygotowała się do operacji", które nie odpowiadają społecznym przekonaniom na dany temat (lekarz = mężczyzna), wywołują u ludzi falę elektrycznej aktywności w mózgu. Reakcja ta przypominała fale mózgowe typowe dla stanu zdziwienia czy zaskoczenia. Mózgi zarówno badanych kobiet, jak i mężczyzn reagowały takim „zaskoczeniem", nawet jeśli świadomie całkowicie akceptowali oni podane zdania.

Allen Hart z Amherst College w Massachusetts przy użyciu rezonansu magnetycznego śledził reakcje ludzi na białe i czarne twarze. Odkrył przy tym, która część mózgu odpowiada za nasze podświadome uprzedzenia i głęboko zakorzenione przekonania. Sprawdził to, badając ludzi, którzy nigdy nie określiliby się jako rasiści, a jednak reakcja ich mózgu na twarze czarnoskórych przeczyła ich otwartej postawie.

U osób najsilniej reagujących na poziomie podświadomym na twarze czarnoskórych bardzo aktywne stawały się zlokalizowane głęboko w mózgu obszary zwane ciałami migdałowatymi (niewielkie, symetrycznie ułożone struktury w kształcie migdału wchodzące w skład tak zwanego układu limbicznego). Zawiadują one naszymi emocjami, czyli odczuciami znacznie bardziej pierwotnymi od rozumu. A skoro stereotypy mają związek właśnie z nimi – trudno je przełamać. Opierają się bowiem logicznej argumentacji. A kiedy rozum śpi... wiadomo.

Głupiejemy od głupich

To jednak, że stereotypy na stałe osiedlają się w naszych mózgach, to jeszcze nie wszystko.

Przekonali się o tym Jeffrey Hausdorff z Beth Israel Deaconess Medical Center w Bostonie i Becca Levy z Yale University. Przez 10 minut pokazywali oni starszym osobom wywołujące stereotypowe skojarzenia słowa: „Murzyn", „głupi", „mądry", „doświadczony" itp. Po tym krótkim „praniu mózgu" badani mieli rozwiązać serię zadań matematycznych.

Po serii słów wywołujących negatywne skojarzenia badani zareagowali stresem – ich praca serca, ciśnienie krwi, pocenie nasiliły się i trwało to przez 30 minut. Mieli też problemy z koncentracją. Tymczasem osoby pokrzepione pozytywnymi wyrazami przebrnęły przez matematyczne wyzwanie bezstresowo.

Walki ze stereotypami nie ma co odkładać na później. Im bowiem dłużej czekamy, tym bardziej panoszą się one w naszej psychice. Nie wierzycie? A naukowcy sprawdzili, że film reklamowy przedstawiający emocjonalną, pozbawioną logiki, bezradną kobietkę pogarsza zdolności umysłowe oglądających go studentek!

Bardzo dobre studentki matematyki po projekcji takiej reklamy miały problemy z rozwiązywaniem zadań. Zaczynały także unikać roli lidera w trakcie rozwiązywania problemów z partnerem. Efekt „zagrożenia stereotypem" sprawił, że zaczęły wątpić w swoje możliwości intelektualne. Sparaliżował je lęk przed powieleniem stereotypu. Przyczyn niewykonania zadań doszukiwały się w sobie, nie biorąc pod uwagę stopnia ich trudności.

Sercowe sprawy

Pal jednak sześć, jeśli sprawa dotyczy trygonometrii czy rachunku różniczkowego. Gorzej, jeśli stereotypy płci zaczynają wywierać wpływ na zdrowie dotkniętych nimi ludzi.

Psycholog Rene Martin z University of Iowa stwierdziła, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety hołdują przekonaniu, iż choroby serca są domeną tych pierwszych. Kobiety są postrzegane jako wolne od ryzyka, choć w krajach wysoko uprzemysłowionych owe choroby są główną

przyczyną zgonów niezależnie od płci. Korzeni tego stereotypu można doszukiwać się w lepszym stanie zdrowia młodych kobiet, rzadziej cierpiących na problemy kardiologiczne.

Jaki tego skutek? Przestudiowanie 140 tysięcy przypadków pacjentów w podeszłym wieku pokazało, że kobiety uskarżające się na dolegliwości sercowe są zmuszone dłużej szukać pomocy lekarskiej, a kiedy trafią do szpitala, dłużej oczekują na diagnozę i leczenie. Nikt im nie wierzy. Przecież to faceci chorują na serce – u pań to pewnie histeria...

Brzemię imienia

Na stereotypy nie są odporni nawet ci, którzy teoretycznie powinni wydać im walkę. Dowiódł tego psychiatra Luke Birmingham z University of Southampton. Poprosił on 464 swych brytyjskich kolegów po fachu o diagnozę 24-latka – który poturbował konduktora – na podstawie jednostronicowego opisu. Dla potrzeb eksperymentu zmienił mu imię.

Co się okazało? Opinie lekarzy okazały się znacznie bardziej przychylne, gdy analizowali młodzieńca o imieniu Matthew, niż gdy diagnozie poddawali tego samego chłopca, tym razem o imieniu Wayne. Ponad 75 proc. lekarzy podeszło bardziej wyrozumiale do osoby Matthew, doszukując się w jego przypadku schizofrenii i zalecając pomoc medyczną. Wayne został obdarzony przez psychiatrów bardziej negatywnym charakterem, był dwa razy częściej niż Matthew diagnozowany jako symulant, narkoman, cierpiący na zaburzenia osobowości.

Imiona zniekształciły rozpoznanie lekarskie wskutek stereotypów, jakie wywołują w Wielkiej Brytanii. Imię Wayne jest bardziej popularne wśród ludzi z niższym statusem socjoekonomicznym, któremu często towarzyszy zaniedbanie środowiskowe.

Sypialnia prawdę powie

Stereotypy sprawiają, że sądzimy ludzi po pozorach. Uprzedzamy się do kogoś, bo dziwnie wygląda, zanim jeszcze otworzy usta. Twierdzimy, że ktoś nie jest wiele wart, „bo takie odnieśliśmy wrażenie". Nie dziwi więc wcale fakt, że wyłącznie na podstawie cech umeblowania sypialni albo biura ludzie są w stanie określić niektóre cechy osobowości właściciela.

Naukowcy pod kierunkiem dr. Samuela Goslinga z University of Texas w Austin poprosili kilkuosobową grupę ochotników o obejrzenie pokojów służbowych biznesmenów. Tymczasem inna grupa oglądała sypialnie studentów. Na podstawie umeblowania i wystroju pokoju ochotnicy-inspektorzy mieli wymienić główne cechy osobowości właścicieli, takie jak otwartość, skrupulatność, ekstrawertyzm, stabilność emocjonalna, zgodność. Następnie porównano, w jakim stopniu te spostrzeżenia były jednomyślne i na ile były zgodne z samoceną właścicieli pokojów oraz z opiniami ich znajomych i współpracowników. Okazało się, że osoby oceniły posiadaczy pokojów wyjątkowo trafnie. Nie było też zbytnich rozbieżności w ich opiniach.

Zespół dr. Goslinga chce teraz sprawdzić, jaki wpływ na ocenę cech osobowości mają stereotypy. Pewnie duży, ale czemu się dziwić. Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. Tak mówią.

PS Ja, niestety, nie spotkałam hojnych Szkotów. Przynajmniej podczas studenckich wakacji, kiedy pracowałam na szkockiej farmie. Wszystkie dowcipy o skąpstwie tego narodu okazały się ponurą prawdą... ■

Kacper odkrywca

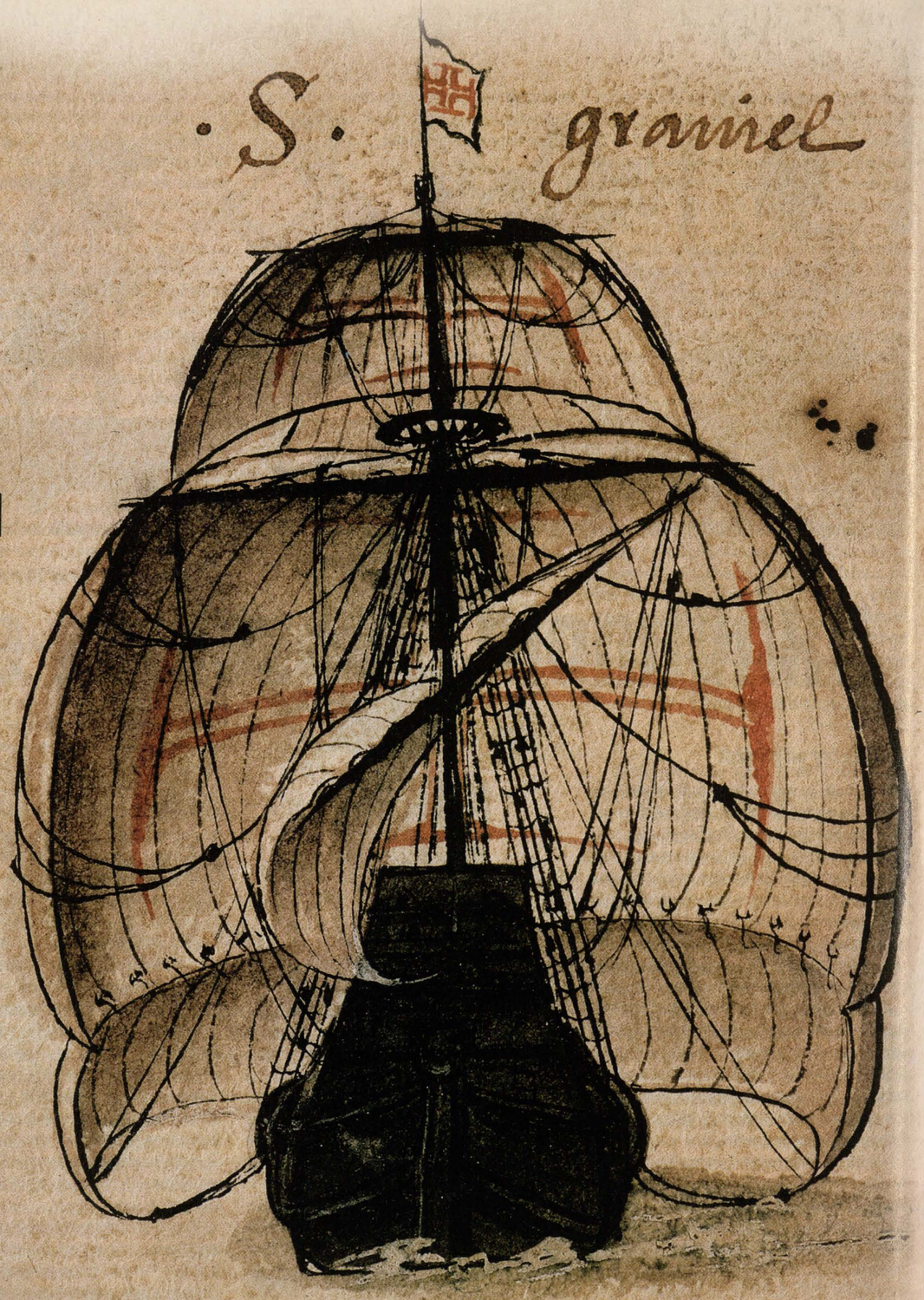

Żeglarz, kupiec, szpieg, odkrywca, niewolnik... Kim naprawdę był Gaspar da Gama, Żyd z Poznania o trzech wiarach i pięciu nazwiskach?

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

THE ART ARCHIVE

Spod grubej warstwy glonów narosłych na drewnianej burcie powoli wyłaniało się imię świętego archanioła. „São Gabriel", jeden z czterech portugalskich żaglowców wysłanych na poszukiwanie drogi morskiej do Indii, stał wyciągnięty na brzeg wyspy Andżediwy przy Wybrzeżu Malabarskim. Dowódca floty zszedł na plażę i doglądał załadunku wody oraz żywności. Miał niespełna 30 lat i był u progu sławy. W ciągu kilku ostatnich miesięcy dokonał wielkiej rzeczy: opłynął od południa całą Afrykę, przeprawił flotę przez Morze Arabskie i po rocznej podróży jako pierwszy europejski żeglarz przybił do brzegów upragnionych Indii – krainy pieprzu, drogich kamieni i legendarnych bogactw. Droga do eldorado stała otworem, a handel przyprawami miał uczynić z portugalskich królów najbogatszych monarchów Europy. Rozpoczynał się złoty wiek Portugalii. Młody szlachcic nazywał się Vasco da Gama.

Po trzymiesięcznym pobycie w Indiach flota da Gamy szykowała się teraz do drogi powrotnej. Był koniec września 1498 roku. Na ostatni postój przed wyjściem w pełne morze dowódca wyznaczył małą wyspę położoną 20 kilometrów od wybrzeży Indii. Na Andżediwie Portugalczycy mieli uzupełnić zapasy wody i przygotować okręty do długiego rejsu przez Morze Arabskie.

Marynarze tak byli pochłonięci czyszczeniem kadłuba „Świętego Gabriela", że nawet nie zauważyli, kiedy na plaży pojawiły się łodzie tubylców. Na szczęście przybysze nie byli uzbrojeni. Do da Gamy i jego kapitanów podszedł wysoki mężczyzna około czterdziestki, odziany w drogie lniane szaty i fikuśny turban. Gdy otworzył usta, Portugalczycy aż przysiedli z wrażenia. Przybysz znikąd płynnie mówił po włosku.

Zanim żeglarze wyszli z osłupienia, nieznajomy ich wyściskał, po czym oznajmił, że nazywa się

BIBLIOTECA ESTENSE UNIVERSITARIA DI MODENA

Mapa „Cantino" powstała w Lizbonie w 1502 roku i ukazuje stan wiedzy geograficznej Portugalczyków tuż po wyprawach Vasco da Gamy i Cabrala. Poza Europą widać na niej Afrykę, część Azji, Indie i fragmenty wybrzeży obu Ameryk. Przy okazji „Cantino" jest też zabytkiem szpiegostwa: wykonana na zamówienie Alberta Cantiny, agenta księcia Ferrary w Portugalii, jest przypuszczalnie nielegalną kopią tajnej mapy sporządzonej przez Portugalczyków na użytek dworu. Po raz pierwszy widnieje na niej na przykład Brazylia, której odkrycie Portugalczycy trzymali w tajemnicy. Za wywóz takich map za granicę groziła w Portugalii kara śmierci.

Mehmet i choć nosi się jak Maur, w rzeczywistości jest chrześcijaninem z Europy. Twierdził, że przybył do Indii jeszcze jako dziecko, a gdy dorósł, trafił na służbę do miejscowego władcy, gubernatora Bidźapuru Jusufa Adil Śaha. Na wieść o przyjeździe obcych żeglarzy poszedł do swego pana i powiedział, że umrze ze zgryzoty, jeśli nie będzie mu dane spotkać się z nimi. Władca przysłał go zatem z poselstwem. Polecił przekazać żeglarzom, że są mile widziani i dostaną wszystko, czego zapragną, jeśli tylko zgodzą się osiedlić na jego ziemi.

Przybysz był strasznie gadatliwy, a im dłuższa i bardziej nieprawdopodobna stawała się jego opowieść, tym bardziej się w niej plątał. Jeden z kapitanów da Gamy musiał zauważyć, że gość bacznie przygląda się ich uzbrojeniu, bo nabrał podejrzeń i postanowił wypytać o niego miejscowych. Z pomocą tłumacza dowiedział się, że Maur przyszedł na przeszpiegi i próbuje ich zwabić w piracką pułapkę. Nie czekając na rozwój sytuacji, Portugalczycy chwycili go pod pachy, wciągnęli na pokład i odbili od brzegu.

BIBLIOTECA ESTENSE UNIVERSITARIA DI MODENA

AKG BERLIN

Opis tego dziwnego spotkania można znaleźć pod datą 25 września 1498 roku w rękopisie niejakiego Alvara Velha z Barreiro, jednego z marynarzy Vasco da Gamy. Jego dziennik odnaleziony w roku 1834 w klasztorze Santa Cruz w Coimbrze jest jedyną znaną relacją z pierwszej podróży morskiej do Indii. Rękopis urywa się w drodze powrotnej, kiedy flota da Gamy opływa wschodnie wybrzeża Afryki. Velho był przypuszczalnie jednym ze skazańców, których Portugalczycy zostawiali na nowo odkrytych ziemiach w charakterze pierwszych osadników.

A tak na serio, to jestem Żydem

Na szczęście rękopis Velha nie jest jedynym źródłem, które wymienia tajemniczego Maura z wyspy Andżediwy. Najbardziej sensacyjnej informacji na jego temat dostarcza wspaniała „Kronika Wielce Szczęśliwego Króla Manuela" wydana w Lizbonie w roku 1566. Jak podaje jej autor, XVI-wieczny historyk portugalski Damião de Góis, Maur „poddany nowej torturze zeznał prawdę, mówiąc, iż jest Żydem pochodzącym z królestwa Polski, z miasta Poznania". Kronikarz wyjaśnia, że jego rodzina uciekła z Polski w roku 1456 „wskutek prześladowania Żydów". Jeśli w chwili spotkania z da Gamą tajemniczy poznaniak miał około 40 lat, to musiał urodzić się po roku 1450 i opuścić Polskę jako małe dziecko. Od de Góisa wiemy, że jego rodzice udali się do Palestyny, a następnie do Aleksandrii, gdzie od wieków działała prężna gmina żydowska. Tam osiedli na stałe.

W drugiej połowie XVI wieku Aleksandria była jednym z najważniejszych centrów handlowych na świecie. Po upadku Konstantynopola wszystkie dalekowschodnie szlaki handlowe znalazły się w rękach muzułmanów, a ten najważniejszy, którym sprowadzano indyjskie przyprawy, kończył się w egipskiej Aleksandrii. Zanim da Gama odkrył drogę morską do Indii, europejscy kupcy właśnie w Aleksandrii zaopatrywali się w indyjski pieprz, chińskie jedwabie i perskie dywany. Żydzi, którzy jako jedyni obcy kupcy mogli swobodnie podróżować po krajach muzułmańskich, zajmowali się nie tylko sprzedażą, lecz także importem zamorskich towarów. Handel dalekowschodni przynosił krociowe zyski. Nic dziwnego, że jako 20-latek nasz bohater wybrał właśnie karierę kupiecką.

Ale jak trafił z Aleksandrii do Indii? Jak każdy intratny zawód profesja kupiecka niosła ze sobą masę niebezpieczeństw. Największe stanowili piraci. Jeśli wierzyć najśmielszym domysłom, młodego aleksandryjskiego kupca rodem z Poznania napadnięto na Morzu Czerwonym, porwano i odstawiono do Afryki na najbliższy targ niewolników. Tam kupili go arabscy handlarze żywym towarem, wsadzili na okręt i wywieźli do Indii. Mniej sensacyjne wyjaśnienie głosi, że udał się do Indii w celach handlowych i po prostu postanowił tam osiąść.

Na Malabarze obrotny poznaniak przeszedł na islam, na cześć proroka przyjął imię Mehmet i zrobił karierę dworską, zostając szachem-bandarem na dworze Jusufa Adil Śaha, muzułmańskiego rządcy prowincji Goa. Na boku zajmował się handlem kamieniami szlachetnymi. Nowa wiara nie przeszkodziła mu ożenić się z malabarską Żydówką. Żona urodziła mu syna. 19 lat później Mehmet z Poznania po raz drugi padł ofiarą porwania. Tym razem uprowadzili go Portugalczycy.

Podczas trzymiesięcznej przeprawy przez Morze Arabskie Vasco da Gama zorientował się, że więzień jest o wiele cenniejszy niż ładunek przypraw korzennych wiezionych pod pokładem. Okazało się, że Żyd z Poznania jest wytrawnym żeglarzem, a Ocean Indyjski zna jak własną kieszeń. Jeszcze podczas podróży podyktował Portugalczykom listę krajów położonych nad Oceanem Indyjskim (spis ten znajduje się na końcu wspomnianego już dziennika Alvara Velha). Jak wynika z późniejszego listu Ameriga Vespucciego, już w chwili przyjazdu do Portugalii poznaniak znał porty Afryki Wschodniej, Arabii, Persji, Indii i Indochin, a także wyspy Cejlon, Sumatrę, Jawę i Moluki. Czy właśnie dzięki jego wiedzy Vasco da Gama zdołał odnaleźć drogę powrotną do Europy? Portugalskie kroniki nic o tym nie mówią. Ale czy powiedziałyby, gdyby tak było?

Więzień doskonale znał nie tylko Ocean Indyjski, lecz także realia miejscowego handlu. Podczas 30 lat spędzonych w Indiach nauczył się arabskiej nawigacji, opłynął okoliczne kraje, poznał miejscowe ludy, ich języki i obyczaje. Wiedział, gdzie szukać egzotycznych towarów, znał ich ceny i umiał pertraktować z indyjskimi handlowcami. Da Gama szybko zdał sobie sprawę, że Żyd z Poznania może być pomocny w utrzymaniu portugalskiego monopolu w handlu z Indiami. Za jego namową więzień zgodził się ofiarować swoje usługi Portugalczykom i przejść na służbę króla Manuela.

THE BRIDGEMAN ART LIBRARY

Załadunek portugalskich okrętów przed rejsem do Indii. Dzięki handlowi przyprawami Lizbona stała się jedynym z najważniejszych centrów handlowych XVI wieku

Żyd, muzułmanin, a w końcu chrześcijanin

Minęło 11 miesięcy, nim „Święty Gabriel" zawinął do lizbońskiego portu Rastelo. Nie bez racji nabrzeże w Lizbonie nazywano Portem Łez. Dwa lata wcześniej na czterech żaglowcach wyruszyła w morze 148-osobowa załoga. Z wyprawy powróciła zaledwie połowa floty i 55 marynarzy. Szczęśliwców, którzy zdołali przeżyć morderczą podróż, witano z najwyższymi honorami. Jednym z nich był Mehmet z Poznania.

Wkrótce po powrocie da Gama nakłonił go do przejścia na chrześcijaństwo. Mehmet nie miał wielkiego wyboru: jako Żyd nawrócony na islam nie mógł liczyć na karierę w portugalskiej marynarce. Na chrzcie przyjął imię Kacper – na pamiątkę jednego z Trzech Króli, legendarnego władcy Indii. Vasco da Gama musiał żywić do niego ogromny sentyment, bo nie dość, że stanął przy chrzcielnicy starszego o 10 lat chrześniaka, to dał mu nawet swoje nazwisko. W ten oto sposób Żyd z Poznania przyjął trzecią z kolei wiarę i został Gasparem da Gamą.

Ojciec chrzestny zatroszczył się również o karierę swego podopiecznego. Zaprowadził go na dwór Manuela Szczęśliwego i przekonał króla, aby nadał mu tytuł kawalera dworu i przyznał państwową pensję. Manuel wiedział, w co inwestuje. Już w sierpniu 1499 roku w liście do kardynała Jorge da Costy wyrażał się o Gasparze z najwyższym uznaniem: „Dobry znawca krajów nadbrzeżnych od Aleksandrii aż do nich i od Indii do wnętrza lądu i Tartarii aż do Wielkiego Morza". Niewykluczone, że właśnie pod wpływem relacji Gaspara król postanowił wysłać do Indii kolejne ekspedycje.

W Portugalii Gaspar znalazł sobie nie tylko nową wiarę, lecz także kolejną żonę. Ale portugalska szlachcianka wyszła na tym niewiele lepiej niż jej indyjska poprzedniczka. Ze swoją wiedzą i umiejętnościami Gaspar był doskonałym kandydatem na uczestnika drugiej wyprawy do Indii. Tym razem na dowódcę król wybrał człowieka, który nigdy wcześniej nie był na pełnym morzu. Dworzanin Pedro Alvarez Cabral dostał we władanie ogromną jak na owe czasy flotę: 13 okrętów i załogę liczącą półtora tysiąca ludzi. Miał płynąć dokładnie według wskazówek Vasco da Gamy. Gaspar został tłumaczem i nawigatorem na jednym z okrętów. Po kilkumiesięcznym pobycie w Portugalii 9 marca 1500 roku przechrzta z Poznania ponownie wyruszył w morze.

Ledwo wypłynęli na Atlantyk, u wybrzeży zachodniej Afryki flota Cabrala trafiła na silny sztorm. Nawałnica zniosła okręty daleko na zachód. Sześć tygodni po rozpoczęciu podróży żeglarze dostrzegli na horyzoncie nieznane wybrzeże i wysoką górę. 24 kwietnia 1500 roku okręty Cabrala rzuciły kotwicę u wybrzeży Brazylii. Jako tłumacz Gaspar da Gama był jednym z pierwszych Europejczyków, którzy postawili nogę na lądzie. Nie zdając sobie jeszcze sprawy z rozmiarów odkrytej ziemi, Cabral ochrzcił ją nazwą Wyspy Prawdziwego Krzyża i w imieniu króla oficjalnie wziął w posiadanie.

Na wybrzeżu Portugalczycy ustawili wielki krzyż, pod którym 1 maja odbyła się uroczysta msza święta. Potem Cabral odesłał jeden ze statków do Lizbony. Na pokładzie znajdowały się papugi, bale drewna *pau-bresil*, dwóch tubylców i list oznajmiający królowi Manuelowi odkrycie nowego lądu. Napisał go

JOSÉ ROSEAL/PAULISTA MUSEUM/UNIVERSITY OF SÃO PAULO COLLECTION

Indianie witają Portugalczyków po lądowaniu w Brazylii w roku 1500. Wśród żeglarzy otaczających Cabrala stoi prawdopodobnie Gaspar da Gama

niejaki Pedro Vaz de Caminha. Pierwszy list z Brazylii kończył się następującymi słowami: „Całuję Wasze dłonie i pozdrawiam Waszą Wysokość z Porto Seguro na Waszej Wyspie Prawdziwego Krzyża. Piątek, 1 maja 1500".

Kilka miesięcy później, podążając drogą wytyczoną przez Vasco da Gamę, flota Cabrala dotarła wreszcie do Wybrzeża Malabarskiego. Pierwszym punktem podróży był Kalikat, najważniejszy port handlowy na Malabarze. Stosunki dyplomatyczne z Kalikatem Portugalczycy nawiązali już podczas pierwszej wyprawy do Indii. Vasco da Gama przywiózł nawet list miejscowego władcy do króla Portugalii. Już wtedy w dokumencie spisanym po arabsku na liściach palmowych radża Kalikatu złożył Manuelowi propozycję rozpoczęcia wymiany handlowej: „Vasco da Gama, szlachcic z waszego dworu, przybył do mojego kraju, czemu jestem rad. W moim kraju jest dużo cynamonu, goździków, imbiru, pieprzu i drogich kamieni. Z twojego kraju chciałbym dostać złoto, srebro, korale i szkarłat".

Z tłumacza negocjator

Cabral miał w Kalikacie założyć faktorię i podpisać z radżą oficjalny układ handlowy. Jak podaje Damião de Góis, Gaspar da Gama uczestniczył w rozmowach w charakterze tłumacza. Łatwo się jednak domyślić, że ze swoją wiedzą odegrał w negocjacjach dużo większą rolę niż ta, którą przypisuje mu oficjalna portugalska kronika. Ze zwykłego uczestnika wyprawy stał się ważnym negocjatorem handlowym. Kupował przyprawy, pośredniczył w kontaktach z miejscowymi władcami, a dzięki swej znajomości rynku zdobywał dla Portugalczyków towary po najlepszych cenach.

Z początku wszystko układało się pomyślnie. Portugalczycy dostali magazyn w porcie, a radża – zadowolony z listu od Manuela przywiezionego przez Cabrala – podpisał traktat handlowy. Kopia dokumentu wyryta na srebrnej płycie i opatrzona złotą pieczęcią władcy Kalikatu miała wrócić do Lizbony. Jednak gdy przyszło do zakupów, okazało się, że w Kalikacie nagle zabrakło przypraw i na portugalskie okręty nie ma czego ładować. Po kilku tygodniach spędzonych w porcie Portugalczycy zorientowali się, że mimo zawartego układu większość towarów radża sprzedaje swoim stałym klientom, czyli kupcom arabskim. Aby to udowodnić, zajęli jeden z ich okrętów, kiedy wyładowany po brzegi przyprawami opuszczał port w Kalikacie. Rozwścieczony radża kazał zabić portugalskich handlowców przebywających na lądzie i zburzyć faktorię. W odwecie Cabral dopuścił się rzezi mieszkańców Kalikatu i ostrzelał miasto.

Portugalczykom nie pozostało nic innego, jak szukać przypraw gdzie indziej. Za radą Gaspara Cabral udał się na zakupy do portu w Koczinie, którego władca toczył wojnę z radżą Kalikatu i tym chętniej udzielił pomocy Portugalczykom. Po załadowaniu faktorii i załadowaniu przypraw 10 stycznia 1501 roku flota Cabrala wyruszyła w drogę powrotną.

U wybrzeży Afryki Gaspar da Gama poznał kolejnego wielkiego odkrywcę. W afrykańskim porcie Bezeguiche (obecnie w Senegalu) spotkał Ameriga Vespucciego. Dzięki relacjom Gaspara toskański kupiec i kartograf uzupełnił swoje mapy wybrzeża Ameryki Południowej i Oceanu Indyjskiego.

Z wyprawy Cabrala Gaspar powraca w glorii i chwale. Chcąc nagrodzić jego wkład w powodzenie ekspedycji, król czyni go swoim doradcą do spraw indyjskich. W roku 1502 Gaspar kolejny raz opuszcza port w Rastelo. Trzecią portugalską flotę prowadzi do Indii sam Vasco da Gama, który tuż przed wyjazdem otrzymuje od króla tytuł admirała Mórz Indyjskich.

Od roku 1505 Gaspar jest doradcą portugalskich wicekrólów Indii. Za jego radą Portugalczycy zakładają swoje faktorie handlowe w prowincji Goa, która z czasem stała się centrum portugalskich kolonii w Indiach (wycofają się stamtąd dopiero w roku 1961).

W listopadzie 1505 roku Gaspar odnajduje w Indiach swojego syna z pierwszego małżeństwa. Okazuje się, że podobnie jak ojciec przyjął chrześcijaństwo i pracuje jako tłumacz w portugalskiej faktorii w Koczinie. Na imię ma Baltazar – tak samo jak ostatni z Trzech Króli.

Gaspar jest królewskim zausznikiem w Indiach: pilnuje interesów korony, donosi o niedociągnięciach i przekrętach portugalskich urzędników. Portugalczycy go szanują, a miejscowi władcy lubią robić z nim interesy. W liście do Manuela z roku 1509 radża Koczinu prosi nawet o pozostawienie Gaspara na stanowisku w Indiach. Mimo to w roku 1510 Gaspar da Gama wraca do Lizbony. I przepada jak kamień w wodę.

Sześć lat później niemiecki geograf Martin Waldseemüller wydaje wielką mapę żeglarską. Jego „Carta marina" jest kompilacją ówczesnej wiedzy geograficznej. Waldseemüller czerpie z wielu różnych źródeł, między innymi z „relacji indyjskiego Żyda Kacpra", który zostawił po sobie „ilustrowaną księgę podróży dedykowaną królowi Portugalii"... Dzieło, przypuszczalnie opatrzone mapami, przepadło bez wieści tak samo jak jego autor.

Kto kupił niewolnicę?

Nazwisko Gaspara da Gamy pojawia się po raz ostatni w raporcie z rejsu portugalskiego żaglowca „São Miguel" do Afryki z roku 1522. 4 lipca, podczas postoju w Beninie, majtek pokładowy o tym samym imieniu i nazwisku kupuje sobie niewolnicę, za którą odprowadza nawet podatek do kasy króla Portugalii. Czyżby wnuk poznańskiego żeglarza dostał imię po dziadku?

400 lat później na trop poznańskiego Żyda w służbie portugalskich odkrywców trafił Joachim Lelewel. Jedyne polskie opracowanie na temat Gaspara da Gamy ukazało się w roku 1931 w Kronice Miasta Poznania. Artykuł napisał historyk polskiej geografii Bolesław Olszewicz.

Dotąd nie wiadomo, jak brzmiało jego pierwsze imię. Dla Arabów był Mehmetem, dla Portugalczyków został Gasparem da Gamą. Ale używał jeszcze innego nazwiska: da India, czyli po prostu „z Indii". Choć urodził się w Poznaniu, jako Żyd z pewnością nie czuł się Polakiem. Mimo to pozostanie jedynym poznaniakiem, który przyłożył rękę do wielkich odkryć geograficznych.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

Czerwoni Khmerzy islamu

Wypaczenie nauk Proroka i nieprawdopodobne okrucieństwo talibów zniszczyło resztki zasad moralnych ludności Afganistanu

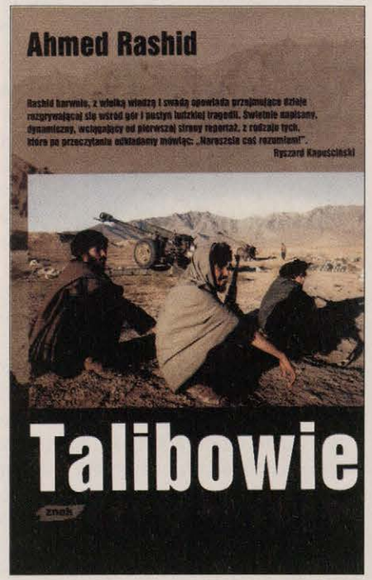

Gdyby w amerykańskim kodeksie karnym istniała odpowiedzialność zbiorowa, a dociekania dziennikarskie starczyły za akt oskarżenia – to proces przeciwko talibom uwięzionym w Guantanamo mógłby się już rozpocząć. Książka Ahmeda Rashida – pakistańskiego dziennikarza – spełnia bowiem kryteria ekspertyzy sądowej zamówionej u najlepszego biegłego. W dodatku ekspertyza ta mogłaby być uznana zarówno za głos strony oskarżającej, jak i głos obrońców.

Historia talibów nie jest bowiem jednoznaczna.

W roku 1998 Kofi Annan pytał na forum ONZ: jak to możliwe, że w 20-milionowym kraju 50 tysięcy uzbrojonych mężczyzn trzyma całą ludność w szachu? Ahmed Rashid nie ma wątpliwości. Talibowie perfekcyjnie wykorzystali ideologiczną pustkę po latach wojny w Afganistanie i doskonale, latami, negocjowali z amerykańskimi firmami naftowymi trasy ropociągów z Turkmenistanu. Efektem polityki talibów było totalne zdemoralizowanie islamu na tym terenie i przekonanie amerykańskich polityków, że akceptowanie talibskich reguł gry leży w interesie amerykańskiej racji stanu. Obie rzeczy udały się wyśmienicie.

Ahmed Rashid jeszcze w latach 80. wizytował nieliczne wtedy medresy. Szkoły koraniczne były dla młodzieży afgańskiej rozsianej przy granicy z Pakistanem w setkach i tysiącach obozów dla uchodźców jedyną szansą na jakąkolwiek edukację. Nic dziwnego, że uczący tam wiejscy mułłowie bardzo szybko stali się autorytetami i panami świadomości afgańskiej młodzieży. Gdy kilkanaście lat później szykowała się ofensywa talibów na Kandahar, potem Kabul, a potem na Mazar-i-Szarif, wystarczył jeden apel mułły Omara, aby tysiące gotowych i zdyscyplinowanych rekrutów zasiliło przetrzebioną armię. W latach 90. absolwenci medres stanowili już talibski rząd. Okaleczeni (kilkunastu ministrów mułły Omara nie miało nóg, rąk bądź zostało oślepionych na froncie) i nieukarani (z ortografii talibskich dekretów śmiały się nawet dzieci w Kabulu) w ciągu kilku zaledwie lat swoich rządów kompletnie przewartościowali Koran.

Przełomowe było morderstwo ostatniego prezydenta Afganistanu Nadżibullaha i jego brata. Talibowie po zdobyciu Kabulu obu braci aresztowali, wykastrowali i powiesili z papierosami zatkniętymi między okaleczone palce stóp. Okrucieństwo można było jeszcze jakoś zrozumieć – pisze Rashid – jednak zakaz pochówku obu polityków afgańskim muzułmanom nie mieścił się w głowach. Na sugestie Rashida, jakimi ten dzielił się z ministrami mułły Omara, że bestialstwo stoi w sprzeczności z naukami Proroka – otrzymywał jedną i tę samą odpowiedź: „My wierzymy, że Allah jest po naszej stronie".

Wypaczenie nauk islamu widoczne było jeszcze bardziej na przykładzie stosunku talibów do kobiet. Ahmed Rashid twierdzi, że talibowie – ten afgański lumpenproletariat – wychowali się w środowisku bez kobiet. Wiejscy mułłowie wtłaczali przyszłym bojownikom, że kobiety są siedliskiem grzechu. Nikt zatem nie protestował – wręcz przeciwnie, uznano to za rzecz absolutnie naturalną – gdy pojawiły się dekrety zakazujące kobietom poruszania się po ulicach, uczestniczenia w życiu publicznym, a nawet noszenia butów na wysokich obcasach lub wizyt u krawców.

To wypaczenie nauk Proroka i nieprawdopodobne wręcz okrucieństwo talibów zniszczyło zdaniem Rashida resztki zasad moralnych ludności Afganistanu. Jednak sukces talibów nie byłby możliwy bez wielkiej polityki. Rashid nazywa to Wielką Grą, bo i stawka jest wysoka. To miliardy dolarów ukryte pod piaskami Turkmenistanu.

W połowie lat 90., po próbnych odwiertach, okazało się, że złoża ropy w rejonie kaspijskim przewyższają te w Stanach i Europie razem wzięte. Na przełomie lat 1994/1995 doszło do pierwszych oficjalnych kontaktów amerykańskich biznesmenów z talibami. „Niektórzy amerykańscy dyplomaci postrzegali (talibów) jako mesjanistycznych szerzycieli dobra – kogoś w rodzaju żarliwych chrześcijan z południa Stanów Zjednoczonych" – pisze Rashid. Wkrótce firmy naftowe zaczęły zapraszać do Stanów delegacje talibów. Prezenty sypały się obficie. Jakaś firma założyła sieć telefonii komórkowej (przydała się potem przy koordynowaniu ataku na Kabul), inna obiecała wybudowanie drogi i lotniska. Ciepłe kontakty z talibami trwały do roku 1999.

Wśród polityków zatrudnionych przez firmy naftowe znaleźli się między innymi Zbigniew Brzeziński, były zastępca sekretarza obrony narodowej Richard Armitage, były szef Białego Domu John Sununu, byli sekretarze stanu Lawrence Eagleburger i Henry Kissinger. Lista ta jest jeszcze dłuższa.

Zimny prysznic przyszedł dopiero 11 września 2001 r.

Książka Ahmeda Rashida to dokument i kryminał. Niewielu dziennikarzy tak doskonale zna bohaterów dramatu w rejonie kaspijskim. Politycy talibscy czuli się przy Rashidzie bezpiecznie i bez ogródek tłumaczyli swoje zamiary. Gdyby ta dogłębna analiza talibskiej mentalności ukazała się drukiem trochę wcześniej... Zapewne świat – nie tylko Afganistan – wyglądałby inaczej.

MICHAŁ WÓJCIK

Ahmed Rashid „Talibowie", Znak 2002

O życiu poezji

Pewien znajomy student polonistyki poczuł zbliżającą się przerwę międzysemestralną i poczynił ważny zakup z dziedziny konfekcji sportowej. Trzeba dodać, że ów student mieszka nieopodal Warszawy i jeździ pociągiem elektrycznym. W pociągu zgubił zakup kosztujący niebagatelną część jego kasy. Zorientował się, gdy wysiadł na swojej stacji. Z małą dozą nadziei następnym pociągiem chciał dogonić ten swój. Na najbliższej stacji węzłowej już go nie było.

Student odszukał dyspozytornię. Przyjęto go po ludzku. Znaleziono odpowiedni pociąg w rozkładzie. Przez telefon czy radio poproszono kolegów kolejarzy o pomoc. Czekanie jednak musiało potrwać. Dyspozytor w zaawansowanym wieku średnim podpytywał studenta, co robi, co studiuje. No więc polonistykę. A jakich lubi poetów? Student coś bąka, że różnych. A na to dyspozytor: „Bo ja zatrzymałem się na Gałczyńskim. To był poeta!" – i zacytował coś z pamięci. Kiedyś tak się robiło. Czytało się poezję prywatnie, dla przyjemności. Oczywiście niektórzy i teraz to robią, wbrew obiegowej opinii, że poezji nikt nie chce.

Dyspozytor i student czekają i gadają. W końcu nie zawsze ma się tyle szczęścia, żeby na jednej ławeczce spotkało się dwóch miłośników poezji. Dyspozytor lubi wczesnego Miłosza. A z prozaików bardzo, bardzo mu odpowiada Konwicki. Kresy u niego. Siedzą więc i rozmawiają o tym, co lubią – o utworach, które oprócz żywota podręcznikowego i zawodowego miewają u niektórych czytelników swój kąt prywatny.

Jak to się skończyło? Świetnie. Piszę tu felieton o szczęściu, więc skoro kolejarze obiecali znaleźć paczkę, to ją znaleźli. Potem któryś ją przywiózł. Dwaj czekający panowie porozmawiali od serca o poezji. Podobno student miał jeszcze przy sobie 3 złote 30 groszy i na końcu ofiarował je dyspozytorowi na piwo, o którym ten od razu nadmienił, że wypije je z chęcią po służbie. Tego wszystkiego naraz sama bym nie wymyśliła. Nie jestem fantastką.

Małgorzata Baranowska

Co? Ja zazdrosna?

RYS. MAREK SOBCZYK/ZAFRYKI

Jak sobie Pani radzi z zazdrością?

– Zwyczajnie: nie zazdroszczę. Cieszę się, kiedy odnosi sukces ktoś tak śliczny jak Grażyna Torbicka, tak mądry jak Ryszard Kapuściński, tak potrzebny jak Zbigniew Religa. Śmieszy mnie, kiedy publika szaleje za takim szmirusem jak X, takim mądralą jak Y, takim bezguściem jak Z.

Czy przed laty zazdroszczono Pani jako młodej tancerce-solistce?

– Nie było czego zazdrościć, bo nie byłam znowu taka nadzwyczajna. Zazdrościły mi wyłącznie koleżanki z zespołu baletowego, w którym wcześniej tańczyłam. Może to niewiele, ale satysfakcja była ogromna.

A jak patrzyła Pani na primabalerinę?

– Pełna zachwytu i nienawiści.

O proszę. To pewnie i o męża też bywała Pani zazdrosna?

– Nie. Jurek bardzo lubił ładne panie i to z wzajemnością. I ja tak samo. Z tą różnicą, że w moim wypadku chodziło o interesujących panów. Często w knajpach albo rozmaitych okolicznościach towarzyskich w jednym końcu stołu on podrywał zabójczą blondynkę, a przy drugim ja wdzięczyłam się do zabójczego bruneta i wszyscy się dobrze bawili.

Wygląda to idyllicznie, a jak było naprawdę?

– Po powrocie do domu lubiłam ciepło skomentować, że tej fajnej dziewczynie parę kilo mniej nie odebrałoby uroku. Chociaż pewnie wyrażałam się precyzyjniej, zauważając, że ta blondynka wygląda tak, jakby miała umrzeć na suchoty. Teraz suchoty niemodne, więc obecnie raczej zwróciłabym uwagę na brak zagrożenia u tej osoby anoreksją. Wiem, to szczyt banału, ale niech ciśnie we mnie, czym chce, ta, która nie komentuje rzucania małżeńskim okiem na zabójczą blondynkę, czy nawet szatynkę.

Nareszcie! Wyszło szydło z worka.

– Nie masz co triumfować, to żadna zazdrość. Po prostu obiektywny rzut oka na to tłuste babsko.

Nie wierzę, żeby Pani ostatnio nie zazdrościła Hance Bielickiej świętującej jubileusz 60-lecia występowania na scenie albo Joannie Chmielewskiej, która jednocześnie z siedemdziesiątką skończyła kolejną nową powieść.

– No pewnie, że im zazdroszczę. Kto by im nie zazdrościł? Ale nie mam im za złe. To nie ich wina, że są lepsze ode mnie. Chwalę je bez „ale".

Stefania Grodzieńska

Rozmawiała **BEATA KĘCZKOWSKA** („GW")

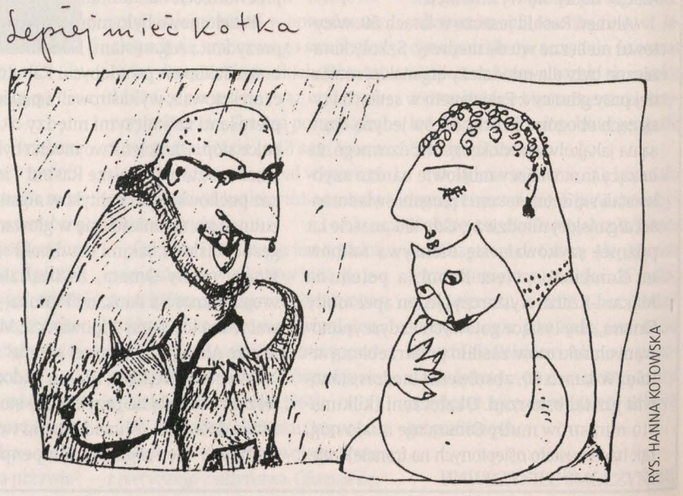

RYS. HANNA KOTOWSKA

Dźwignia handlu

Gdy byłem mały, nie było w Anglii snickersów. To znaczy były, ale nazywały się inaczej – Marathon. Sama nazwa obiecywała, że smakołyk nie tylko zaspokoi głód, lecz także da siłę, by konsument mógł pokonać wszystko, chociażby maraton. Dziwna sprawa, ale odkąd zmieniła się nazwa, batoniki już nie smakują tak jak kiedyś. Chociaż nie wątpię, że receptura została ta sama.

Przytoczyłem ten przykład, żeby pokazać, jak silnie może na nas oddziaływać promocja i reklama. Oczywiście, o ile ją rozumiemy. Przyznam, że nie zawsze mogę to powiedzieć o reklamach w Polsce. Jakiś czas temu była taka reklama w telewizji: łódź na pełnym morzu, mnóstwo zbliżeń przemoczonej i przepracowanej załogi. Fale, wiatr, te sprawy. Oglądałem tę reklamę z 10 razy, ale cały czas nie rozumiem, o co w niej chodzi. Jak się ludzi pytam, to się tylko głupio uśmiechają i mruczą coś pod nosem o jakiejś łódce. Można byłoby rzec, że w Polsce reklama jest tak zaawansowaną formą przekazu, iż nie trzeba nawet wspominać o tym, jaki produkt jest reklamowany.

Zazwyczaj jednak wiadomo to dokładnie. Czasami aż zbyt dokładnie. Na przykład te *billboardy*, które zawsze się pojawiają w Polsce przed Wszystkimi Świętymi. Znicze – osiem sztuk tylko cztery złote – lub coś w tym stylu. Skoro jest już cały *billboard*, to dlaczego nie pójść na całość? „Znicze. Tylko cztery złote. Kupujcie, póki możecie!". Reklamy w Polsce raczej nie grzeszą subtelnością. Oczywiście, wszyscy wiemy, że świat reklamy to obraz naszego społeczeństwa widzianego w krzywym zwierciadle, problem w tym, że trudno jest chociaż częściowo nie identyfikować się z postaciami z tych filmików. Ja cały czas mam kompleksy z powodu mężczyzny z pewnej reklamy, który chce kupić dla siebie wiertarkę za punkty zaoszczędzone w jakimś tam programie.

Najbardziej lubię reklamy produktów o tradycyjnym polskim smaku, gdzie w tle widać górę Matterhorn i chaty alpejskie. Z tego, co zauważyłem, znacznie zabawniejsze od samych reklam są jednak nazwy poszczególnych produktów. Soki Fart można było kiedyś kupić wszędzie, potem nagle zniknęły z dnia na dzień. Bardzo nad tym ubolewałem, ponieważ kupowałem je hurtowo dla moich kumpli w Anglii. *Fart* to po angielsku to samo co „bączek". Niezbyt szczęśliwa nazwa dla napoju, nawet jeśli nie był gazowany. Takich produktów jest dużo więcej. Poxipol to inaczej nędzny Polak (*poxy Pole*). Wydawałoby się, że palenie papierosów marki Lady Di byłoby dla Anglika czymś graniczącym z bluźnierstwem, jednak pewien mój znajomy kupił sobie 10 paczek na zapas i cały czas mnie męczy, żebym mu więcej przysłał. Podobno robią furorę na imprezach w Anglii. Dobrze, że nie ma marki słynnej palaczki księżnej Małgorzaty.

Niebawem polskie firmy staną przed wielką szansą promowania swoich produktów na arenie europejskiej. Oczywiście, mogą pójść śladem Snickersa i wybrać jakąś sprawdzoną, uniwersalną nazwę. Ale czy musi tak być? Może i Fart odniósłby sukces w Anglii? Im więcej się nad tym zastanawiam, tym bardziej mi się wydaje, że pan Osram naprawdę wiedział, co robi, sprzedając żarówki w Polsce.

Christiaan van Lierop

RYS. MORDILLO©2002 OLI VERLAG N.V.

Guillermo MORDILLO

Hełm bojowy króla Szwecji Gustawa I Wazy

Wołajmy tedy: kto żyw, niechaj bieży do zamku króla i odbiera, co było nasze, a nie jest!

Król Polski Władysław IV. Najlepszy Waza na polskim tronie

Szwedzi znów w Warszawie

Tak imć Jan Chryzostom Pasek napisałby, gdyby jeszcze żył. Niestety. Ten dzielny wojak duszę już Panu powierzył, i to trzysta z górą lat temu. Pozostaje nam tedy obejrzeć na wystawie w Warszawie to, co Szwedzi nam zabrali.

Jest 30 października 1655 r. Szwedzkie wojska już trzeci miesiąc rabują zdradzoną Rzeczpospolitą. Trzeba dodać, że spustoszenie czyni Karol Gustaw, król szwedzki, bliski krewny króla polskiego Jana Kazimierza. Jeden z ostatnich bastionów wolnego kraju – Kraków – opuścił już Stefan Czarniecki, cofając się na Śląsk. Armia szwedzka staje przed twierdzą Krzyżtopór w Ujeździe. Pana Krzysztofa Ossolińskiego nie ma w zamku. Ruszył bronić granic państwa. Szwedzi tymczasem otaczają gigantyczne fortyfikacje. Zamek to jakby pięcioramienna gwiazda, baszt posiadał tyle, ile kwartałów w roku, wielkich sal tyle, ile miesięcy, mniejszych komnat – ile tygodni, okien – ile dni w roku. Cud świata z marmuru i złota. Wielkiej bramy broniły granitowe, kilkumetrowe topór i krzyż – herb zamku. A obrazów tyle, że gospodarz kazał powywieszać je na zewnątrz murów. Gdybyż wtedy w zbliżające się oddziały odpalił zamkowy puszkarz i – daj Boże! – trafił w wóz z prochem najeźdźcy. Może by i Szwedzi odstąpili od oblężenia, a twierdza ostała się, jak Zamość czy Częstochowa.

Nikt jednak do Szwedów nie strzelał. Wdarli się bowiem do twierdzy podstępem. Namówili, jak dziś turyści, kasztelana zamkowego do oprowadzenia ich po komnatach. Czegoś równie pięknego nie widzieli do tej pory – twierdzili, i była to jedyna prawda, jaką tego przeklętego dnia wypowiedzieli. Bramę rozwarto. Szwedzkie dowództwo wjechało na podkowiasty dziedziniec. Konie odstawiono zaraz do stajni, a trzeba wiedzieć, że koniom w Ujeździe było lepiej niż szlachcie w stołecznej karczmie w czasie sejmu. Żłoby wykute w marmurze, a przed każdym zwierzęciem – lustro. Kasztelan wprowadził gości do gabinetu Ossolińskiego. Zadarli głowy. Ponad sufitem z kryształu pływały ryby sprowadzone z kilku oceanów. W dobrych czasach wśród ryb pluskały okoliczne chłopki przebrane za syreny. Teraz syren nie było, ale i tak gęby szwedzkie rozdziawiły się w niemym zachwycie.

Zamek splądrowano dzień później. Okupanci wywieźli 200 wozów łupów. Wielką kolekcję obrazów, meble, całą zbrojownię, bezcenny księgozbiór, wyżarli ryby z akwarium i podpalili twierdzę. Podobnie zresztą obeszli się z kilkudziesięcioma innymi twierdzami, które zdobywali lub zajmowali bez jednego wystrzału. Z Nowego Wiśnicza Lubomirskich wywieźli 150 wozów, w tym nawet złocone okiennice, mosiężne klamki i ołowiane skoble do spinania dywanów na schodach. Warszawę rabowali trzy dni i to, czego nie zdołali wywieźć na koniach i wozach, spławili Wisłą. Ich łupem padały stare, pamiętające Piastów księgi, złota broń królów polskich, srebra rodowe Jagiellonów, zdobyczne proporce i chorągwie dawnych wrogów Rzeczypospolitej.

Nic się nie ostało. Napływ złota i srebra z Polski do Szwecji w tym czasie śmiało można porównać do napływu złota Inków i Azteków z Ameryki do Hiszpanii sto lat wcześniej. Tylko płacz i zgrzytanie zębów. Nasz kraj już nigdy się nie podniósł z upadku i w zasadzie, gdy sto lat później zaczęły się rozbiory, dzielono już nędzne resztki tego, co stanowiło niegdyś o świetności państwa.

Nam po wiekach pozostaje tylko nadzieja, że warownej twierdzy Krzyżtopór nie rabował niejaki Magnus Gabriel De La Gardia. Portret tego kanclerza Szwecji wisi teraz na wystawie w Zamku Królewskim. Człowiek o aparycji hipopotama i rączkach damulki spogląda w sali tronowej Stanisława Augusta Poniatowskiego na zrabowane przez siebie dobra i śmieje się w duchu. Z Polaka się śmieje.

Kiedy Jagiełło bił Krzyżaków, przeciętny Szwed na obiad raczył się jednym śledziem. Chodził w łapciach i o Jagiellonach, Habsburgach czy innych możnych tego świata nie miał bladego pojęcia. Dopiero Gustaw I na tyle skutecznie pobił Duńczyków, że koronował się na króla Szwecji i wciągnął kraj na arenę wielkiej polityki.

Jego syn Jan III ożenił się z siostrą Zygmunta Augusta – Katarzyną. Owoc tego związku to przekleństwo Polski: król Zygmunt III Waza. Co z tego, że mamy jego kolumnę w Warszawie – skądinąd ładny zabytek?

Cóż z tego, że za jego panowania polskie wojska czapkami bojarów paliły w piecach Kremla?

Więcej było potem kłopotów aniżeli zysków z jego panowania. Zygmunt Waza nie mógł się nawet zdecydować, czy zostać królem Polski, czy jednak wrócić do Szwecji i tam panować nad białymi niedźwiedziami.

Gdyby go siłą nie przytrzymał Jan Zamoyski, kłopot mielibyśmy z głowy. Ale niestety. Zygmuntowi udało się zdobyć koronę Szwecji i panować w Uppsali kilka lat. Potem bratanek polskiego króla Karol Sudermański zbuntował się przeciwko polskim zwyczajom, które Zygmunt zaprowadził na szwedzkim, a w dodatku luterańskim dworze, i sprowokował Polskę do wojny.

Można na to spojrzeć jeszcze inaczej. Polscy Wazowie, bijąc się ze szwedzkimi Wazami, wciągnęli nasz biedny kraj w środek swoich własnych kłopotów i problemów. Bili się o swoje sprawy naszym kosztem.

Z początku szło nieźle – Szwedzi dostali łupnia pod Kircholmem, a ich król uciekał w galotach – jak piszą kronikarze. Ale potem było już coraz gorzej. Obrywaliśmy co i rusz, a najgorzej przez kilka lat potopu szwedzkiego. I pomyśleć, że Karol Gustaw wyprawił się do Polski tylko po to, aby rabować. Polityczne znaczenie wyprawy było nijakie: polski król zrzekł się tytułu władcy Szwecji. Z kolei za ostatniego króla z rodu Wazów, Jana Kazimierza, Szwedzi powinni przepraszać nas do dziś. Jego panowanie nosiło inicjały ICR: Johannes Casimirus Rex. Z czasem zaczęto je odczytywać jako Initium Calamitatis Regni – początek klęski królestwa. I rzeczywiście: po jego panowaniu i ogółem po 80 latach panowania Wazów Rzeczpospolita wyglądała fatalnie. Miasta zburzone, pola w odłogu, szlachta skłócona, armii brak.

A Jan Kazimierz? Abdykował i wyjechał do Francji. Tam zmarł jako... kardynał.

To niestety nie był koniec naszych kontaktów ze Szwedami. 40 lat po podpisaniu pokoju w Oliwie wojska szwedzkie znowu pustoszyły tereny Rzeczypospolitej.

Wystawa na Zamku Królewskim w Warszawie nosi tytuł „Orzeł i trzy korony". I taki też jest bilans sąsiedztwa przez morze. Nam się ostał wyliniały ptak, a im – trzy złote korony.

Tak wygląda złośliwa wersja naszych stosunków ze Szwedami. Ale przecież bywało, że Szwed bratankiem był Polaka i w dodatku dbał o zdrowie jego i kulturę. Tak jak Władysław IV – syn króla Zygmunta III.

Ten monarcha pod koniec życia był tak gruby, że miał kłopoty ze staniem na nogach. Podczas mszy w katedrze św. Jana chore na reumatyzm nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Upadł. Okazało się jednak, że nie tylko z powodu słabowitych kończyn i kłopotów z nadwagą. Króla pokonał dolatujący spod posadzki smród rozkładających się zwłok pochowanych tam dostojników. I właśnie dzięki Wazom zmarłych przestano chować w kościołach, co znacznie poprawiło warunki higieniczne, w jakich żyli mieszkańcy Rzeczypospolitej.

A nogi Władysława IV? Ten wspaniały i odważny król reumatyzmu nabawił się w dzieciństwie. Nie grał w piłkę w zamkowych ogrodach, ale dzielił ciężki los z żołnierzami. Jako królewicz w roku 1621 po wielkiej klęsce pod Cecorą wytrwał z polsko-kozacką armią w oblężonym Chocimiu. Deszcz lał kilka tygodni, a wojsko z głodu wyżarło wszystkie szczury w obozie. Armia turecka jednak nie wdarła się do Rzeczypospolitej. Za taką odwagę i męstwo młodzieniaszek dostał od papieża miecz obrońcy wiary chrześcijańskiej. I miecz ten można obejrzeć na wystawie na Zamku wśród wielu innych świetnych eksponatów.

Kanclerz Szwecji Magnus Gabriel De La Gardia

DOFINANSOWANIE ZAMKOWY KRÓLEWSKIEMU W WARSZAWIE

Kilka lat temu Rosjanie wystawili w Moskwie wywieziony z Berlina przez Armię Czerwoną tzw. Skarb Priama. Był to przełom w historii muzealnictwa obu krajów, wystawa na Zamku jest przełomem w historii muzealnictwa polsko-szwedzkiego.

MICHAŁ WÓJCIK

Wystawa „Orzeł i trzy korony" jest otwarta do 7 lipca na Zamku Królewskim w Warszawie. Czynna jest od wtorku do soboty od 10 do 18, w niedziele i poniedziałki od 11 do 18.

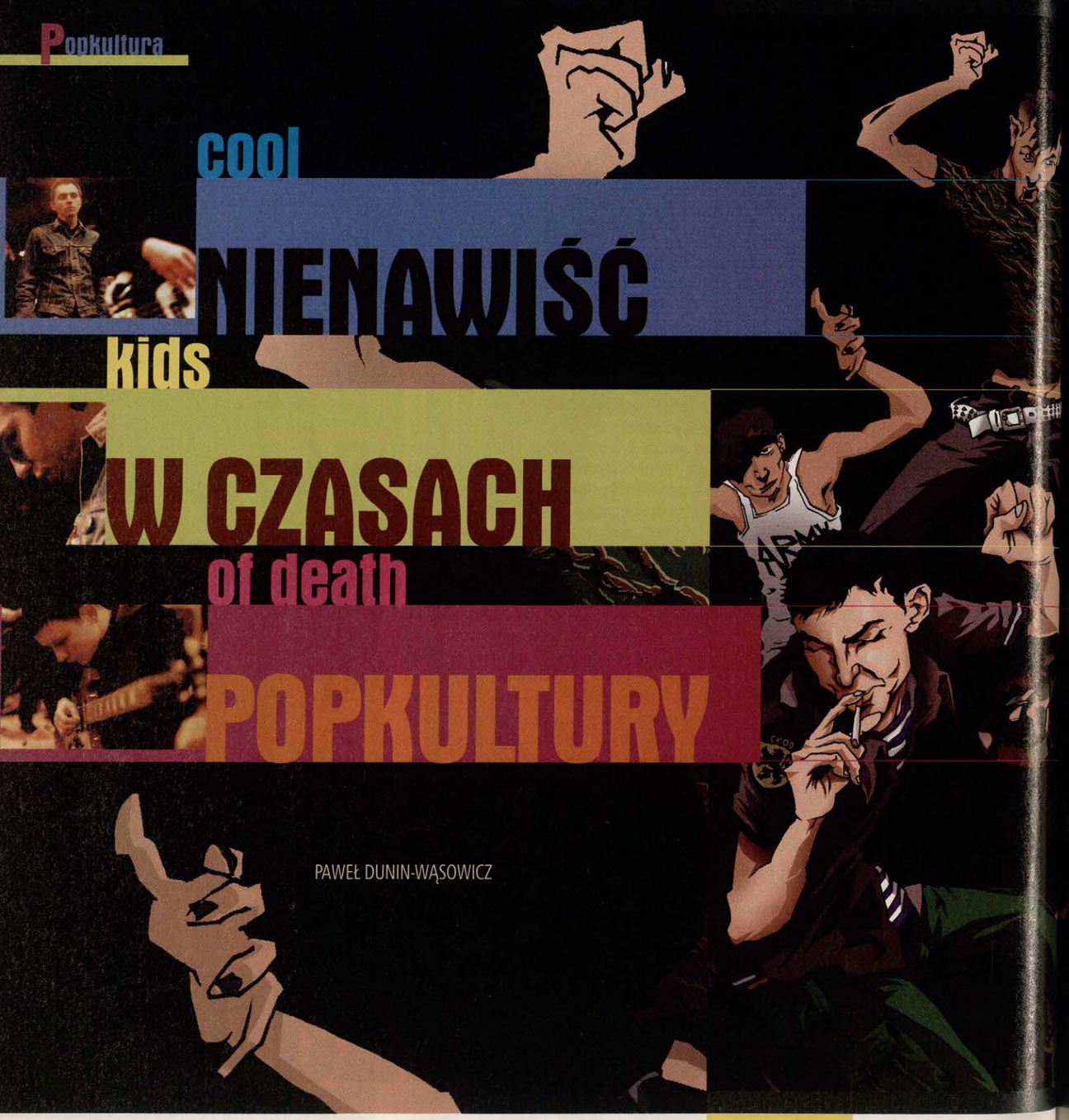

cool NIENAWIŚĆ kids W CZASACH of death POPKULTURY

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ

Rozgoryczeni prymusi z miasta Łodzi założyli kapelę, bo nie mogli się wybić w wyuczonych zawodach. Cool Kids Of Death śpiewają o sobie, że są uroczy, nieznośni, niewinni, niegrzeczni i że będą sławni

– Być może, gdybym był o rok młodszy, grałbym hip hop – mówi gitarzysta Cool Kids Of Death Marcin Kowalski, czyli Cinass, w którego pokoju na twardy dysk komputera chłopaki z zespołu nagrywają gitary, wstawiają sample i dośpiewują wstępne wersje wokali. I choć robią to zwykle w dzień, sąsiedzi i tak walą w rurę, żeby się uciszyli.

Wiosną zeszłego roku 36-letni Grabaż z postpunkowej Pidżamy Porno ogłosił w piosence „Twoja generacja", że rock and roll w Polsce jest już martwy. Wydawało się, że to prawda. Kazik Staszewski (Kult), Maciek Maleńczuk (Homo Twist) czy Muniek Staszczyk (T.Love) dobiegają czterdziestki, Kaśka Nosowska (Hey) i Artur Rojek (Myslovitz) – trzydziestki, a od lat nie pojawiali się 20-latkowie mający coś mocnego do powiedzenia za pomocą gitar, basu i bębnów. Wydawało się, że jedynym „prawdziwym" głosem mas 20-latków jest hip hop, muzyka tworzona przez dzieciaki z blokowisk. Ale są też CKOD.

Cinass mówi o hip hopie, bo sam mieszka w bloku. Na 11. piętrze budynku, w którym mieszkają jego rodzice, ma własne małe mieszkanie.

– Jestem mieszczaninem, wykształconym mieszczaninem – mówi o sobie Krzysiek Ostrowski, wokalista. Jego ojciec prowadzi firmę, Krzysiek mieszka w dużym domu z ogrodem.

– Czy jesteście zatem zespołem burżuazyjnym? – pytam Krzyśka.

– Kuba jest burżujem erotycznym – tak Krzysiek mówi o basiście Kubie Wandachowiczu.

– Moja babcia miała na Piotrkowskiej sklep z porcelaną – wyznaje Kuba, na płytach podpisujący się QBX. On sam jest tylko najemnym handlowcem.

RYS. KRZYSZTOF OSTROWSKI

Letnie pokolenie

Dwa lata temu zespołowi Myslovitz udało się wreszcie wybić na supergwiazdę albumem zatytułowanym „Miłość w czasach popkultury". Popkulturowe nawiązania w liryce Artura Rojka wydają się jednak zbyt dosłowne i sztuczne. CKOD opisują w piosenkach kulturę masową jako swój naturalny matecznik literackim językiem bliższym poezji, choćby Świetlickiego:

pośród kościołów, urzędów, cmentarzy i dyskotek
jesteśmy jak ruchomy cel
musimy biec
a ty musisz nas szukać
porównując do tych wszystkich rzeczy
jakie widziałeś w telewizji
i jakie tylko w telewizji możesz zobaczyć
chociaż przecież nie od dziś wiadomo
że telewizja kłamie
a oryginały nie istnieją.

Kilka lat temu w łódzkim Empiku przy stoisku z brytyjskimi pismami muzycznymi spotykali się Maria, Krzysiek i Zbyszek. Przeglądali „New Musical Express", „Melody Maker" czy „Select", nie kupując ich. Teraz Maria studiuje polonistykę w Krakowie, Zbyszek europeistykę w Irlandii i tylko Krzysiek pozostał wierny temu zwyczajowi. Na zapiętej pod szyję dżinsowej kurtce ma znaczek Blur, włosy stawia do góry jak Morrissey z The Smiths.

– To jest zupełnie inny bunt, niż się przyjęło – mówi Krzysiek. – Że bunt to hip hop, blokowiska, proszek. Ja się buntuję tak: nie kupuję gazet, tylko czytam w Empiku. Książek nie czytam, bo to za długo trwa.

Hip hop postrzegany jest jako muzyka blokersów, chłopaków z wielkomiejskiego marginesu, wmawiających sobie, że nie ma dla nich żadnych perspektyw. Ale oprócz nich są także młodzi ludzie, którzy dorastali, słuchając zapewnień, że jeśli będą się kształcić, wybijać ponad przeciętność, to ich szanse na dobrobyt wzrosną, i w to uwierzyli.

Członkowie Cool Kids Of Death urodzili się w drugiej połowie lat 70. Teraz kończą studia i widzą, że wszystkie lepsze posady pozajmowane są przez 30-latków, którzy wcale nie chcą im ustępować. Ostrowski śpiewa zatem:

hej człowieku w pierwszym rzędzie
panie decydencie z agencji reklamowej
hej, panie menedżerze, z MTV prezenterze,
słynna dziennikarko
mamy butelki z benzyną i kamienie
wymierzone w ciebie.

– Nie jestem z blokowiska, jestem z dobrego domu – powtarza Krzysiek, absolwent łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych. – Ja akurat mogę wyjechać do Warszawy i pracować w reklamie, rysować *storyboardy* i wciągać proszek. Nie wiem, jak inni sobie radzą, ale jako człowiek obdarzony minimum wrażliwości nie wyobrażam sobie, jak mógłbym w takim g... wytrzymać.

> „Ja się buntuję tak: nie kupuję gazet, tylko czytam w Empiku. Książek nie czytam, bo to za długo trwa"

Okna zamiast Deleuze'a

Krzysiek studiował projektowanie ubioru. Jego kolekcje nawiązywały do mody punk z połowy lat 70., która przeżywała ostatnio *come back* na Zachodzie. Po studiach dostał propozycję pracy jako projektant w przodującej firmie odzieżowej z Gdańska. Za 750 złotych miesięcznie.

Pracował przez pół roku na ASP jako asystent.

– W pracowni profesora Andrzeja Czeczota, którego pozdrawiamy – precyzuje Krzysiek. – Pracownia cieszyła się dużym powodzeniem, student mógł się czegoś w niej, kurde, nauczyć. Skrótu myślowego, jak zawrzeć w jednym rysunku coś. To mogła być moja szansa. Ale okazało się, że nie ma na mój etat pieniędzy. Z tego wynika nasz bunt. A nie z tego, że nie mamy na narkotyki. Nie bierzemy narkotyków.

– Krzysiek jest w o tyle lepszej sytuacji, że on może wyjechać do Warszawy, a ja nie. Sprzedaję okna – mówi o sobie QBX (w czarnej koszuli wygląda jak śp. Grzegorz Ciechowski). – W liceum miałem mieć prywatny tok nauczania z języka polskiego, na maturze szóstkę z polaka, na studiach stypendium motywacyjne przez cały czas. Napisałem pracę magisterską z Gilesa Deleuze'a, na pięć. Zaj...stą pracę magisterską. I okazało się tak, że na filozofii

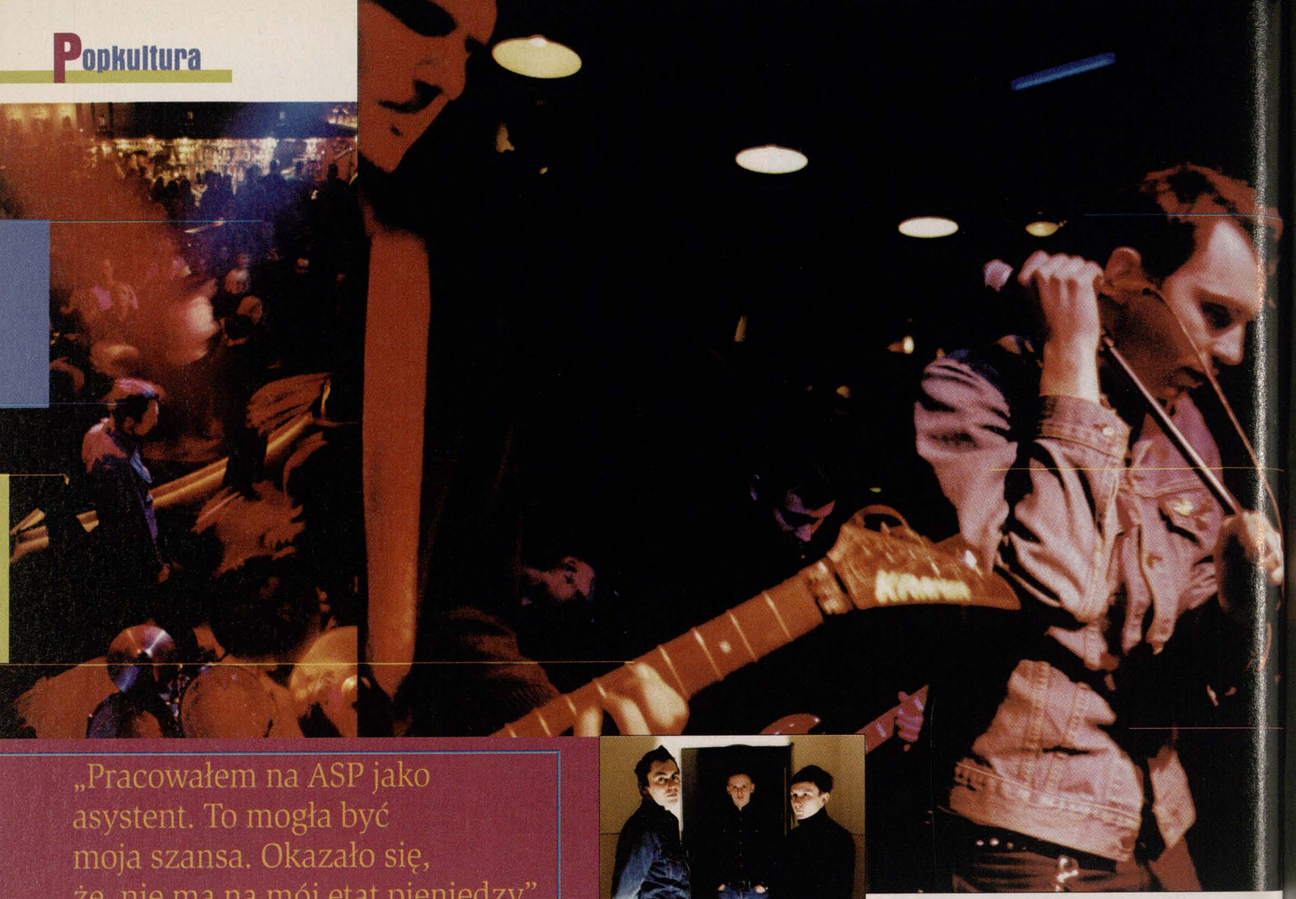

„Pracowałem na ASP jako asystent. To mogła być moja szansa. Okazało się, że nie ma na mój etat pieniędzy”

Trzon grupy. Od lewej: Krzysiek, QBX, Cinass

FOT. ADAM SŁOWIKOWSKI/REPORTER (3)

współczesnej wszystkie stanowiska są obsadzone. Gdybym pisał pracę z filozofii starożytnej lub średniowiecznej, nawet gdybym dostał czwórkę, to zostałbym doktorantem, dostawałbym za to pieniądze, 600 złotych miesięcznie, ale dostawałbym. Zamiast tego sprzedaję okna.

– Nie widzę sensu w dalszym studiowaniu, bo nie mam nawet możliwości napisać pracy na jakiś rozsądny temat – mówi o sobie Cinass, także filozof, od dwóch lat na urlopie dziekańskim.

– Ja i Krzysiek byliśmy w zeszłym roku w Stanach, za chlebem – mówi perkusista Jacek Fląś, student ASP. – Jeśli tam ktoś studiuje filozofię, to raczej na sto procent będzie po studiach filozofem. Będzie dobrze zarabiającym filozofem.

Z pozostałych członków CKOD pracuje tylko drugi gitarzysta Wojtek Michalec. Klawiszowiec Kamil Łazikowski studiuje na politechnice i – jak to określa – udziela się „charytatywnie” w radiu. Czyli pracuje za darmo.

Krzysiek w Stanach uczył plastyki na koloniach. Po powrocie ma na koncie 90 złotych. I Jacek, i Krzysiek rysują komiksy. W zeszłym roku Krzysiek wygrał główną nagrodę w konkursie na ogólnopolskim festiwalu komiksowym, a Jacek na festiwalu we francuskim Angoulême. Nie wynikły z tego żadne propozycje poparte pieniędzmi.

– Było fajnie przez bardzo krótki czas, ale jeżeli chodzi o ten sukces, to nie ma kontynuacji w Polsce – mówi Jacek. – Może za granicą, może się uda we Francji? Na pewno nie w Polsce.

– Nic nie robię oprócz śpiewania w zespole i rysowania komiksów, za które nikt nie płaci – powtarza Krzysiek na kilka godzin przed swoimi 26. urodzinami.

Punk mimo woli

Zamiast w czasopismach komiksowe rysunki pojawiają się na okładkach płyt CKOD. Na ekranie narysowanego telefonu pojawia się SMS: „Uważaj” w ich animowanym teledysku. Ale oni od razu odcinają się od skojarzeń z Gorillaz, których narysował najbardziej znany komiksiarz brytyjski Jamie Hewlett, ten od „Tank Girl”.

– Prawda jest taka, że zupełnie inaczej rysujemy – zaznacza Jacek.

– Na tej zasadzie laik może porównać Velvet Underground do Ich Troje – kpi Krzysiek.

Z Ich Troje łączy ich oprócz rodzinnego miasta chyba tylko histeryczne zachowanie Krzyśka na scenie. Muzyka CKOD powstawała najpierw w domowych warunkach, w nagraniach studyjnych oprócz gitar wykorzystano preparowaną perkusję, komputerowe *sample* i *loopy*. Po raz pierwszy polskiemu zespołowi udało się jednak osiągnąć równowagę między rockandrollową zadziornością a słuszną dawką elektroniki. Kiedy na koncertach Kamil gra na żywo swoje partie przywodzące na myśl motywy z piosenek Depeche Mode, brzmi to ciągle niczym komputerowa pętla.

Zwykle rockowe kapele latami ćwiczyły po piwnicach, docierały się na koncertach, by wreszcie wydać wymarzoną płytę. W przypadku CKOD było odwrotnie. Nagrane wiosną zeszłego roku przez Krzyśka, QBX-a i Cinassa demo trafiło do ambitnego oddziału wielkiego koncernu płytowego (Sissy Records w BMG Polska) i już jesienią mieli na swoim koncie dwie płytki po cztery piosenki (tak zwane EP-ki). Dopiero po ich wydaniu skompletowany sześcioosobowy skład koncertowy zagrał pierwszy i drugi raz dla publiczności – w Warszawie (w CDQ i Piekarni), gdzie został bardzo dobrze przyjęty.

Choć Krzysiek projektował ubiory nawiązujące do mody punk 77, zarzeka się, że nigdy nie słuchał polskiego punk rocka.

– Myślałem, że będziemy odbierani jak zespół pop, na fali Myslovitz – dziwi się.

Ich pierwszy łódzki koncert odbył się w jednym z lepszych klubów, Funaberii. Jego szefowa najpierw zabroniła chłopakom pić na próbie ich własne piwo (na razie pieniądze z grania są symboliczne, a piwo w klubie było trzy razy droższe niż w sklepie), potem mówiła, że grają za głośno, wreszcie, ledwie po 20 minutach występu, włączyła swój mikrofon i podziękowała im za koncert.

– Mówiła, że mamy takie same korzenie, ale my nie mamy takich samych korzeni – komentuje Ostrowski. Kiedy mówiła mu, że grają za głośno, a ona zna się na akustyce swojego klubu, Krzysiek pokazał na jej bluzkę i stwierdził, że jako plastyk może powiedzieć, że paski na niej są w źle dobranych kolorach. Poprawił ją też, kiedy powiedziała „przyszłeś” zamiast „przyszedłeś”.

Kilka tygodni potem CKOD grali w Łodzi jako *support* przed T.Love. Muniek Staszczyk śmieje się z nich, że wypili im całe piwo w garderobie.

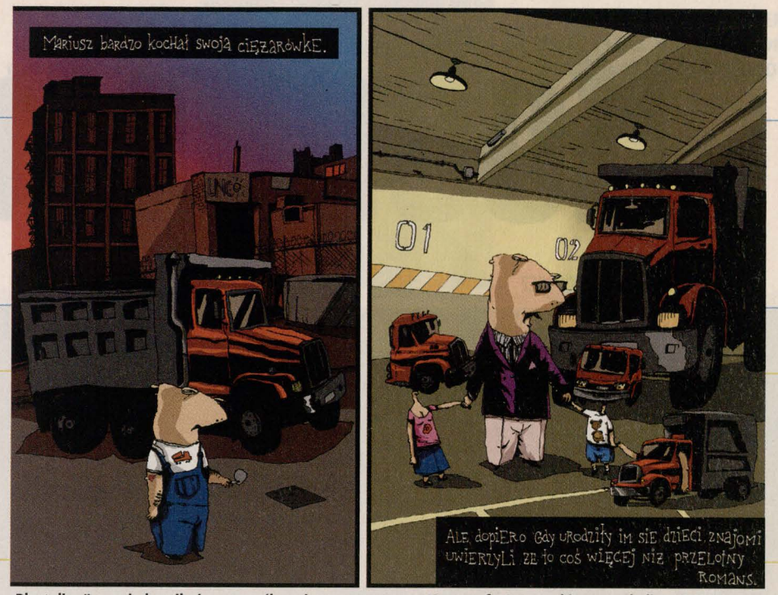

„Plastelina” – seria komiksów wymyślona i rysowana przez Krzysztofa Ostrowskiego, wokalistę CKOD

Uważaj, bo jak cię spotkam, to zabiję

W miłosnej – wydawałoby się – piosence „Specjalnie dla TV” Ostrowski (teksty piszą Krzysiek i QBX) żali się, że jego udręki – a płonie on od wewnątrz – nie filmuje telewizja.

– Kuba pisze o chłopcach, którzy chcą się buntować, a Krzysiek o tym, że dziewczyny go rzucają – komentuje Cinass.

W największym potencjalnym przeboju „Uważaj” narrator osadza historię o dziewczynie – którą gardzi i kocha zarazem – w wyimaginowanym filmie bez *happy endu*, melodramacie zakończonym morderstwem:

jak się ustawić, żeby przed kamerą dobrze wypaść
tacy jak ja nie mają u ciebie cienia szans
twoje ubrania z drogich sklepów to klęska
chłopaki ze szkoły filmowej, projektanci mody,
kluby dla pedałów
tylko tam się dobrze bawisz
wmawiam sobie że jesteś ch...owa
i że mi nie zależy
ale sam w to nie wierzę.

Kiczowata egzaltacja rodem z tanich filmów jest zresztą niemal w każdej śpiewanej przez Ostrowskiego piosence (nawet na rozdawanych przez niego fanom i fankom znaczkach dominuje nienawiść – napis głosi nie „*I love* CKOD”, lecz „*I hate* CKOD”). Media pojawiają się w co drugim tekście: piosenkę „Radio Miłość” o zamknięciu stacji radiowej można odczytać równie dobrze jako utwór o wygaśnięciu miłości.

O popkulturze śpiewa CKOD wreszcie, kiedy próbuje się określić wobec otoczenia ignorującego jego istnienie, ciągle powtarzającego frazesy o okupacji i Zagładzie. Ostrowski kpi:

Dwadzieścia kilka lat
Ciągle w nic nie wierzę
Brak mi doświadczeń istotniejszych
Holokaustu, wojny, śmierci
Pornografia, telewizja to mnie kształtowało
(...)
To jest mój czas
Jeszcze nie wykorzystany.

Wydaje się, że tymi słowami chce powiedzieć: tak, to prawda, nie mam waszych doświadczeń, ale nie wmawiajcie mi, że jestem przez to gorszy.

– Ja chciałbym walczyć o powstaniu – deklaruje Cinass i nie wiadomo, czy żartuje, czy mówi serio.

– Nie mieliśmy okazji się sprawdzić, pokazać czegokolwiek – wyjaśnia Krzysiek. – Żyjemy w letnich czasach, jesteśmy letnim pokoleniem. Po co się buntować, skoro nie jest tak źle?

– To skąd w was tyle agresji? – pytam go.

– Bo wk...ia nas ta sytuacja – odpowiada.

Gra w kulki

CKOD wydadzą pełnowymiarowy album dopiero w maju, na razie ich piosenki nadaje tylko niszowa Radiostacja w kilku miastach. W radiowej wersji piosenki „Uważaj” zastąpili słowo „ch...owa” słowem „beznadziejna”. Nazwę Cool Kids Of Death wymawia się fatalnie. Zaczerpnięta została z piosenki brytyjskiej kapeli o francuskiej nazwie – St. Etienne. Moi znajomi, którzy słyszeli ją pierwszy raz, pytali, czy ten zespół nazywa się Kulki.

„Nie po to uczyłem się 20 lat, żeby rysować babę jedzącą jogurt”

We własnej piosence o tytule takim samym jak nazwa zespołu Ostrowski śpiewa, że chłopcy są uroczy, nieznośni, niewinni, niegrzeczni i że będą „sławni jak nikt”.

– Ja widzę szanse dla siebie, ale to nie są te szanse – mówi Krzysiek. – Uczyłem się 20 lat rysować i wk...ia mnie to, że musiałbym to wykorzystywać, rysując babę jedzącą jogurt, uśmiechniętą. To nie jest to. Gdybym to robił, żyłoby mi się wygodnie, ale to jest kwestia wyboru. To, że mam wybór większy niż dresiarze i blokersi, to nie znaczy, że trzeba w to wskoczyć. Kuba też w tych oknach może zrobić karierę. Jak do niego dzwonię, to tak profesjonalnym głosem się odzywa, że od razu chce się wymienić okna w całym domu.

Maria, z którą przeglądał brytyjskie magazyny w łódzkim Empiku, po pięciu latach studiowania polonistyki zgłosiła się na spotkanie w sprawie pracy jako sprzedawczyni w dziale płytowym tego sklepu. Ma ogromną wiedzę o brytyjskich zespołach gitarowych, których słucha po nocach w „Trójce”, ale pytano ją głównie o to, czy umie obsługiwać kasę fiskalną.

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ

Kosmiczny architekt

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

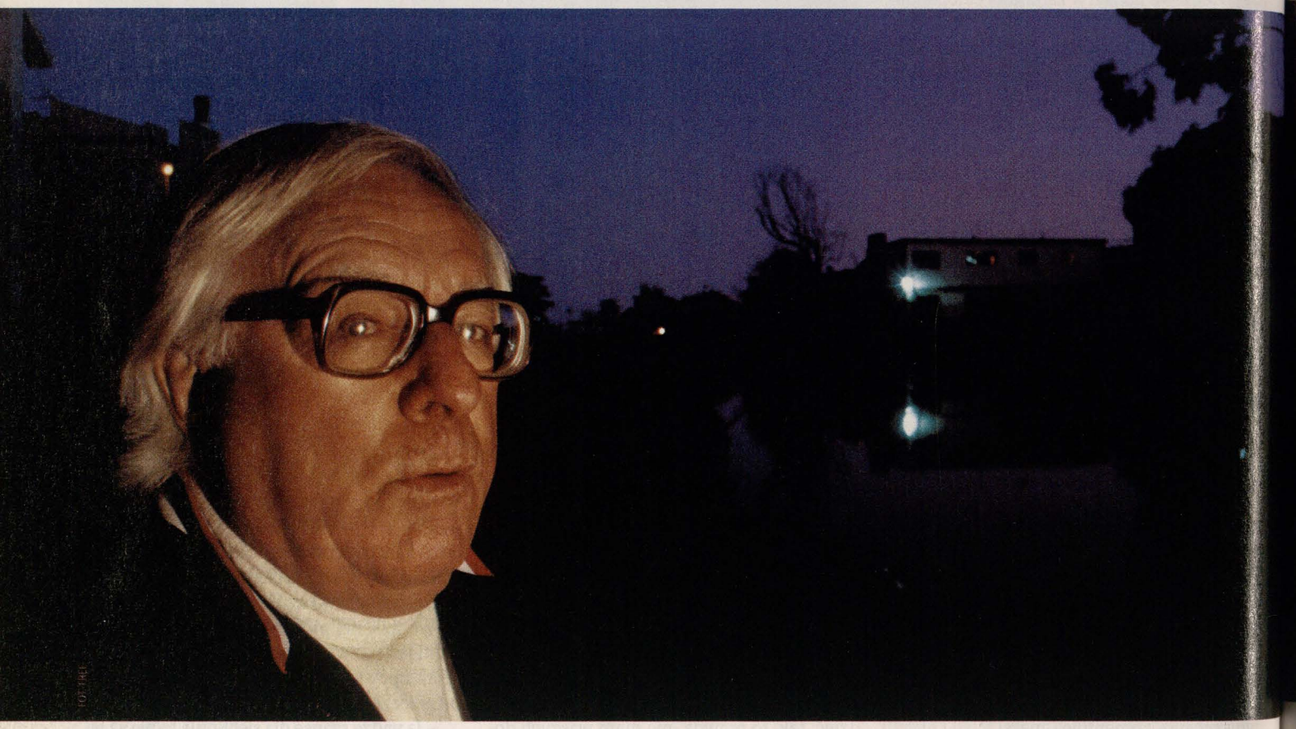

FOT. FREE

Co się stało z autorem „Kronik marsjańskich”, które w latach 60. „P” odkrył dla polskiego czytelnika? Ray Bradbury żyje, projektuje futurystyczne supermarkety, właśnie wydał nową książkę i otrzymał swoją gwiazdę na Chodniku Sław w Hollywood

Najlepiej mu się pisze głęboką nocą, gdy leży z notebookiem na kolanach w łóżku, obok śpiącej żony. Pracuje w całkowitej ciemności – jego palce miały już dość czasu, by bezbłędnie nauczyć się klawiatury. Ray Bradbury został zawodowym pisarzem, mając lat 19, a w sierpniu tego roku obchodzić będzie 82. urodziny. Wcześniej ukaże się jego nowa książka – sam pisarz nie jest w stanie powiedzieć, która już, bo ponad 500 napisanych przez niego opowiadań i niespełna 20 powieści wydawanych było wielokrotnie w różnych konfiguracjach i pod różnymi tytułami. Zapewne będzie kolejnym bestsellerem. Nie może nim nie być nowa książka pisarza, którego sztandarowe dzieła utrzymują się w Ameryce w stałej sprzedaży już od pół wieku, a na ich okładkach wydawcy

FOT. AP

ZOSTAŁ ZAWODOWYM PISARZEM, MAJĄC 19 LAT. OD TAMTEJ PORY SPRZEDANO PIĘĆ MILIONÓW JEGO KSIĄŻEK

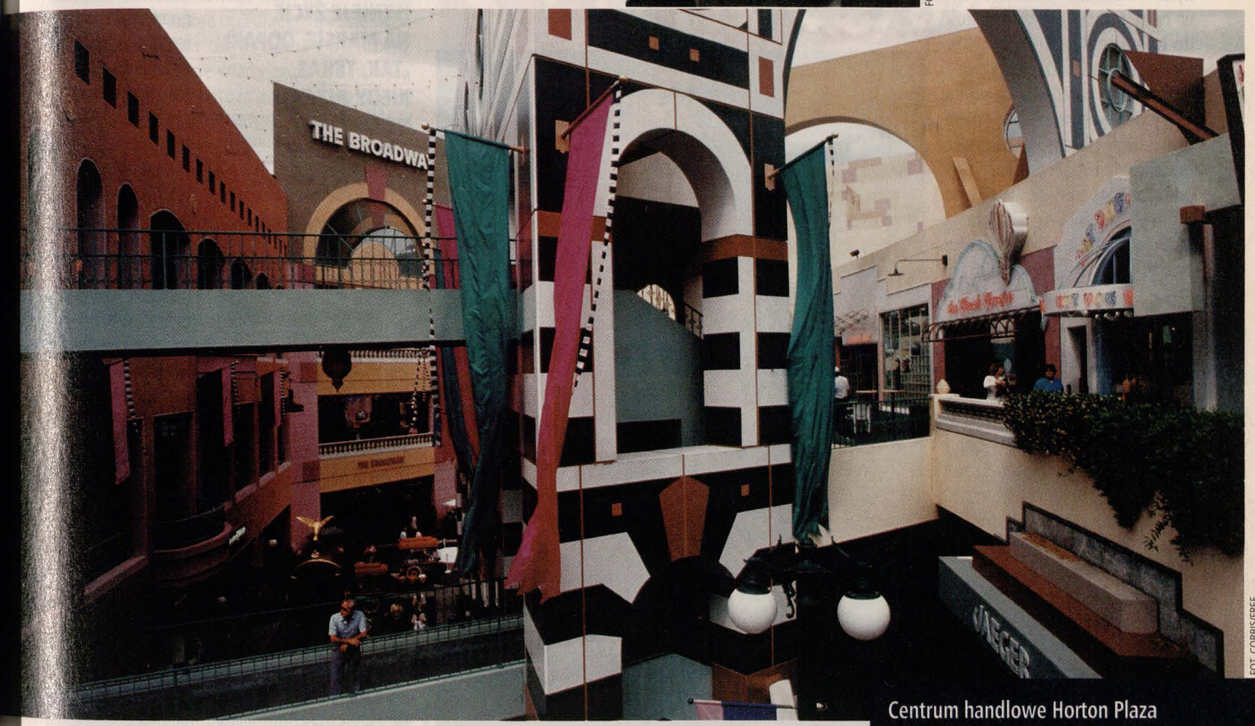

FOT. CORBIS/FREE

Centrum handlowe Horton Plaza w San Diego współprojektowane przez Raya Bradbury'ego

umieszczają opaskę: „Pięć milionów sprzedanych egzemplarzy”.

Prawnuk czarownicy

Ray Bradbury swojej drogi życiowej nie wybrał. Urodził się z nią – jako potomek rodziny księgarzy, właścicieli znanej na początku ubiegłego stulecia w całym Chicago firmy Bradbury i Synowie. A także jako daleki prawnuk Mary Bradbury, jednej z czarownic spalonych na stosie w XVII wieku podczas głośnego procesu w miasteczku Salem. „To po niej musiałem odziedziczyć nienawiść do wszelkiej przemocy, przymusu i kontroli myśli” – wyznał w jednym z wywiadów.

O swoim dzieciństwie mówi rzadko, ale lubi, wbrew stereotypowi, opisywać małe dzieci jako istoty okrutne, bezwzględne i egoistyczne. Dzieciństwo to u niego wstydliwy okres w życiu człowieka, zanim zostanie on nauczony poddawać swą zwierzęcą istotę wymogom religii i kultury. Sporo u Bradbury'ego małych potworów terroryzujących otoczenie, nawet mordujących, i niezdolnych do jakiegokolwiek poczucia winy z tego powodu.

Stworzył też jednak kilka urzekających wizji dzieciństwa jako okresu wielkiego zdziwienia światem i odkrywania niezwykłych tajemnic: grzebania z zapartym tchem w zapajęczonych skrzyniach na strychu, odkrywania tajemniczych przejść w domu pradziadków i stykania się ze sprawami nadprzyrodzonymi, niezrozumiałymi dla dorosłych. O takim dzieciństwie pisywał zwłaszcza w swojej dojrzałej twórczości. Ale nawet w tych powieściach, tchnących radością życia, powtarza się wątek dziecięcej agresji wobec odmieńca, okularnika czy kujona. „W każdej szkolnej klasie znajdzie się taki przemądrzały prymusik i w każdej szkole chłopcy znęcają się nad nim i pastwią po lekcjach” – mówi bohater „451 stopni Fahrenheita”. Ile w tym autobiografii?

Odmieńcem w każdym razie był Bradbury w latach szkolnych z całą pewnością. Wypełniające rodzinny dom niekończące się półki z książkami pełnymi barwnych historii z zamierzchłych czasów i odległych krain fascynowały go znacznie bardziej niż świat rówieśników. Mając siedem lat, znał już wszystkie opowiadania Edgara Allana Poego, przed ukończeniem dziesięciu cytował z pamięci Dickensa, Melville'a i setki popularnych powieści podróżniczych oraz przygodowych.

Z dala od kopiących piłkę i rozkrzyczanych rówieśników mały okularnik zaczynał powoli tworzyć osobny świat swojej wyobraźni, który miał po latach urzec miliony czytelników i widzów. Na dobrą sprawę nie wyszedł spomiędzy bibliotecznych półek firmy Bradbury i Synowie przez całe swoje życie – i wcale nie zamierza robić tego teraz.

Rodzice, choć sami rozkochani w książkach, uznali w końcu, że chłopcu dobrze zrobi zmiana sposobu życia i nieco większy kontakt z realnym światem. 14-letni Bradbury przenosi się w celu kontynuowania nauki do Los Angeles. Tutaj, w Kalifornii, zapuści korzenie. Może to zakrawać na paradoks, ale pisarz, który w swych książkach odwiedzał odległe planety, prehistoryczne dżungle i egzotyczne krainy, od roku 1941 mieszka w tym samym domu w Venice na przedmieściach Miasta Aniołów, opuszczając go rzadko i niechętnie.

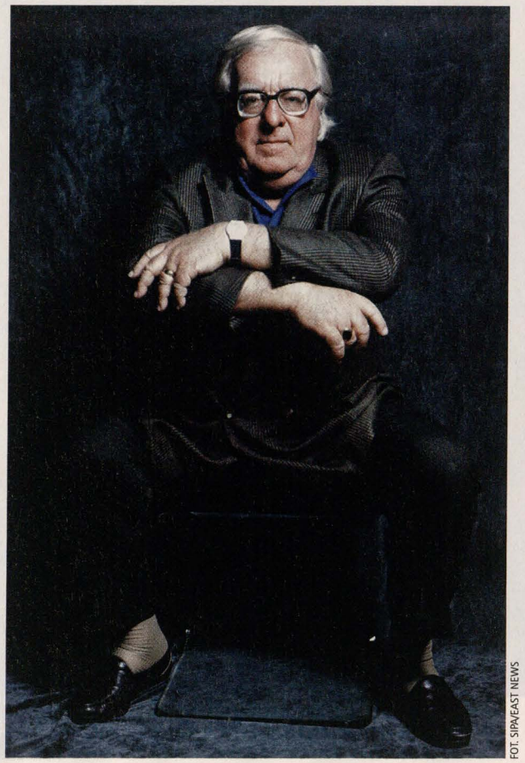

FOT. SIPA/EAST NEWS

Gazeciarz, maszynistka i szwaczka

W Los Angeles Bradbury znalazł poza nauką coś, na co w rodzinnych stronach nie mógł liczyć – podobnych sobie dziwaków. W latach 30. nie nazywali się oni jeszcze miłośnikami czy fanami fantastyki. Byli po prostu luźną grupą przyjaciół rozmiłowanych w literaturze fantastycznej, spotykających się w lokalu, który należał do dzielącego ich pasję restauratora – Cookson's Cafeteria. Nie bez znaczenia był tu fakt, że jako przyjaciel-hobbysta był on skłonny udzielać kredytu, a *science fiction* w latach 30. nie dawała jeszcze nikomu ani popularności, ani szczególnych dochodów.

W Cookson's Cafeteria bywało regularnie dwoje pisarzy odnoszących wówczas sukcesy – na taką miarę, jaka była wówczas autorowi fantastyki dostępna – Leigh Brackett i Henry Kuttner. Ten drugi jest dziś bardzo dobrze znany polskim czytelnikom, choć zawdzięczamy to głównie jego przedwczesnej śmierci; w późnych latach 80., gdy polscy wydawcy zaczęli rozpaczliwie poszukiwać dochodowych tytułów, a fantastyka dawała jeszcze gwarancję sprzedaży wielotysięcznych nakładów, Kuttner był jedynym z amerykańskich mistrzów *science fiction* nieżyjących już wystarczająco długo, by według ówczesnych przepisów można go było publikować bez oglądania się na prawa autorskie. Było w czym przebierać – jego dorobek jest bardzo obszerny, choć nierówny. W latach 30., aby utrzymać się z pisania opowiadań do czasopism (rynek książki fantastycznej jeszcze nie istniał), Kuttner musiał drukować jeden tekst po drugim. Mimo wyrobionego już nazwiska musiał poważnie liczyć się z wymaganiami każdej redakcji: stosownie do jej zaleceń przerabiać teksty, nawet kilkakrotnie, mieścić się dokładnie w zadanej objętości oraz pilnie dotrzymywać umówionych terminów; i oczywiście zadowalać się raczej skromnymi zarobkami.

Kuttner i Brackett uchodzili wśród hobbystów od fantastyki za ludzi sukcesu, ale, prawdę mówiąc, nie było w ich sytuacji nic, co mogłoby skłonić do wyboru podobnej kariery. Kilkunastoletni Bradbury miał naturalnie inne zdanie na ten temat. O pisaniu myślał już od dawna – wieczory w Cookson's i długie rozmowy z zawodowcami utwierdziły go w tym ostatecznie, zwłaszcza że kiedy odważył się pokazać profesjonalistom swe próby, spotkał się z ich strony z zachętą. Wyraziła się ona w formie, jakiej ludzie niewiedzący, co znaczy wewnętrzny przymus pisania, nigdy nie zrozumieją. „Masakrowali z zamiłowaniem każdy tekst, jaki przyniosłem – wspominał pisarz swoich nauczycieli. – Nie zostawiali na mnie suchej nitki. Po prostu nie było ani jednego zdania, w którym nie dopatrzyliby się jakiegoś błędu". Jest w tych słowach Bradbury'ego nie tylko rozrzewnienie, lecz także świadomość, jak wiele dała mu ta twarda szkoła pod okiem wyrobionych praktyków pisarskiego rzemiosła.

W roku 1939 Bradbury kończy edukację w *college'u* i podejmuje najważniejszą decyzję swego życia: będzie zawodowym pisarzem tak jak Kuttner i Brackett. Zaczyna się okres mozolnego przepisywania w dziesiątkach kopii, uparte go rozsyłania maszynopisów po redakcjach, odbierania odmownych odpowiedzi, poprawiania i wysyłania znowu. To wieczorami – w ciągu dnia trzeba jakoś zarobić na życie. Bradbury rozwozi gazety (to zajęcie podoba mu się najbardziej – trzeba bardzo wcześnie wstać, ale potem prawie cały dzień zostaje na pisanie), przepisuje na maszynie, przez pewien czas zatrudnia się nawet chałupniczo jako szwaczka. Pisze, poprawia teksty, przerabia je, przepisuje i znowu rozsyła po redakcjach, wiedząc doskonale, że są one bombardowane płodami bardzo wielu podobnych mu zapaleńców i że przebijanie się przez tę masę debiutanckich maszynopisów musi trwać. Po latach opisze ten moment swojego życia w powieści „Śmierć to coś dla samotnych". Jak większość dzieł Bradbury'ego jest ona przesycona ciepłem i humorem, ale w czasach tej próby charakteru i wiary w siebie pisarzowi często musiało być nie do śmiechu.

ZAPYTANY PRZEZ DZIENNIKARZY, CZY JEGO ZDANIEM ISTNIEJE ŻYCIE NA MARSIE, ODPARŁ: „TAK, TERAZ, KIEDY JUŻ TAM DOTARLIŚMY – JUŻ TAK"

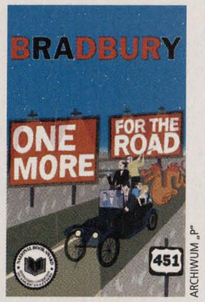

ARCHIWUM „P"

Okładka najnowszej książki Bradbury'ego

Bez pulsacyjnego superblastera

Pisze w tym czasie krótkie nowelki oparte na paradoksie, żartobliwe albo budzące grozę. Wysyła je do wszystkich możliwych pism, ale pierwszym, które przyjmuje jego tekst do druku, jest magazyn specjalizujący się w „twardej", typowej *science fiction* – „Super Science Stories". Czas najwyższy, bo Bradbury od niedawna jest szczęśliwym małżonkiem i w miarę regularne dochody są mu coraz bardziej potrzebne. Nie trzeba chyba dodawać, że wybrankę swego serca Margueritte poznał w Cookson's Cafeteria i że zbliżyły ich do siebie wspólne lektury.

Nieistniejący już dziś świat magazynów *science fiction* miał swoje twarde reguły. Po pierwsze, fantastyka naukowa miała wtedy ambicję być naprawdę naukową i bardziej niż artystycznej wartości wymagała od pisarzy zgodności z ówczesną wiedzą. John W. Campbell, wydawca uchodzący za twórcę złotego wieku *science fiction*, który miał w swojej stajni autorskiej niemal wszystkich mistrzów gatunku – w pewnym momencie także Bradbury'ego – za swój największy sukces wydawniczy uważał zawsze tekst zupełnie dziś zapomnianego autora opisujący zupełnie wówczas fantastyczną broń: bombę atomową. W redakcji zjawili się wtedy agenci FBI z nakazem rewizji, a na autora padło podejrzenie o szpiegostwo – jego pomysł był nazbyt bliski temu, nad czym wtedy (tekst ukazał się w roku 1943) rzeczywiście pracowali w głębokiej tajemnicy fizycy, projektowi „Manhattan".

Magazyny miały także specyficzną widownię – zwracały się do tak zwanych *addicts*, nałogowców pochłaniających swoje ulubione fantazje całymi tonami, zafascynowanych sztafażem *science fiction*, rakietami, pejzażami obcych planet i charakterystycznymi dla tej literatury futurystycznymi gadżetami. Wymuszali oni na wydawcach i autorach określony rodzaj produkcji, która dla ludzi spoza „getta" *science fiction* była zupełnie niezrozumiała i wręcz śmieszna. Raymond Chandler (który, zanim stał się mistrzem czarnego kryminału, napisał również kilka opowiadań fantastycznych) dzielił się w jednym z listów do swego agenta wrażeniami z lektury magazynu *science fiction*, który przypadkiem wpadł mu w ręce w czasie podróży. „Wygląda to mniej więcej tak – pisał Chandler. – Chwyciłem pulsacyjny superblaster i ubrany w silitokarbonowy superskafander wyskoczyłem z mojego turbograwitonowego Glide-maxera wprost w kierunku, z którego napływały turbulencje pasm jonizacyjnych. Sięgając prawą ręką do detektora, zorientowałem się nagle, że mój nadświetlny system komunikacyjny zakłócany jest silnymi wiązkami korpuskularnych fal Richtenstiena-Nissena...".

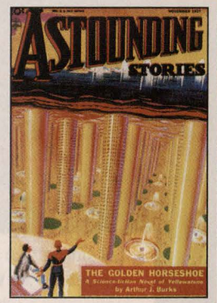

Bradbury niezbyt do tego pasował. Fascynowała go raczej fantastyka w stylu Poego, nieszukająca racjonalnych objaśnień, nastrojowa. Nie był też w przeciwieństwie do pisarzy *science fiction* bezkrytycznym entuzjastą postępu. Rozkochany w zapachu starych, zakurzonych książek i indywidualizmie raczej obawiał się plastikowo-aluminiowego świata przyszłości, w którym wszystko będzie wysterylizowane, zracjonalizowane i zestandaryzowane. Przerażała go telewizja sącząca w milionach domów ten sam zniechęcający do myślenia program, przerażała go wizja świata zamieszkanego przez ludzi starających się upodobnić do tłumu, goniących za kupowaniem coraz to nowych technicznych gadżetów, o życiu duchowym i uczuciowym sprowadzonym do poziomu telewizyjnych *quizów* i *talk-show*.

ARCHIWUM „P"

Okładki magazynów *science fiction* sprzed pół wieku

Z drugiej strony z wykupującymi pisma *science fiction* „nałogowcami" łączyło Bradbury'ego to, że naprawdę ciekawiła go przyszłość, odległe planety i nowe wynalazki. O tym właśnie chciał pisać i choć robił to w sposób dla większości miłośników *science fiction* zbyt poetycki, w oczach szerokiej publiczności pozostawał jednak pisarzem tego gatunku, a literatura ta kojarzyła się z tandetną pisaniną dla postrzelonych nastolatków fascynujących się rakietami, robotami i UFO.

40 opowiadań rocznie

W jednym ze swych najbardziej znanych opowiadań „Pokój dziecinny" Bradbury opisuje rodziców, którzy swej miłości do dzieci nie potrafią wyrazić inaczej, niż obdarowując je supernowoczesną, skomputeryzowaną bawialnią symulującą wizje zaczerpnięte wprost z myśli dziecka – dziś nazwalibyśmy to rzeczywistością wirtualną. Kiedy okazuje się, że wizje te stają się coraz bardziej krwawe i okrutne, a co gorsza, dzieci wyraźnie się od nich uzależniają, rodzice próbują pozbawić je ukochanej rozrywki i giną rozerwani przez wirtualne lwy spełniające marzenia ich pociech. W innym opowiadanku, króciutkiej nowelce „Spacerowicz", w środku przyszłościowej aglomeracji policyjny radiowóz aresztuje i zabiera do likwidacji zupełnie niewinnego człowieka – ponieważ patrol policyjny jest całkowicie zrobotyzowany i nie dostał instrukcji na okoliczność spotkania z kimś tak dziwacznym, kto zamiast jak wszyscy siedzieć przed telewizorem, włóczy się po nocy całkowicie bez celu. Ta nowelka, jak wyznał pisarz, wzięta została z życia. Pewnego wieczoru rzeczywiście spotkał policjantów, którzy nie mogli zrozumieć, że ktoś po prostu spaceruje nocą.

Tak właśnie widział przyszłość i jego wizje, kiedy już zaczęto je drukować, dość szybko znalazły uznanie czytelników. W dwa lata

po debiucie sprzedał w ciągu roku już 40 opowiadań. W latach 40., zwłaszcza po wojnie, popularność *science fiction* w Ameryce szybko rosła, ale Bradbury'm zainteresowały się także *slick magazines*, eleganckie kolorowe pisma dla każdego. Pomogło mu to dokonać w roku 1947 sztuki, która przed nim nie udała się żadnemu pisarzowi fantastyki – wydać własną książkę zawierającą zbiór opowiadań drukowanych wcześniej w prasie.

W porównaniu z gwiazdorami magazynów *science fiction*, nie wyłączając jego mistrzów z Cookson's, Bradbury odniósł w ciągu kilku lat oszałamiający sukces. W amerykańskim życiu literackim nadal jednak nic nie znaczył – był tylko początkującym autorem z prowincji.

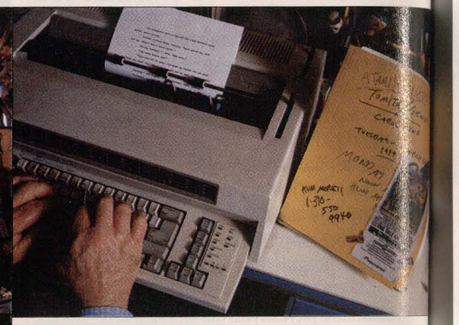

FOT. CORBIS/FREE (3)

Prawdziwy sukces można było odnieść, tylko zainteresowawszy sobą któregoś z wydawców nowojorskich. Młody i wciąż jeszcze nie najlepiej sytuowany pisarz wybrał się tam autobusem – prawdziwa kilkudniowa wyprawa – by na miejscu dowiedzieć się, że owszem, wydawca jest skłonny coś opublikować, ale wyłącznie powieść. Zbiory opowiadań go nie interesują. Tymczasem z kolei samego pisarza nie interesowało wówczas pisanie powieści.

W końcu przyszedł mu do głowy pomysł, który miał mu przynieść pierwszy ogromny sukces: niech będą to opowiadania połączone w jedną fabularną całość. W taki sposób powstały „Kroniki marsjańskie" – historia podboju planety przez Ziemian, jej kolonizacji i opuszczenia, zaczynająca się w latach 90. XX wieku, a kończąca w latach 30. naszego stulecia. Opowieść o zniszczeniu przez pewnych siebie zdobywców starożytnej cywilizacji i kultury Marsjan, nawiązująca do podboju Ameryki przez konkwistadorów, stała się pierwszym z wielkich bestsellerów Bradbury'ego. Również drugi z nich – „Człowiek ilustrowany", w sporej części udostępniony przed laty Polakom właśnie na łamach „P" – był, podobnie jak „Kroniki...", zbiorem połączonych w jedną całość opowiadań. Do pisania powieści Bradbury zabrał się dopiero wtedy, gdy oszołomiony sukcesem wydawca wyraził gotowość opublikowania wreszcie „normalnego" zbioru opowiadań. Była ta powieść „451 stopni Fahrenheita" – bodaj największy sukces Bradbury'ego.

Humanista niepoprawny politycznie

451 stopni Fahrenheita to temperatura, w której płonie papier. W powieściowym świecie straż pożarna nie zajmuje się gaszeniem pożarów – domy są ogniotrwałe. Straż zajmuje się paleniem nieprawomyślnych obywateli i ukrywanej przez nich kontrabandy: książek. W świecie „451 stopni Fahrenheita" posiadanie książek jest zabronione, ale nie przez totalitarny reżim, tylko przez równie totalitarną demokrację. „Murzyni nie lubią książki »Mały czarny Sambo«? Spal ją. Białym nie podoba się »Chata wuja Toma«? Spal ją. Spokój, zadowolenie" – peroruje czarny charakter powieści. „Człowiek, który umie odpowiedzieć na pytania telewizyjnego *quizu*, pamiętając refreny popularnych piosenek, jest stokroć szczęśliwszy od tego, który usiłuje zmierzyć Wszechświat". Dzisiaj ta książka odbierana jest jako prorocza zapowiedź „Wielkiego Brata", audiotele, wyborów, w których wygrywa przystojniejszy kandydat, oraz terroru *political correctness*. Sama zresztą padła ofiarą tego ostatniego. W posłowiu do wydania z roku 1995 autor opisuje, jak jego powieść została na jednym z opanowanych przez „polityczną poprawność" uniwersytetów publicznie spalona wraz z innymi usuniętymi z uczelnianej biblioteki dziełami faszystów, antyfeministów i homofobów: Homera, Goethego i Szekspira. Pisze tam też Bradbury o wydawcy, który w wersji dla szkół usunął z jego powieści słowo „Bóg", aby nie narażać się na proces z organizacjami walczącymi o „świeckość szkół publicznych".

MASAKROWALI Z ZAMIŁOWANIEM KAŻDY TEKST, JAKI PRZYNIOSŁEM. NIE ZOSTAWIALI NA MNIE SUCHEJ NITKI. PO PROSTU NIE BYŁO ANI JEDNEGO ZDANIA, W KTÓRYM NIE DOPATRZYLIBY SIĘ JAKIEGOŚ BŁĘDU

Wspomina o innym wydawcy, który, także na użytek szkół, opublikował „400 największych arcydzieł literatury" w jednym tomie – w formie łopatologicznych streszczeń.

Na szczęście na starość pisarz mógł obserwować, jak spełniają się także jego bardziej optymistyczne wizje. Kiedy na Marsa docierały próbniki „Viking", NASA oficjalnie zaprosiła go, by mógł oglądać lądowanie w centrum kontroli lotów. Zapytany wtedy przez dziennikarzy, czy jego zdaniem istnieje życie na Marsie, odparł: „Tak, teraz, kiedy tam dotarliśmy – już tak".

Nawiasem mówiąc, jednemu z wielkich marsjańskich kraterów naukowcy nadali nazwę „Bradbury". Nic dziwnego, jeśli się zważy, że jako młodzi chłopcy zaczytywali się „Kronikami marsjańskimi".

Mel Gibson przez niego nie zarobił

Dlaczego o Bradbury'm, skoro jest tak sławny, wiemy w Polsce tak niewiele? Jedną z przyczyn są, paradoksalnie, właśnie rozmiary tej popularności. Agenci żądają za prawo do publikacji jego książek pieniędzy stosownych do pozycji pisarza. Dla polskiego wydawcy to za dużo, zważywszy, że u nas Bradbury'ego trzeba by poza kręgiem czytelników *science fiction* dopiero wypromować. Działa też bariera kulturowa. Wielka część twórczości Bradbury'ego jest zbyt amerykańska, mało zrozumiała dla cudzoziemców. Amerykanie na przykład z lubością zaczytują się częstymi w jego prozie opisami bezgrzesznej Ameryki małych miasteczek Środkowego Zachodu, gdzie nie zamykało się na noc drzwi, parkowało samochód z kluczykami w stacyjce, a za najgorszego w mieście łobuza uchodził drugoroczny dryblas, który pił piwo i palił papierosy.

Poza tym, jak każdego znaczącego pisarza w USA, Bradbury'ego wciągnęło Hollywood. Choć jednak napisał scenariusze do wielu znanych filmów (między innymi do „Moby Dicka") i został nawet uhonorowany za ten rodzaj swego pisarstwa specjalnym Oscarem (w roku 1991), do ekranizacji własnych utworów nie miał szczęścia. Nie udały się filmowe wersje „Kronik..." i „Człowieka ilustrowanego", a „451 stopni Fahrenheita" nakręcone w latach 60. przez François Truffaut to dziś wręcz irytująca ramota, w której zgubiono wszystko to, co w książce najważniejsze. Od kilku lat mówiło się o nowej ekranizacji, wiadomo już było, że główną rolę zagra w niej Mel Gibson – ostatecznie jednak okazało się, że w miejscu tak politycznie poprawnym jak Hollywood filmu o politycznej poprawności zrobić się nie da. To, w co przekształcił się scenariusz po zmianach wprowadzonych przez producenta, Bradbury uznał za karykaturę swojej prozy i zerwał kontrakt.

Lepiej poszło Bradbury'emu z telewizją. Przez wiele lat miał nawet w kablowym Sci-Fi Channel swój autorski cykl, w ramach którego zekranizowano większość jego opowiadań. Możliwe, że kiedyś realizacje te dotrą i do nas. Podobnie jak napisane przez Bradbury'ego sztuki teatralne, jego wiersze, utwory adresowane do młodzieży i – przede wszystkim – książki. Choć bowiem żadna z późniejszych jego publikacji nie zdołała przyćmić sukcesu „Kronik..." i „...Fahrenheita", to żadna też nie miała kłopotów ze sprzedażą. Powszechnie uważa się Bradbury'ego za pierwszego (i na długie lata jedynego) pisarza *science fiction*, któremu udało się wyrwać z „getta" i zyskać akceptację środowisk literackich. Jego twórczość stała się swego rodzaju wizytówką fantastyki na zewnątrz; stała się także przyczyną, dla której coraz chętniej zamawiano u pisarza eseje o nadziejach i zagrożeniach nadchodzącej przyszłości. Te z kolei zainteresowały polityków. Nie tylko amerykańskich – o spotkanie z autorem „Kronik marsjańskich" poprosił, wybierając się do USA, Michaił Gorbaczow, wówczas jeszcze prezydent ZSRR, w którym tłumaczenia Bradbury'ego także wydawano w milionowych nakładach... radzieckim zwyczajem nie płacąc autorowi honorariów.

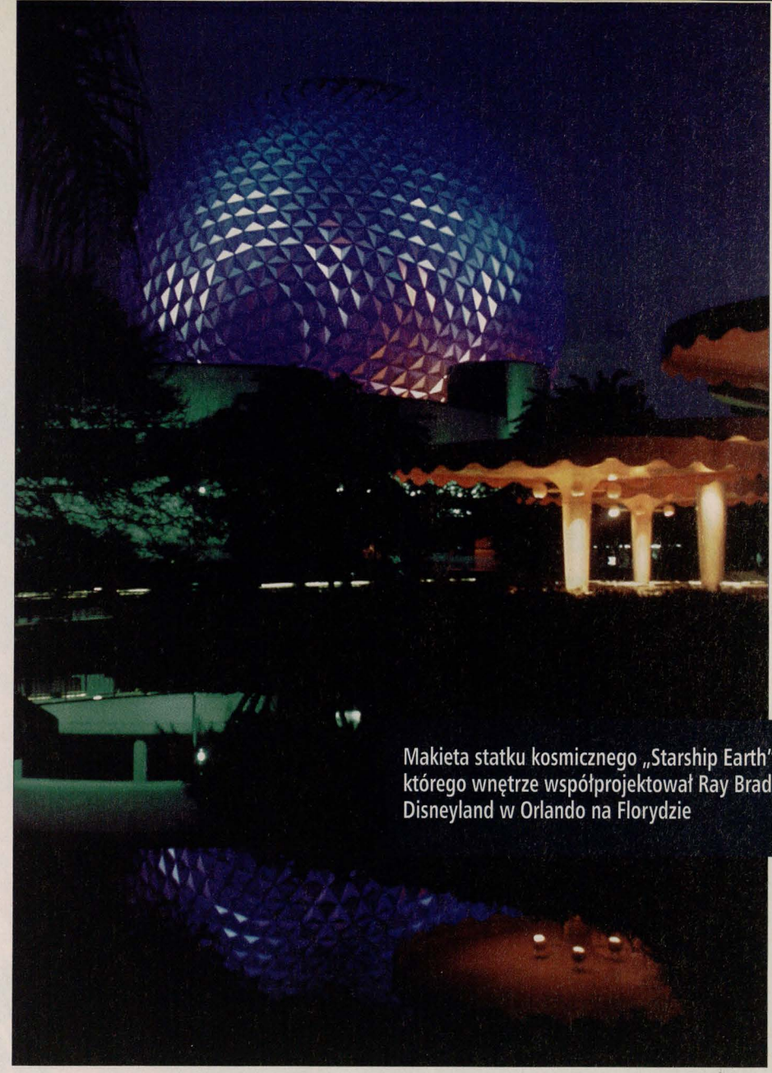

Makieta statku kosmicznego „Starship Earth", którego wnętrze współprojektował Ray Bradbury, Disneyland w Orlando na Florydzie

Futurystyczne supermarkety

„Kiedy masz 20 lat, masz ochotę burzyć świat; ale w moim wieku nachodzi człowieka chęć, żeby coś zbudować" – oznajmił 70-letni już pisarz, ogłaszając, że aby nie popaść w rutynę i starczy bezruch, chce teraz zająć się jedną z pasji swojego dzieciństwa – architekturą. „To się zaczęło, kiedy jako nastolatek wpatrywałem się w okładki magazynów *science fiction*. Zawsze miałeś tam miasta, niesamowite, przyszłościowe miasta, pełne kopuł, wież i estakad". Dziś jako konsultant renomowanej firmy z Los Angeles Bradbury poszczycić się może współautorstwem koncepcji plastycznej kilku „futurystycznych" centrów handlowych w okolicach miasta oraz pawilonów przygotowywanych na światową wystawę.

Ich modele stoją w domu państwa Bradbury, w tym samym pokoju, gdzie przechowywane są na półkach stare magazyny, które zainspirowały pisarza. Nie pisze w tej chwili dużo – kilka stron dziennie, godzinę, dwie każdej nocy. Dni stara się wypełnić innymi zajęciami – wyjątkiem są tylko rodzinne święta, kiedy dom odwiedza czwórka dzieci z gromadką wnuków i prawnuków. „Nie zamierzam mieć czasu się starzeć" – oznajmił przed dwoma laty w telewizyjnym programie, w którym celebrowano jego 80. urodziny i, przy okazji, magiczny dla *science fiction* przełom stuleci 2000/2001. Kolejny, zapowiadany na wiosnę, zbiór jego opowiadań „One More for the Road" („Jeszcze coś na drogę") stanowi najlepszy dowód, że pisarz dotrzymuje tego postanowienia.

Sam Bradbury w czynnym życiu literackim środowiska *science fiction* od dawna nie bierze już udziału. Zawsze zresztą lubił podkreślać swoją w nim odmienność. Pytany o zawód, od lat odpowiada niezmiennie: czarodziej. I tak najczęściej o nim piszą: czarodziej Bradbury.

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

UWAGA! NEIL YOUNG!

„Gotowi? Do roboty” to ostatnie słowa wypowiedziane 11 września przez Todda Beamera, nieustraszonego pasażera samolotu, który rozbił się w Pensylwanii. Powracają na najnowszej płycie Neila Younga, legendy amerykańskiej muzyki rockowej

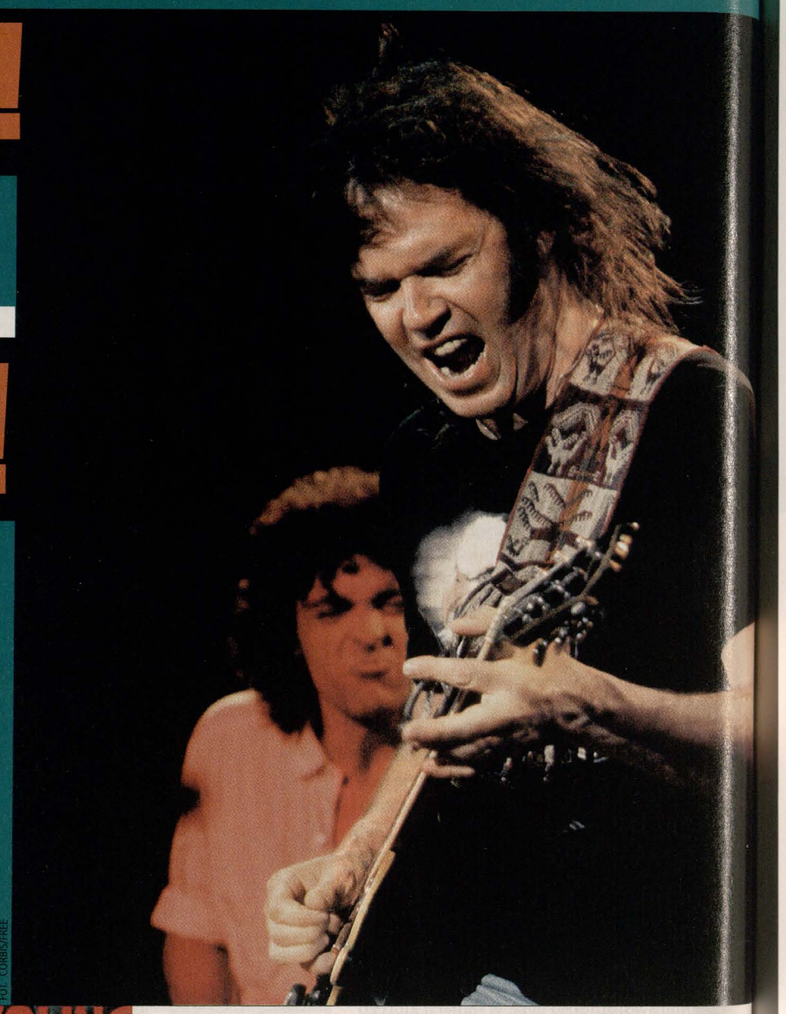

FOT. CORBIS/FREE

Piosenkę „Let’s Roll” Ameryka usłyszała już w listopadzie. Z pewnością kontekst i treść odwróciły chwilowo uwagę od muzyki. Piosenka zapowiedziała jednak płytę, która w twórczości Younga, samotnego wilka rocka, musi być uznana za niecodzienną. „Are You Passionate?” („Czy jesteś namiętny?”) jest bowiem płytą soulową. To zasługa muzyków z zespołu Booker T. & the MG’s, swego czasu przygrywających arcymistrzowi Otisowi Reddingowi.

Do roboty – 11 nowych piosenek. Niech nas nie zmyli tytuł. Nie trzymamy w dłoniach hołdu dla wielkiego Jimiego Hendriksa i jego rewolucyjnej płyty „Are You Experienced?”. Nie jest to też zbiór banalnych pieśni miłosnych. To po prostu płyta Neila Younga – a może właśnie nie po prostu. Bo u Younga nic nigdy nie było proste.

Niech żyją korki!

Przecież niełatwo jest znaleźć igłę w stogu siana. Urodzony 56 lat temu i wychowany w Kanadzie Neil już za młodu wpychał się z gitarą na folkowe sceny. W mieście Winnipeg poznał amerykańskiego artystę Stephena Stillsa i krajankę Joni Mitchell, co można spokojnie nazwać momentem naznaczenia. Próbował sił w studiach nagraniowych, bez sukcesu.

„Do roboty!”. Kilkanaście miesięcy później, w roku 1966, rozczarowany wsiadł do pontiaca i ruszył ku Los Angeles, żeby odnaleźć Stillsa. Człowiek jak igła, miasto jak stóg – bez szans. „Po długich poszukiwaniach dałem za wygraną i postanowiłem wyjechać z Kalifornii. Zatrzymały mnie korki. I w środku jednego z nich spotkałem samochód, którym jechał Stills. Natychmiast założyliśmy zespół”.

Zespół nazywał się Buffalo Springfield i wkrótce wjechał do pierwszej dziesiątki listy przebojów swoim debiutanckim singlem „For What It’s Worth”. Niedługo potem zaczęły się kłótnie pomiędzy... Youngiem a Stillsem. Panowie rozstali się w gniewie, by po roku spotkać się w supergrupie Crosby, Stills, Nash & Young.

Szalony koń

„Do roboty!”. Tej akurat Young się nie boi. A nie każdy potrafi grać w dwóch zespołach jednocześnie.

Krytycy uważali swego czasu CSNY za najlepszą grupę w Ameryce. Jak wspomina Young, przystąpił do kolegów, „żeby mieli przynajmniej jednego w miarę sprawnego instrumentalistę, inaczej nie daliby rady z koncertami”. Dał się już poznać jako niezły gitarzysta, nie stronił też od fortepianu czy organów. Jednak o CSNY pamiętają dziś tylko starzy fani, dla których co parę lat panowie jednoczą się i odbywają popisowe trasy koncertowe. Neil Young jest indywidualistą. I ma własnych akompaniatorów – garażowy zespół Crazy Horse, z którym od ponad 30 lat niemal się nie rozstaje.

Ta nuta jest dla ciebie

„Let’s roll”. Gitara Neila Younga czasem brzdąka nieśmiało, balladowo. Po amerykańsku. Nie darmo koledzy z zapałem przyrównują Younga do samego Boba Dylana. Sporo ich łączy: wizja, gitara, przenikliwość, samotność. Ale wiele też różni. Dylan pomimo flirtów z *country* i *gospel* pozostaje wierny amerykańskiej tradycji muzyki drogi. Neila Younga nosi. Jazgot gitarowy i nonszalancja zaskarbiły mu swego czasu miano patrona „brudnego” stylu *grunge rock*. Pearl Jam, najwięksi dziś gwiazdorzy *grunge’u*, mają na koncie wspólną płytę z Youngiem „Mirror Ball”. Lider zespołu Nirvana, samobójca Kurt Cobain, w liście pożegnalnym powołał się na piosenkę Younga „My My, Hey Hey (Out of the Blue)”, napisaną zresztą o Johnnym Rottenie, liderze punkowych Sex Pistols. Young pozostaje jedynym reliktem ery Woodstock, którego punkowa i postpunkowa młodzież uznały za swego.

„Do roboty???” – w latach 80. dał się uwieść elektronicznej instrumentacji. „Zagubiłem się, nie miałem chyba nic do powiedzenia” – mówi dziś bez kokieterii.

Miło cię spotkać

Na poprzedniej płycie jest piosenka „Good to See You” napisana w autokarze wożącym muzyka z koncertu na koncert. Zapis tęsknoty za bliskimi. Samotny wilk z Kanady jest człowiekiem rodzinnym.

„Do roboty...” – tequila pita całymi wiadrami, narkotyki, rozpacz. Od 30 lat dręczy go epilepsja. Dwóch kolejnych synów urodziło się z upośledzeniami psychicznymi i umysłowymi. Jeden z nich, wożony na wózku dorosły dziś Ben z porażeniem mózgowym, często towarzyszy ojcu podczas tras koncertowych. Starszy, Zeke, na szczęście zdobył zawód, nagłaśnia koncerty – także ojcowskie.

To właśnie osobiste dramaty sprawiły, że Neil Young „nie miał nic do powiedzenia”. Doszło nawet do tego, że szef jego ówczesnej wytwórni, słynny David Geffen, wytoczył mu proces za nagrywanie płyt „nieprzypominających nagrań Neila Younga”. Lata 80. to czas trudny, także dla fanów. Nagrodą za wierność było arcydzieło w postaci albumu „Freedom” z roku 1989. Powrót wielkiej formy artysty wielkiego formatu.

Śmierć komercji

Wielcy artyści wymagają wielkiej oprawy. Ich koncerty to często gigantyczne przedsięwzięcia. Budżety organizatorów wspierają więc producenci napojów, ubrań, samochodów, komputerów... Tak jest prościej. Ale nie dla Younga. To jeden z najbardziej zatwardziałych przeciwników sponsoringu. Nie kręci wideoklipów, nie bawi go promocja własnych płyt. Jego koncerty to czysta muzyka. Jak teatr, w którym widać rury wentylacji, kable, podnośniki, czyste bebechy.

„Let’s roll” – bo tylko robota się liczy. Jak sam mawia: „Jestem purystą. Żadnych cyrków ze światłami. Liczy się dźwięk”.

Nie tylko dźwięk, także przekaz. Choć tak uwielbiany przez pokolenie odrzuconych, zdołał przenieść w nasze czasy hipisowskie kaznodziejstwo. Piętnuje cenzurę, ostrzega przed ćpaniem, staje w obronie rolników gnębionych przez gigantyczne gospodarstwa rolne. Pewnie dlatego kilka lat temu Andrzej Lepper wyszedł z koncertu Younga oczarowany i natychmiast zapragnął powtórzyć go w Polsce.

Do roboty!

O Neilu Youngu – nomen omen (*young* znaczy „młody”) – czas chyba zapomniał. Muzyk gra proste piosenki na trzech, czterech akordach, które brzmią jednocześnie trochę jak z lamusa i trochę jak z przyszłości. Młodzi garażowcy nie mogą się mylić. Ten niemal 60-latek mówi aksamitnym głosem drapieżne prawdy. Uważajcie – najbardziej pastelowa piosenka Younga może pokąsać.

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Warner Brothers

FOT. FREE

BOSSA NOGA

Żaden przewodnik ani atlas nie wspominają o najważniejszym produkcie Wysp Zielonego Przylądka: o prawdziwym owocu tego archipelagu – głosie i pieśniach Césarii Évory

Wyspy Zielonego Przylądka. Jak czytamy w przewodniku po krajach świata, ludność tej młodej republiki liczy niespełna pół miliona. Niemal połowa to młodzież i dzieci. Klimat jest łagodny, choć obserwuje się skłonności do suszy. Nagie skały wulkaniczne nie sprzyjają uprawom ani pasterstwu. Stolica republiki nazywa się Praja, co po polsku znaczy „plaża”. Podstawowe artykuły eksportowe to owoce, paliwo i buty. A Césaria śpiewa na bosaka.

Césaria Évora, największa żyjąca pieśniarka języka portugalskiego, ma za sobą trzy małżeństwa i trzy rozwody. Na co dzień towarzyszą jej dwie używki – papierosy i whisky. W Europie wydała 15 albumów.

Gdy miała 16 lat, zadebiutowała na barowej scenie w rodzinnym miasteczku, mając lat 20, została ulubienicą radiowej publiczności na Wyspach, w wieku 45 – pokochał ją świat.

W Polsce gości nie pierwszy raz, a jej imię jest w pewnych kręgach bardziej znane niż Gorana Bregovicia. Jakże żałośnie wyglądają przy niej utytułowane gwiazdy w rodzaju Jennifer Lopez… Tam – gibkie, smukłe, wymodelowane ciało, staranna fryzura, wystudiowany erotyzm każdego ruchu, porywająca, klubowa rytmika, sugestywne stroje. A tu – przeciętność, podkreślona jeszcze korpulentną figurą, bose stopy, stroje na pewno nie z kolekcji, melancholijne aranżacje i... *morna*.

Przepis: weź solidną porcję portugalskiej muzyki *fado*, dorzuć do niego brazylijską balladę w rzewnym stylu *modhina*, chłopa swego poślij na Antyle po afrykańską rytmikę potomków czarnych niewolników. Na koniec przyprawy to jeszcze do smaku angielską pieśnią żeglarską, ale z umiarem. Potrząśnij lekko naczyniem i wstaw do serca. Spożywaj w towarzystwie najbliższych. *Morna* najlepiej udaje się w naturalnie klimatyzowanych barach Wysp Zielonego Przylądka. Jest w niej wtedy i smutek, i cynizm. Słychać i radość, i gorycz. Dźwięczy echem suchej skały wulkanicznej i morskiego wichru. Uspokaja i porywa. A przede wszystkim jest dużo prostsza i mniej napuszona niż jakiekolwiek dziennikarskie wypociny na jej temat.

Césaria Évora posiadła naturalny dar: jest najważniejszym ambasadorem *morny* i swego egzotycznego kraju, zarazem zaś pełni tę artystyczno-dyplomatyczną funkcję z sercem przepełnionym przyjaźnią. Bez butów. Przechodniu, wiedz, że masz przyjaciółkę na Wyspach Zielonego Przylądka. To chyba genialne, prawda? (FŁ)

Zapraszamy na plażę do Zabrza, 20 kwietnia. Na słońce, piasek, bryzę, drinki, przestrzeń i bliskość w jednym, czyli koncert niezwykłej Césarii Évory

Trójkąt to za mało

Ferzan Ozpetek nakręcił jak na razie trzy filmy. Niewiele. Ale wystarczająco dużo, by docenić konsekwencję, z jaką konfrontuje różne kultury i style życia

Skłonność reżysera pochodzącego z Turcji, a pracującego we Włoszech, do międzykulturowych romansów łatwo można wytłumaczyć zarówno jego „podwójnym obywatelstwem", jak i faktem, że jest gejem. Nigdzie nie należy więc do większości. Na bohaterów wybiera jednak typowych przedstawicieli społeczeństwa, którzy niespodziewanie muszą – niczym Alicja z powieści Lewisa Carrolla – przejść na drugą stronę lustra. W jego debiutanckim filmie „Hamam – turecka łaźnia", dostrzeżonym w Cannes i niedawno emitowanym przez polską telewizję, znudzony włoski japiszon dostaje w spadku po ciotce mieszkającej w Stambule ów tytułowy przybytek cielesnych rozkoszy. Początkowo zamierza szybko się pozbyć kłopotliwego prezentu i wrócić do domu, daje się jednak wciągnąć nieśpiesznemu, zmysłowemu rytmowi tureckiego życia, jakże odmiennego od nerwowej pustki jego dotychczasowej egzystencji.

Najnowszy film tego reżysera „On, ona i on" (właśnie na ekranach polskich kin) zaczyna się jak „Niebieski" Kieślowskiego. Mąż głównej bohaterki ginie potrącony przez samochód. Gdy mija pierwszy szok, kobieta bierze się za porządkowanie rzeczy nieboszczyka. Szok kolejny – okazuje się, że od siedmiu lat mąż zdradzał ją z inną. Antonii udaje się ustalić adres rywalki. Tu porzucamy Kieślowskiego i wkraczamy na terytorium bliższe raczej Almodóvarowi, by wraz z bohaterką przeżyć szok następny. Inna jest innym, urodziwym właścicielem stoiska z warzywami, który wraz z przyjaciółmi – turecką emigrantką, transseksualistką, prostytutką, parą gejów i umierającym na AIDS chłopakiem – zajmuje sporych rozmiarów mieszkanie z tarasem.

Myli się ten, kto sądzi, że problemem dla bohaterki będzie przede wszystkim skrzętnie dotąd ukrywany biseksualizm małżonka. Po uspokojeniu nerwów Antonia postawi sobie znacznie szersze pytanie – jak to możliwe, że ten kochający i kochany potrzebował alternatywnej rodziny? Z biegiem czasu, gdy sama się zadomowi w mieszkaniu przy Via Ostiense, zrozumie, że przyczyną nie był ani brak uczuć, ani znudzenie, lecz głęboko ludzka potrzeba odmiany, nadania swemu życiu nowych kolorów i znaczeń.

Nakręcony z udziałem dwóch gwiazd włoskiego kina – Margherity Buy i Stefana Accorsiego – „On, ona i on" prezentowany był w konkursie berlińskiego festiwalu. Nagród nie zdobył, wielkich dyskusji też nie wywołał. Głowę i inne części ciała większości widzów zaprzątnęła wówczas „Intymność". Oglądany samodzielnie, bez festiwalowych konkurentów i emocji, film prezentuje się dużo lepiej. Choć wyraźniej także widać jego słabości.

Reżyser porusza się bowiem w obszarze pobożnych życzeń. Pojednawcza natura jest, oczywiście, czymś godnym pozazdroszczenia, zbyt łatwo jednak u Ozpetka świat większości jedna się ze światem mniejszości. Bariery zostają usunięte rachciach, dylematy nie mają okazji się rozwinąć. Jak już trzeba dodać fabule trochę dramatyzmu, to twórca sięga po środki ostateczne – wypadek samochodowy, nóż w brzuchu – co też świadczy o jego bezradności wobec konfliktowej natury rzeczywistości. Ciąży nad filmami Ozpetka tendencja połączona z idealizmem. Stary Stambuł w „Hamamie..." to oaza szczęścia i spokoju. Takoż alternatywna rodzina z „On, ona i on", w której wszyscy żyją zgodnie i harmonijnie. Filmy Ozpetka są zbyt gładkie, bliskie banału, czy wręcz kiczu. Złośliwie można by powiedzieć – „Plebania" dla mniejszości.

Artystyczne słabostki nie umniejszają jednak znaczenia tego, że włosko-turecki reżyser aktualizuje w swojej twórczości kwestię podwójnego życia. Pokazuje, że w epoce coraz intensywniejszego mieszania się ludzi i kultur i coraz szybszego rozwoju środków komunikacji (od samolotów po Internet), życie co najmniej podwójne staje się niejako koniecznością. Ponieważ kurczy się przestrzeń, znikają bariery społeczne (ekonomiczne zostawmy na razie w spokoju), a obciążenia ideologiczne i moralne już tak nie doskwierają, nasza egzystencja w określonym miejscu i w określonych warunkach wcale nie musi być jedynym wariantem naszego istnienia. Światy alternatywne są na wyciągnięcie ręki. Przekładając to na prozę codzienności – nie wystarczy, że nauczymy się żyć we dwoje. Powinniśmy umieć żyć we troje, czworo, pięcioro...

BARTOSZ ŻURAWIECKI
(„Film")

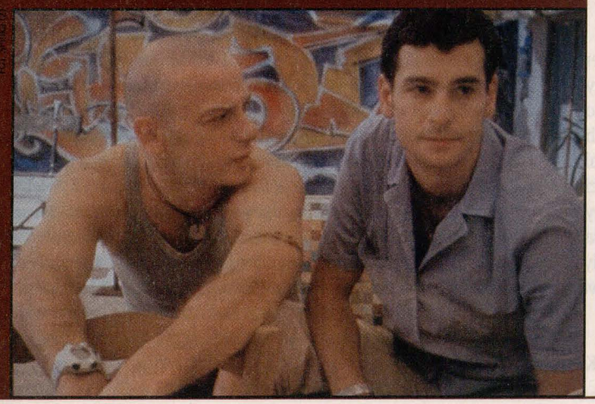

Filmy Ferzana Ozpetka to „Plebania" dla mniejszości. Michele (Stefano Accorsi) w objęciach Antonii (Margherita Buy) na górze i jeszcze bez kontaktu fizycznego z przyjacielem na dole

„On, ona i on", reż. Ferzan Ozpetek, Włochy 2001, SPInka

FOT. GRZEGORZ HAWAŁEJ/REPORTER

Anita Poddębniak jako Anioł Stróż, Tadeusz Ratuszniak jako Obywatel M. oraz Janusz Chabior jako Wujek Zbynek

Premier jako bohater spektaklu był świetną przynętą, niestety, „Obywatel M – historyja" to marna sztuka

Leszek Miller zmarnowany

Wystarczyło, że Jacek Głomb ogłosił, że chce zrobić w Legnicy spektakl na motywach biografii Leszka Millera, a polskie media zwariowały. „No, to wreszcie artyści dowalą politykom" – wyczuwało się w tonie niejednego komentarza. Po cichu liczono, że teatr ośmieszy, zdemaskuje urzędującego premiera albo przynajmniej zmusi do jakiejś przesadnej reakcji. Jak wiadomo, władza wojująca ze sztuką sama się kompromituje. Przyjedzie Miller czy nie przyjedzie na premierę? – pytano, montując w kolorowych tygodnikach bloki materiałów na temat przedstawienia. Będzie mu twarz tężała ze złości czy nie? Będzie skandal polityczny czy nie będzie? Niestety, sztuka Macieja Kowalewskiego o Leszku Millerze – ukrytym pod przejrzystym pseudonimem Ludwik M – okazała się po prostu marna.

Dobroduszna ironia

Nie da się jednak skwitować legnickiej premiery słowem „klapa". Albowiem podoba mi się teatralne opakowanie, nie podoba mi się natomiast jego myślowa zawartość. Jacek Głomb znalazł zręczną formę teatralną dla swego prowincjonalnego zespołu i wciąż podąża w kierunku wytyczonym przez „Balladę o Zakaczawiu". Sceniczny świat spowija ciepła, dobroduszna ironia, którą reżyser oswaja PRL. Nie ma sytuacji naprawdę groźnych, nikczemnych, dwuznacznych moralnie. Jest komizm, lekka nostalgia i uśmiech do obyczajowości tamtej epoki. Głomb zatrzymuje się w pół drogi między mówieniem wprost a aluzją i cytatem.

Próżno szukać tu ludzi złych i dobrych, nie ma postaci mądrych ani głupich. Scenki rozgrywają się w wypreparowanej pustej przestrzeni ograniczonej papierowymi ścianami, zza których przebija podświetlona sylwetka Anioła Stróża strzegącego Ludwika. Anioł chodzący krok w krok za dygnitarzem partyjnym to pomysł świeży i dowcipny. Gabriel, zwany przez Ludwika familiarnie Gabrysiem, przypomina mu zapomniane słowa pacierza, przynosi do poczytania książki znajdujące się na indeksie. Nie indoktrynuje, nie karci, nie napomina, nie robi wyrzutów. Jakby Zła w ogóle nie było.

Skupiając się na przygodach dziwnej pary (partyjniaka i anioła), dramaturg i reżyser zbyt dużo uwagi poświęcają młodości bohatera, mnożą niepotrzebnie postaci epizodyczne, lubują się w farsowych paradoksach, tracąc w końcu z oczu to, co najważniejsze: transformację bohatera z postaci małego lokalnego formatu w format zdecydowanie krajowy. Historia Ludwika M urywa się w najciekawszym momencie, jakby twórcy uważali, że resztę było lub będzie można zobaczyć w rzeczywistości.

Peerelowska obyczajówka

Tajemnica fenomenu Millera nie jest ukryta w latach 60., ale na początku 90. Kiedy on i jemu podobni ludzie okazali się niezastąpieni, jako polityczni fachowcy uzyskując demokratyczną legitymację. Oto z dnia na dzień partyjny beton zmienił się w euroentuzjastów. Jak? Dlaczego? Za czyim przyzwoleniem? Z chwilą zadania takich pytań dotykamy prawdy o polskim społeczeństwie. Autorzy spektaklu uciekają jednak od odpowiedzi albo przenoszą je w sferę groteski, lubując się w odtwarzaniu klimatu obyczajowego PRL.

Sztuka Kowalewskiego i zrobiony na jej podstawie spektakl Głomba to ani atak personalny na Millera, ani osądzenie całej formacji duchowej zwanej lewicą czy postkomunistami. „Obywatel M..." nic z polskich zasupłań moralnych ostatnich dekad nie tłumaczy. W zamian podaje absurdalne bądź trywialne powody postępowania bohaterów. Najpotężniejsze zarzuty wytoczone w spektaklu wobec Ludwika są następujące. Po pierwsze, bohater i reprezentowana przez niego formacja ideowa lubi, za przeproszeniem, podupczyć z wieloma partnerkami (a kto nie lubi?). Po drugie, pragnie za wszelką cenę zamieszkać w Warszawie (a kto by nie chciał?). Po trzecie, Ludwik za kołnierz nie wylewa (jak wiadomo, sztukę napisał absolutny abstynent i na widowni siedzą tacy sami absolutni abstynenci). Wreszcie, na koniec, Ludwik okazuje się człowiekiem do cna załganym, bo mówi o sobie i podobnych mu ludziach z taką, a nie inną, biografią: „My jesteśmy za prostolinijni na politykę" (a kto z nas tak o sobie nie myśli?).

„Obywatel M..." ani nie jest opowieścią o Polsce, ani o losach jednej generacji. Z szumnych zapowiedzi została jedynie zabawa prowincjonalnosiermiężnymi realiami minionej epoki.

Mount Everest hucpy

Wydźwięk emocjonalny legnickiego spektaklu jest mniej więcej taki: oto Kowalewski i Głomb chcieli trochę władzy przyłożyć i zarazem trochę się tego bali. A nuż odbiorą im pieniądze na teatr albo dyrektora zwolnią? W efekcie nie zrobili niczego do końca – w Zakaczawiu takich niezdecydowanych nazwaliby pewnie cykorami.

I mimo że dobrze życzę legnickiemu zespołowi oraz doceniam pracę włożoną w powstanie tego spektaklu, muszę powiedzieć, że „Obywatel M..." to żaden teatr polityczny, żaden kabaret, żaden współczesny moralitet, ale po prostu promocyjna hucpa, na którą dały się nabrać i władza, i media, i widzowie. Góra marketingowa urodziła intelektualną mysz.

ŁUKASZ DREWNIAK

Teatr im. H. Modrzejewskiej w Legnicy, Maciej Kowalewski „Obywatel M – historyja", reżyseria Jacek Głomb, premiera 6 kwietnia 2002 r.

SŁABE ● PRZECIĘTNE ●● ZACNE ●●● ZNAKOMITE ●●●● WYBITNE ●●●●●

●●●●

Maguelonne Toussaint-Samat „Historia naturalna i moralna jedzenia", przełożyły Anna Bożena Matusiak i Maria Ochab, W.A.B., Warszawa 2002

Dietetyczna poprawność wywalczyła już sobie stałe miejsce w umysłach i żołądkach współczesnych Polaków. Nie w modzie schabowy z kapuchą – kapucha dopuszczalna jest przede wszystkim w „diecie prezydenckiej", zapomnieć trzeba o rosole, bo przecież, aby rosół się udał, należy pozbawić życia krówkę lub kurkę, a to już nie tylko dietetycznie, lecz także politycznie nie jest poprawne. Czy zatem skazani jesteśmy na wieczny post? Rzecz jasna nie. Są jeszcze gdzieniegdzie ostoje tłuszczolubów, mateczniki mięsożerców, świątynie obżartuchów. Ale jeśli nawet nietrudno tam trafić, to jakoś niewyraźnie czujemy się przyłapani nad golonką z miło trzęsącym się tłuszczykiem, okoloną musztardą i chrzanem.

Skoro jednak głód towarzyszył nam, towarzyszy i towarzyszyć będzie, to spróbujmy zaspokoić go lekturą tego opasłego, 668-stronicowego dzieła. Spotkamy w nim prymitywnych łowców pierwotnych, którzy obróbce cieplnej swoich zdobyczy nie poświęcali przesadnej uwagi, i wyrafinowanych Chińczyków porównujących herbatę do eliksiru nieśmiertelności. Smacznego! **(MB)**

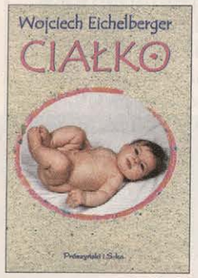

●●●

Wojciech Eichelberger „Ciałko", Prószyński i S-ka, Warszawa 2001

„To prawda, że nie wszystko w naszym życiu zależy od ciała, ale zbyt mało wiemy o tym, jak wiele od niego zależy". Dlatego warto przeczytać piękną książkę napisaną nie tylko dla rodziców przez doświadczonego psychoterapeutę Wojciecha Eichelbergera. Wędrówka po ciele niemowlaka nie służy w tym wypadku praktycznemu poradnictwu dla młodych mam. „Ciałko" jest raczej pouczającą opowieścią o uczuciach oraz potencji twórczej i intelektualnej zapisanych na mapie ludzkiego ciała zaraz po urodzeniu i w pierwszych miesiącach życia. Podróży po tej mapie – od stóp przez nogi, miednicę, brzuch, przeponę, pupę aż po oczy, gdzie każdy z organów jest ważnym i niezastąpionym elementem całości – towarzyszy radosne odkrycie, że świadomość ciała jest źródłem szacunku dla naszego człowieczeństwa. Niemowlę komunikuje się ze światem, z matką i ojcem przez zmysły; ciałko jest ich niezwykle czułym nadawcą i odbiorcą jednocześnie. Każdy z nas w podświadomości przechowuje wspomnienia pierwszych doświadczeń życia poza łonem matki: głodu i sytości, dotyku, ruchu, prób utrzymania równowagi i bólu upadku. Ciało i dusza to dwie strony medalu, bo „wszystko, co przeżywamy na tej ziemi, dzieje się dzięki ciału, przez ciało i w ciele". **(MB)**

●●●●

„Wspomnienia o Kazimierzu Wierzyńskim", pod red. Pawła Kądzieli, Biblioteka Więzi, Warszawa 2001

To jest książka, która, mam nadzieję, będzie przyczynkiem do powstania biografii Wierzyńskiego. Biografii, która już dawno powinna była powstać. Wierzyński posiadał, charakterystyczną zresztą dla ludzi pochodzących z Galicji, „pewną słoneczność duszy". „Gdziekolwiek się pojawił, rosły, urodziwy, promieniejący, mimo swych lat młodszy od tylu innych, umiał znaleźć dla każdego przyjazny uśmiech, życzliwy odruch, miłe słowo" – pisał Juliusz Sakowski. Przywołana w tych słowach młodość jako wyróżnik osobowości Wierzyńskiego pojawia się w każdym właściwie wspomnieniu o nim: „Jeśli ruch, ustawiczna zmiana, niesłabnąca wrażliwość i czujność są cechami młodości – te cechy zachował Wierzyński do końca" – pisał w roku 1969 w „Kulturze" Józef Wittlin. „Męska, późna młodość, która go nie opuszczała..." – to z kolei opinia Wita Tarnawskiego. Ta niezwykła żywotność poety nie pozostawała oczywiście bez wpływu na jego twórczość. Mając dobrze po pięćdziesiątce, aktywny twórczo od z górą trzech dziesięcioleci, dokonał zasadniczej przemiany swojej poetyki. „Życie go kochało" – podkreślają we wspomnieniach wszyscy, którym był bliski. Ze strony Wierzyńskiego była to miłość wzajemna i, co najistotniejsze, miłość mądra, ale o tym... niech każdy sięgnie po tę książkę. **(JR)**

Poeta i matma

Po przeczytaniu „Diabła liczbowego" nie boję się już chwili, gdy z ust młodszej córki padnie sakramentalne pytanie: „Tato, a jak się pierwiastkuje?"

„Mirocha, u mnie z przebiegu zmienności funkcji masz ocenę niezmienną!" – oświadczyła z podszytym pogardą triumfem nasza profesor od matmy, patrząc na sponiewieranego trudami obliczeń kolegę. Jęk zawodu, jaki nieodmiennie towarzyszył odczytaniu zadań matematycznych na klasówce, komentowała: „Proszę rozumieć zadania. Wycie nie należy do najskuteczniejszych metod rozwiązywania problemów".

Właściwie nie powinienem narzekać, bo akurat na tle klasy byłem matematycznym orłem, jednak nie potrafię zapomnieć adrenaliny, jaką wyzwalało każde wejście do matematycznej pracowni na pierwszym piętrze liceum. Nie miałem specjalnych problemów z matmą zapewne tylko dlatego, że mój ojciec miał ją w małym palcu i już za młodu zdołał zaszczepić mi przekonanie, że ten przedmiot może być zabawny i przydatny także humaniście.

Minęły dwie dekady i oto refren powrócił. Tym razem moja starsza córka wpatruje się z rozpaczą w gęstwinę cyfr i znaków, wzdychając: „I tak tego nie zrozumiem". Nie mam matematyki w małym palcu i nie zdołałem zaszczepić jej przekonania, że ten przedmiot może być zabawny i przydatny także humaniście.

Niekiedy w księgarniach można wypatrzyć książki pod upokarzająco brzmiącymi tytułami „Fizyka dla poetów" czy „Komputery dla poetów". Ich autorami bywają z reguły należący do rzadkiego gatunku „ściślacy" obdarzeni talentem popularyzatorskim. No tak, ale jednak ściślacy. Ja tymczasem trzymam w ręku książkę, która mówi mi, że matematyka nie jest straszna, i jest to książka napisana PRZEZ POETĘ. I to nie byle jakiego poetę, ale jednego z największych mistrzów współczesnej niemczyzny. Hans Magnus Enzensberger ma na koncie więcej nagród literackich przyznanych za poezję, dramaty i publicystykę, niż ja mam palców zdatnych do liczenia. I oto z wyżyn swego bawarskiego Parnasu rzuca nam niedbale „Diabła liczbowego". To tak, jakbyśmy dostali, dajmy na to, rzecz pod tytułem „Fizyka oswojona" sporządzoną lekkim i natchnionym piórem Tadeusza Różewicza. Oto właściwa ranga, moi mili. Jak to pojąć?

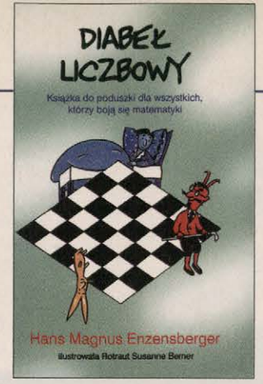

Diabeł, nawet liczbowy, jak zwykle tkwi w człowieku. Ten akurat – w człowieku nazwiskiem Enzensberger.

To przecież nie kto inny jak autor „Diabła liczbowego" głosi od lat, że niekonsekwencja i nieprzewidywalność są właściwie moralnymi obowiązkami światłego człowieka. W jednym ze swych esejów „O spójności, po namyśle" pisze: „Zawsze musieliśmy wybierać w ramach albo-albo: *ancien régime* albo rewolucja, lewica albo prawica... Ta dialektyczna konsekwencja najlepszą sprawę potrafi obrócić w najgorszą". Podobnie i my, idąc do szkoły średniej, stawaliśmy przed wyborem: klasa humanistyczna albo matematyczno-fizyczna (o biologiczno-chemicznych nie mówię, bo te traktowane były jako odrębne dziwactwo). I teraz: co miał zrobić człowiek, którego pasjonowały zadania matematyczne i zawiłości poezji symbolistów? „Przecież się nie rozerwę" – mruczał jak żaba postawiona przed wyborem „przystojni na lewo, inteligentni na prawo". I albo zgłębiał zmienność funkcji, albo frazę Norwida. *Tertium non datur.*

Otóż Enzensberger i jego diabeł taką dychotomiczną wizję mają w głębokim poważaniu. Poeta potrafi bowiem wytłumaczyć matmę.

Mnie wytłumaczył. Podsunął mi wspaniałe sposoby na to, by moje dzieci znieczulić na ból zadań matematycznych, by ból ten uczynić przyjemnym. Bohater powieści Enzensbergera – tak! to jest powieść! – czyli właśnie diabeł liczbowy, ukazuje się w snach zmaltretowanemu uczniowi Robertowi i zrazu wtajemnicza go w sekrety prostej arytmetyki, by stopniowo przechodzić do zagadnień coraz trudniejszych. Czyni to w sposób pomysłowy i obrazowy, dowodząc, że matematyka nie musi być nieludzką abstrakcją, ale może być barwną przygodą życiową.

Po przeczytaniu rozdziału „Noc czwarta" nie boję się już chwili, gdy z ust młodszej córki padnie sakramentalne pytanie: „Tato, a jak się pierwiastkuje?" – z telewizji i przedszkola już wie, skąd się biorą dzieci i pieniądze, pierwiastek jednak długo pozostanie dla niej głębokim sekretem dorosłych. „Noc ósma" to wspaniała eskapada w świat kombinacji i permutacji. Nazajutrz wraz z diabłem liczbowym spenetrowaliśmy zagadnienie silni... Nie, nie powiem, jak się kończy, kto zabił i ile miał w rozumie. Nie pisnę ani słowa o liczbach Fibonacciego, ani o wzorach Eulera... Nie chcę odbierać Państwu przyjemności. Proszę rozumieć zadania. Z Enzensbergerem to prawdziwa poezja.

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Hans Magnus Enzensberger „Diabeł liczbowy", przeł. Barbara Tarnas, Albatros 2002

OKIENKO Z WIERSZEM

Po prostu

Anna Piwkowska

Słońce po deszczu. Rynny zardzewiałe,
mokry róż stromych dachów, zieleń butwiejąca
skąpych daszków nad drzwiami. Rude plamy słońca
jak małe ciepłe koty leżą pod schodami.
Dziewczyna jedzie na srebrnym rowerze,
lśnią mokre włosy, mokre deski mostu,
kim jest, dokąd tak jedzie, w jakim charakterze?
I czy śpiewa z radości, czy śpiewa po prostu?
Głos paruje w powietrzu. Zsiadła, pchnęła furtkę,
krzyknęła coś przed siebie do tego kto zbiegał
po schodkach. Już całuje, zsuwa mokrą kurtkę,
rower upadł na trawę. Promień się zagrzebał
w jej włosach. Liże rzęsy. Dzień jakby spod igły.
Wszystko mu przebaczyła lecz tamtego: nigdy.
Że kiedyś ją jak paproch, małe ziarnko maku
minął. Cząstkę energii o ujemnym znaku.

Październik 1999

RYS. PIOTR GIDLEWSKI

Anna Piwkowska, poetka generacyjnie związana z tak zwanym pokoleniem „Brulionu". Mieszka w Pruszkowie pod Warszawą. Pracowała w Teatrze Wielkim, Muzeum Teatralnym, Teatrze na Woli, ostatnio – w Instytucie Dziedzictwa Narodowego. Jej wiersze wykorzystano w filmie Barbary Sass „Jak narkotyk". Wydała pięć tomików, między innymi „Skazę" (1996), „Tylko trzy drogi" (2000).

Wiersz z tomu „PO", który ukaże się w czerwcu w wydawnictwie Nowy Świat.

JUŻ STAROŻYTNI RZYMIANIE

SIŁA PIEŚNI

Wszyscy się martwią, że Unia Europejska skąpi kasy naszym rolnikom. Ale czy rzeczywiście duże pieniądze zapewnią lepsze plony? Niekoniecznie.

Już starożytni Rzymianie dobrze wiedzieli, że większe żniwa zbiera nie ten, kto więcej sieje, ale kto lepiej... śpiewa. W pieśni tkwi bowiem magiczna siła. Prawo Dwunastu Tablic sformułowane w połowie V wieku przed Chrystusem pośród nielicznych przestępstw objętych karą śmierci wymienia wykonywanie i komponowanie piosenek znieważających osoby żyjące. Taki wokalny atak był powszechnie w Rzymie praktykowanym wyrazem sprawiedliwości ludowej, miał sprowadzać hańbę na nielubianego sąsiada. Obelżywe wrzaski i przyśpiewki łączono też niekiedy z podpaleniem domu. W celu zwiększenia skuteczności. Za pomocą innych piosenek można było przenieść dojrzałe zboże z sąsiedniego pola na własne. Takie śpiewy również zostały potępione na ósmej z dwunastu tablic praw, ale, jak się wydaje, mimo to stosowano je dość powszechnie, bo jeszcze w drugim wieku przed Chrystusem wyzwoleńca Furiusa Chresimusa oskarżono o czarowanie pieśniami. Miewał po prostu zbyt duże plony. Ledwo uszedł z życiem. Wybronił się podstępem. Przytaszczył na forum wszystkie swoje narzędzia rolnicze i oznajmił, że to są właśnie jego magiczne piosenki. Urzędnicy docenili żart i wycofali oskarżenie.

Żeby więc naszym rolnikom działo się lepiej, trzeba ich nauczyć odpowiednich pieśni. Może nie od razu tych znieważających. Na początek wystarczy, jeśli za pomocą piosenek przetransportują zboże z Unii do Polski. Nie mają się zresztą czego obawiać – Prawo Dwunastu Tablic w naszym kraju na razie nie obowiązuje. A nawet gdyby obowiązywało, niewiele by to zmieniło. Poza tym do śpiewania w tak szlachetnej sprawie na pewno włączyliby się niektórzy wpływowi politycy.

MIROSŁAW KOCUR

JERZY SOSNOWSKI

RYSUNKI JOANNA SZACHOWSKA

Mała futrzasta śmierć

Nowe opowiadanie zeszłorocznego laureata Nagrody Kościelskich

To był marzec, a może koniec lutego: nijaka pora roku, mokra i rozmazana, kiedy nic jeszcze nie zapowiada wiosennego ożywienia, a po Gwiazdce nie zostało nawet najodleglejsze wspomnienie. Siedzieliśmy z Lidką przy kolacji, gapiąc się w telewizor. Żadnemu z nas nie chciało się gadać, w każdym razie na pewno nie mnie, ale chyba i jej, choć między sportem a pogodą zauważyłem kątem oka jej rozżalone spojrzenie. Kęsy kanapki z żółtym serem i papryką rosły mi w ustach, właściwie najlepiej byłoby pójść zaraz spać, ale przecież tak się nie robi, nie o tej porze; a pustka nadchodzących kilku godzin była porażająca. Sięgnąłem po gazetę, *co jest po dzienniku?*, zapytałem, *nic, już sprawdzałam*, odpowiedziała Lidka. Rzeczywiście, nie było nic, co by się chciało obejrzeć; nic, na co ochotę można byłoby sobie bodaj wmówić. Wysłuchaliśmy zatem, że jutro spodziewane są dalsze opady deszczu ze śniegiem, że na Suwalszczyźnie temperatura minus cztery, w centrum około zera, wiatr słaby i umiarkowany z kierunków wschodnich – i kiedy zaczęły się reklamy, wyłączyłem z westchnieniem telewizor. W ciszy, która zapadła, słychać było tylko ciche pobrzękiwanie naszych obrączek o ucha filiżanek, chrzęst gryzionej papryki, cichy bulgot przełykanej herbaty. *A w ogóle to jak dzień?* – zapytałem w końcu nieco drewnianym głosem, z którego miało wynikać, że ogólnie kocham moją żonę, ale nie spodziewam się po jej odpowiedzi szczególnych rewelacji. *Cicho!* – odpowiedziała.

Podniosłem głowę, zdziwiony, bo nie wydawało mi się, by moje pytanie, zadawane zresztą od wielu wieczorów, usprawiedliwiało właśnie dzisiaj tak obcesową reakcję – ale Lidka, pochylona nad stołem, ze zmarszczonymi brwiami, patrzyła za moje plecy, w stronę ciemnego przedpokoju, więc zrozumiałem, że dzieje się tam coś interesującego i też zacząłem nasłuchiwać. Na tle szumiących monotonnie samochodów z pobliskiej ulicy i postękiwania windy coś zakwiliło żałośnie, i jeszcze raz. *Dziecko?* – próbowała zgadnąć. Nie był to najszczęśliwszy temat do ewentualnej konwersacji, *dziecko? Na schodach?* – odparłem zatem, wzruszając ramionami. *Pewnie jakieś zwierzę*. Lidka popatrzyła na mnie, chyba pierwszy raz dzisiaj zetknęliśmy się oczami: *jakie zwierzę*, ni to stwierdziła, ni to zapytała, *przecież płacze*.

Uświadomiłem sobie, że siedząc dalej, zostanę za chwilę potworem bez serca, więc podniosłem się i ruszyłem do drzwi. Prawdopodobieństwo, że ktoś nam podrzucił na słomiankę niemowlaka, było niewielkie, trzeba było uciąć kwestię jak najszybciej i wrócić do kanapki z żółtym serem. Odciągnąłem zasuwkę, nacisnąłem klamkę, a że na klatce panowały ciemności, zrobiłem parę kroków do przełącznika. Rozejrzałem się. Było pusto i cicho, tylko gdzieś z oddali zabrzęczał echem dżingiel bloku reklamowego telewizyjnej Jedynki.

Ale gdy chciałem wejść z powrotem do mieszkania – zobaczyłem go. Stał na środku przedpokoju, hipnotyzując wzrokiem Lidkę, która

wpatrywała się w niego z niedowierzaniem i zachwytem. Sterczący czarny ogon drżał lekko, czarne ciałko z rudym prawym uchem dygotało, jakby niepewne, czmychać czy iść dalej. Kot obejrzał się na mnie i usiadł, starannie zawijając ogon na przednie łapki. W piersiach charkotało mu coś, nie wiem: chorobliwie czy miłośnie.

– Czyj ty jesteś? – zapytała Lidka jakimś dziwnym głosem: melodyjnym i słodkim.

Domyślałem się już, że nasz. Nie wiedziałem jeszcze, kogo tak naprawdę wpuściłem tego wieczoru do domu.

*

Był osłabiony, ale szybko dochodził do siebie. Bez przekonania rozwiesiłem rano przy windach ogłoszenia o znalezisku: Lidka patrzyła na mnie z wyrzutem, a potem przez parę dni dziwnie wolno podchodziła do telefonu; ale z drugiej strony kot wydawał się zbyt ufny jak na zwierzę, które nie chowałoby się z ludźmi, więc należało utrzymać choćby pozory przyzwoitości. Swoim heroicznym uporem już trzeciej nocy wywalczył prawo do spania w nogach łóżka; mówiłem, że to niehigieniczne, że będziemy mieli robaki, ale kiedy próbowałem zamykać drzwi do sypialni, darł się po tamtej stronie tak niemiłosiernie, że musiałem ustąpić. Weterynarz, do którego pognała zaraz Lidka, powiedział zresztą podobno (nie do końca jej wierzyłem), że jest zadziwiająco czysty. A raczej: czysta – *dziewczynka!*, oświadczyła Lidka z tryumfem, kiedy nazajutrz wróciłem z pracy i potrzebowałem przynajmniej kilku sekund, by zrozumieć, o kim mowa. Właściciel jednak się nie zgłosił, a po tygodniu sam skrzętnie pozdzierałem kartki sprzed wind, ponieważ zaczęło mi się to wszystko dość podobać. W każdym razie nie byliśmy już złodziejami kotów. Mruczenie o poranku, połączone z trącaniem mnie zimnym nosem (czwartej nocy zaczęła się batalia o spanie na poduszce zakończona błyskawicznym sukcesem), jakkolwiek bez wątpienia interesowne, bo dotyczące śniadania, można było od biedy rozumieć jako objawy sympatii. Napady niepowstrzymanej ruchliwości, które przypadały co wieczór po kolacji, ożywiły nasz dom – i tylko przez pierwszych kilka dni zdawało mi się, że mnie to męczy. Mimo nieszczelnych tego sezonu okien przestało doskwierać mi zimno, bo gdziekolwiek usiadłem, zaraz na kolanach zjawiał mi się on – i grzał. Czarne futro prowokowało do głaskania i moje dłonie odzyskały nagle pieszczotliwość, o której prawie już zapomniałem. Odtąd zdarzało się coraz częściej, że wieczory spędzaliśmy na kanapie we trójkę: ja w środku, po jednej stronie tarmoszony za rudym uchem albo drapany po brzuchu kot, po drugiej stronie Lidka, której włosy odzyskały wabiący połysk. A kiedy którejś nocy obudził nas hałas, który okazał się efektem skutecznego polowania w kuchni na karalucha, obywatelstwo kota w naszym domu zostało przypieczętowane. Dostał wtedy kawałek polędwicy w nagrodę, którą przyjął godnie, jakby w poczuciu zrozumiałej zasługi.

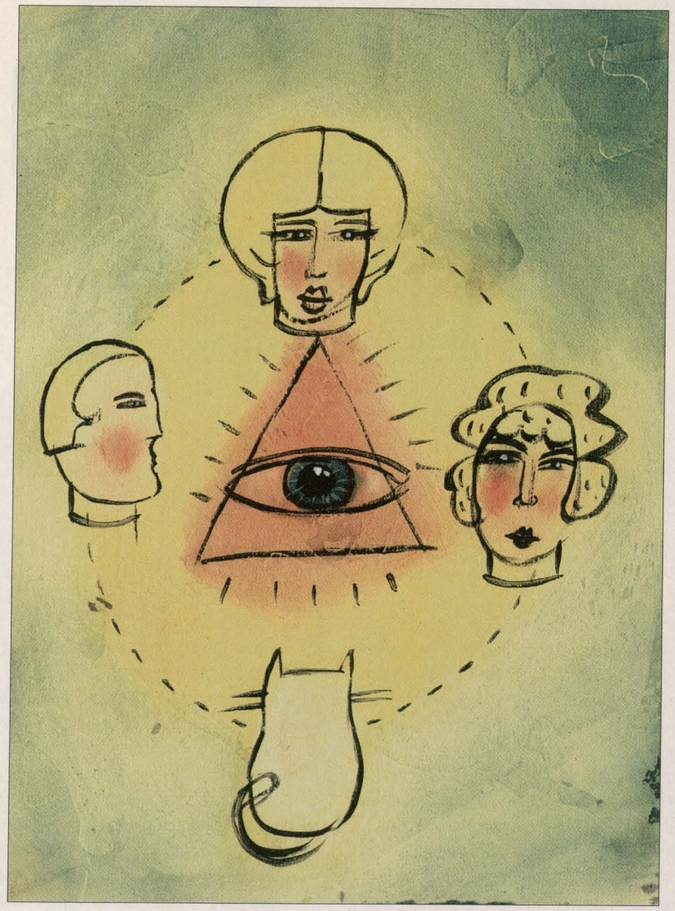

Minęło pół roku, kiedy po powrocie z pracy zastałem Lidkę z twarzą poszarzałą, niespokojną. *Coś mu jest* – powiedziała żałośnie – *rzyga od popołudnia*. Kot siedział pod szafką i przypatrywał mi się okrągłym okiem, kiedy przemawiałem do niego uspokajająco. Po chwili wypełzł i, wstrząsany torsjami, zostawił na podłodze małą, żółtą kroplę. *Nic mu nie będzie* – powiedziałem bez przekonania, ale widząc minę żony, ubrałem się bez słowa i poszedłem z nim do weterynarza. *Struł się czymś* – usłyszałem. – *Mieliście państwo rozłożoną trutkę na szczury?* – *Na szczury? W mieszkaniu?* – *No nie wiem, dam mu zastrzyk na wzmocnienie, gdyby nie było lepiej, proszę przyjść jutro*. Jechałem potem windą, z kotem za pazuchą, który nie miał nawet siły bać się nieznanych zapachów. Przeleciało mi wtedy przez głowę, jak też będzie wyglądało nasze życie bez kota, ale ponieważ poczułem nagle, że się rozmruczał, stwierdziłem z ulgą, że ulegam histerii. Kiedy od drzwi rzucił się do swojej miseczki z wodą, odetchnąłem, a i w poczerwieniałych oczach Lidki zaświeciło jakieś światełko.

Ale rano – była sobota – zastaliśmy go leżącego bezwładnie na progu kuchni i kiedy na nasz widok zamiauczał cicho, było dosyć oczywiste, że to koniec. Lidka nie chciała zostać sama w domu; poszliśmy więc oboje do weterynarza, który dał mu jeszcze kroplówkę i zaproponował, żebyśmy się przeszli, podczas gdy on zadecyduje, co dalej. Chodziliśmy trochę po osiedlu, milcząc; kiedy wróciliśmy po godzinie, weterynarz rozłożył ręce. *Jak państwo się, mam nadzieję, domyślili, wysyłam w takich razach właścicieli na spacer, żeby ochłonęli. Nie są zresztą przy tym potrzebni. To jest bezbolesna śmierć, naprawdę*. Pokiwaliśmy głowami i wróciliśmy do domu.

Coś dławiło mnie w gardle, ale powiedziałem sobie, że nie będę przecież kota opłakiwał, więc z kamienną miną wyciągnąłem odkurzacz i zacząłem sprzątać. Dopiero gdy przyszło do odstawienia miseczek za szafę, nie dałem rady. Siedliśmy z Lidką na kanapie i przytuliliśmy się do siebie, siąkając nosami.

*

Tego wieczoru nie mogliśmy wysiedzieć w mieszkaniu – pozbawione naszego kudłatego przyjaciela zrobiło się zbyt puste – więc wyciągnąłem Lidkę do kina. Nie pamiętam, o czym był film; wracaliśmy spacerem, nie chcąc jeszcze przez chwilę mierzyć się z nieprzytulną przestrzenią, ze śmiesznymi, nagle rozżalającymi wspomnieniami. Mimo wszystko pomyślałem sobie, że życie nasze wróci jakoś do normy, cokolwiek miało to znaczyć; na krótko przed pojawieniem się kota zacząłem w niejasnych celach odwiedzać Ewę, sąsiadkę z mieszkania na końcu korytarza, z którą rozmawialiśmy często o książkach – lubiła Marqueza, jak ja – i choć nie zdarzyło się między nami nic niestosownego, z dziwnym drżeniem uświadomiłem sobie, że dawno u niej nie byłem. Tymczasem wsiedliśmy do windy, a ponieważ, nie wiedzieć czemu, nie chciała zatrzymać się na naszym piętrze, pojechaliśmy wyżej. Lidka schodziła przede mną i kiedy zatrzymała się jak wryta, wpadłem na nią, prawie spychając z ostatniego stopnia. Już miałem powiedzieć coś przykrego, kiedy usłyszałem: *O Jezu*.

I już jej nie było, już biegła do naszych drzwi, pochylała się i brała coś żywego z wycieraczki, i już mruczał jej w ramionach, czarny z rudym uchem, jak gdyby nigdy nic. *Popatrz, zupełnie taki sam* – powiedziała, ale oboje doskonale rozumieliśmy, że nie taki sam, ale ten sam; ileż w końcu czarnych kotów ma rude prawe ucho? Dlatego kiedy już w sypialni, po zgaszeniu światła, poczułem ostrożne kroki lekkich łapek na swoim brzuchu, nie zdziwiłem się, słysząc głos Lidki: *Czy możliwe, żeby weterynarz nas oszukał?* Nie poruszyłem się, poczułem przy twarzy mruczące futro, pachnie trochę inaczej, przeleciało mi przez głowę, ale nie odezwałem się. Dopiero po chwili: *Mogę jutro pójść i go zapytać*, bąknąłem. Długo trwała cisza, mącona tylko przez delikatny chrzęst udeptywanej poduszki. *Ale po co właściwie*, odparła Lidka. I z tym poszliśmy spać.

Kiedy opowiedziałem o tym Ewie, roześmiała się, nie wierząc oczywiście w ani jedno moje słowo. *Koty żyją siedem razy, przecież wiesz* – pogłaskała mnie po ręku. Przytrzymałem tę jej dłoń, podniecająco smukłą. *Uważasz, że zwariowałem* – szepnąłem, zastanawiając się, co dalej. – *Po prostu kłamiesz bardzo interesująco; lubię cię słuchać*. W zamku zachrzęścił klucz, mąż Ewy wracał właśnie z pracy. Zaproponował wspólną kawę, ale wymówiłem się, z jakiegoś powodu rozdrażniony. Uspokoiło mnie dopiero, gdy w ciemnym przedpokoju Ewa nadstawiła mi na pożegnanie policzek, a gdy się pochyliłem, lekko przesunęła głowę tak, że pocałowałem ją przypadkiem w sam kącik ust. To było miłe, choć wracając do mieszkania, myślałem sobie, że zbliżyliśmy się chyba do granicy, za którą trzeba będzie się czegoś wstydzić.

Ale Lidka nie dostrzegła mojego pomieszania. W ogóle zacząłem mieć od tego dnia wrażenie, że sprawa kota zdominowała jej życie. Jeśli nie miała dyżurów w radiu, przesiadywała w fotelu, wpatrując się w zwierzaka w napięciu; kiedy wracałem, zaledwie odpowiadała mi *cześć*, nie spuszczając z niego oczu, jakby chciała długotrwałą obserwacją wydobyć na jaw tajemnicę tamtego weekendu. Kot zrobił się jakiś ociężały, niechętnie gonił za srebrnymi kuleczkami, które jak dawniej wyrabiałem z papierków od czekoladek, aż któregoś wieczoru rozbestwił się do tego stopnia, że nie poszedł do kuchni na kolację, tylko łaskawie pozwolił się karmić, leżąc na fotelu. Próbowałem protestować. – *Boję się, żeby znowu nie odszedł* – odparła Lidka. – *Boję się. Mógłbyś to raz zrozumieć*.

Tłumaczyłem sobie, że to nadchodząca jesień czyni go tak nieruchawym, ale z początkiem listopada zacząłem się poważnie lękać, czy obawy Lidki nie mają czasem charakteru samosprawdzającej się przepowiedni. Przekarmiany, jak mi się wydawało, przez moją żonę, kot leżał ciągle na kaloryferze – futerko odciskało mu się wtedy w prążki, jakby potraktował je lokówką – albo na kanapie, albo w progu kuchni. Wiele razy widywaliśmy, jak dyszy ciężko, wywalając na całą długość różowy język. Czasem, kiedy brałem go na ręce, pomiaukiwał ostrzegawczo. Lidka biegała z nim do przychodni za parkiem – do tamtego weterynarza nie mieliśmy odwagi pójść – karmiła go jakimiś pastylkami, zawijanymi w plasterki polędwicy, ale nie wyglądało to na udaną kurację. W domu zrobiło się ponuro; bąknąłem kiedyś, że mam dosyć tego kociego hospicjum, ale Lidka nie odezwała się nawet, więc widocznie zrobiłem jej przykrość większą, niż zamierzałem. Co gorsza, powiedziałem to w złą godzinę, bo trzy dni później, ubierając się do pracy, zastaliśmy go w łazience, koło kuwety z piaskiem, sztywnego i zimnego. Bez słowa włożyłem czarne truchełko do plastikowej reklamówki i wyniosłem do zsypu. – *Co z nim zrobiłeś?* – zapytała Lidka drżącym głosem, kiedy otwierałem drzwi mieszkania. – *Oddałem dozorcy, żeby go zakopał* – odparłem. Cóż, brzmiało to lepiej; a zresztą nie okłamywałem jej przecież po raz pierwszy.

*

Kiedy półtorej doby później usłyszeliśmy pod drzwiami miauczenie, byłem zdania, żeby nie otwierać. Lidka jednak wstała i już po chwili zobaczyłem ją w drzwiach pokoju, z kotem w objęciach. Ten też był czarny, z rudą plamą na prawym uchu. Uśmiechała się do mnie, jak oceniłem, dość głupio: *Jak to zrobiłeś?* – zapytała, jakby wszystko było moim dowcipem. Nie odezwałem się, jadłem dalej kolację, gapiąc się uparcie w telewizor. *Nawet jak to jest, ja w to nie wierzę* – zastrzegłem tylko, idąc spać.

Miałem na szczęście o czym myśleć, bo dłuższe zastanawianie się nad wielokrotnymi śmierciami naszego zwierzaka musiałoby, nie miałem wątpliwości, doprowadzić mnie do gabinetu psychiatry. Tymczasem mąż Ewy wyjechał w kilkudniową delegację i, cóż, pozostało mi uporanie się jakoś z faktem, że właśnie zdradzam moją żonę. Próbowałem sobie wyjaśnić, że wolę przebywać tam, po drugiej stronie korytarza, ponieważ nie było tam pół-żywego stworzenia – ale przecież wiedziałem, że to wymówka nie do przyjęcia nawet dla mnie. Losy mojego romansu i kota splotły się zresztą wkrótce. Któregoś razu, wychodząc od Ewy, zobaczyłem w drzwiach naszego mieszkania Lidkę. Zanim skończyłem bełkotać jakieś upokarzające wyjaśnienie, okazało się, że tymczasem przeciąg otworzył okno, a kot wykorzystał nadarzającą się okazję do wykonania samobójczego skoku z jedenastego piętra. Lidka szlochała całą noc i pewnie sama nie wiedziała do końca, czy opłakuje kota, czy moją zdradę. W każdym razie od tej pory, kiedy przechwytywałem jej spojrzenie, była w nim odraza, jakbym to ja zabił tego cholernego zwierzaka.

Tydzień upłynął w całkowitym milczeniu. Wstrząśnięty wszystkim, co się stało, przestałem odwiedzać kochankę, a kiedy raz zagadnęła mnie na parkingu, odpowiedziałem jej coś opryskliwie. W domu nie było wcale lepiej i zacząłem rozumieć, że mężczyźni w takich razach zaczynają szukać mieszkania do wynajęcia. W pracy pytano mnie, dlaczego tak źle wyglądam. Odparłem wymijająco, że mam kłopoty.

Pewnego wieczoru, kiedy wróciłem, nie zastałem Lidki. Nie miałem pojęcia, dokąd mogła pójść, i zacząłem się poważnie niepokoić, coraz wyraźniej zdając sobie sprawę, że wszystko potoczyło się w możliwie najgorszym kierunku, i to niestety przeze mnie. Kręciłem się po pustych pokojach, aż w końcu pomyślałem, że tymczasem zrobię sobie kąpiel, żeby zebrać myśli. W szumie lejącej się wody zdawało mi się, że ktoś zastukał. Czy Lidka mogła zapomnieć kluczy? Wybiegłem z łazienki w samych slipach, odsunąłem zasuwkę. Na korytarzu nie było nikogo, przynajmniej nie na wysokości oczu. Opuściłem wzrok i zobaczyłem go: siedział na wycieraczce i przypatrywał mi się z bezczelną ufnością.

– Spierdalaj – powiedziałem dobitnie i zamknąłem z hałasem drzwi.

Opowiadanie ukaże się w maju w zbiorze „Linia nocna. *Singles' collection*" w wydawnictwie W.A.B.

GADŻETY

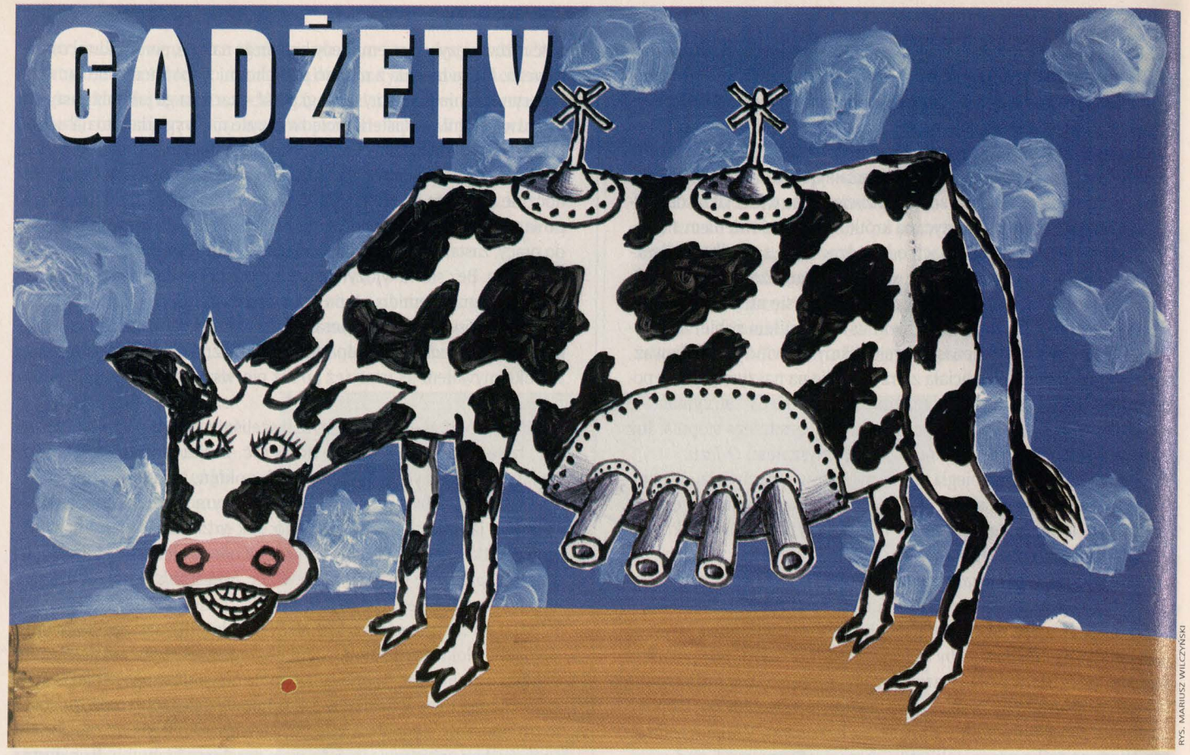

RYS. MARIUSZ WILCZYŃSKI

Choć w kuchniach profesjonalnych gadżetów raczej się nie znajdzie, w sklepach z wyposażeniem kuchennym jest ich tyle, że trudno sobie wyobrazić wykonywanie wszystkich czynności, w których rzekomo miałyby nam pomagać. Choćby z tego względu można podzielić gadżety na przydatne i bezużyteczne. Te przydatne zazwyczaj cechuje prostota, ich kształt wyraża błysk geniuszu wynalazcy. Natomiast bezużyteczne są piękne jak eksponaty w muzeum etnograficznym lub dzieła sztuki abstrakcyjnej.

Pierwsze olśnienie, jakiego doznałem na widok gadżetu, miało miejsce w wytwornej restauracji w Rheims, gdzie jadłem posiłek złożony z siedmiu dań. Kiedy kelner uznał, że nie będę już jadł pieczywa, przyniósł srebrny przyrząd wyglądający jak duża papierośnica zamocowana na krótkim uchwycie. Przesuwany po obrusie przyrząd bezszelestnie pochłaniał okruszki chleba. Widziany z bliska okazał się miniaturową wersją szczotki Kasia, która w latach gierkowskiego dobrobytu zastępowała odkurzacz. Aż do deseru byłem niemy z zachwytu.

Nie był to jednak gadżet w ścisłym tego słowa znaczeniu kuchenny, lecz raczej stołowy. Przy stole skuteczności towarzyszyć powinna elegancja, w kuchni nie jest to konieczne. Mimo to producenci gadżetów *stricte* kuchennych odeszli od plastiku i aluminium na rzecz chromowanej stali i innych połyskliwych metali. Nagrodę w tej kategorii muszę przyznać producentom pojemnika na tłuszcz w aerozolu. Ten rodzaj tłuszczu jest ważnym składnikiem wielu diet odchudzających. Wprawdzie nie widziałem go na półkach polskich sklepów, lecz to zapewne dlatego, że się nie odchudzam. Patelnię pokrywa się cieniutką warstwą tłuszczu, rozpylając go z ciśnieniowego pojemnika niczym odświeżacz powietrza w toalecie. I na tym polega sens gadżetu: umieszczamy puszkę tłuszczu w srebrzystej tubie i dzięki temu możemy udawać przed światem i sobą samym, że spryskujemy patelnię perfumami, a nie margaryną.

Gadżetem najpiękniejszym ze wszystkich jest obieraczka do jabłek. Kształtem przypomina połączenie piły do metalu z imadłem. Jabłko umieszcza się na obrotowym drążku i kręcąc nim, powoduje, że sprytnie umiejscowione ostrze obiera je ze skóry. Posiadaczem tego dzieła sztuki można zostać za jedyne 150 złotych. Obieraczce do jabłek tylko nieznacznie ustępuje wyrafinowaniem pistolet do ziemniaków. Ściślej mówiąc, jest to pistolet do usuwania czarnych oczek z obranych już ziemniaków. Pociągając za spust, wypuszczamy z lufy strzałę, która wbija się w niepożądane znamię na powierzchni ziemniaka. Wyciągamy ją wraz z czarnym odłamkiem. Przyznam, że widziałem ten gadżet tylko w telewizji, i to amerykańskiej. Prezentował go starszy pan wyglądem i sposobem bycia przypominający Rossa Perota. Program dotyczył przedsiębiorczości, a pan ów twierdził, że sprzedał przez akwizycję pół miliona takich pistoletów. Nie rozwiąże to problemu bezrobocia – ale może warto spróbować?

Powiem całkiem szczerze: wszystkie czynności kuchenne wymagające ostrzy z powodzeniem można wykonać za pomocą noża. I podstawą ekwipunku kucharza jest zestaw noży. Zębate łyżki, szpikulce, rozwidlające się groźnie ostrza, przypominające miniaturowe dyby kawałki metalu z różnej średnicy otworami – to wszystko lepiej pasuje do średniowiecznego gabinetu tortur niż nowoczesnej kuchni. Wycinając wszystko nożem, nabiera się manualnej zręczności, pewnej wprawy, która przyda się nie tylko w kuchni. Gadżetami bawimy się tylko dla rozrywki.

Oczywiście, inaczej sprawy się mają w cukiernictwie. Tu każdy rodzaj gadżetu należy traktować z powagą należną deserom. Wyobraźmy sobie ciasto w kształcie jeża pokryte kolcami z czekolady – taka fantazja musi wymagać skomplikowanego oprzyrządowania, częściej spotykanego w fabryce niż domowej kuchni. Lecz istnieje pewien supergadżet, który niebezpiecznie zaciera granicę pomiędzy wypiekami domowymi a kupnymi. Jest nawet podwójnie niebezpieczny, ponieważ podważa tradycję. Mam na myśli maszynę do pieczenia chleba. Jest dosyć kosztowna, lecz nie ekskluzywna. Wieczorem wkłada się do niej mąkę, drożdże, sól i tłuszcz, po czym nastawia zegar na godzinę, o której rano chcemy mieć świeży chleb. To wszystko. Można zapomnieć o trudzie i znoju. A chleb z supergadżetu, choć nie tak dobry jak ten robiony ręcznie, jest, o zgrozo, całkiem przyzwoity.

TADEUSZ PIÓRO

O różnych innych gadżetach – które dopiero czekają na wynalezienie – czytaj w „Piątka klepce" (s. 70.)

TO PROSTE

Modne są paski. Właściwie to koniec tekstu.

Po co pisać dalej, kiedy wszystko jasne? Co mogę jeszcze więcej napisać? To przecież proste. Bardzo modne są paski. Różne. Prążki bardzo drobne. Tenisy, o, bardzo, szalenie modne są tenisy. Też różne, węższe, szersze, na tłach jasnych ciemne paseczki, na tłach ciemnych jasne paseczki. Tenisy na tle czarnym najchętniej białe, ale mogą być inne. Paski jak w tradycyjnych piżamach. Albo ten typ pasków: różne paseczki obok siebie, bardzo wąskie, ciut szersze, ale różne, jaśniejsze, ciemniejsze, tylko w dużym raporcie. Raport – dla tych, co nie wiedzą – to jest nazwa odcinka powtarzalności na materiale. Czyli mamy różnie ułożone paseczki, gęściej, rzadziej, i co 10–20 centymetrów to samo ułożenie czy jakiś wzorek się powtarza, to jest raport.

Modne są tkaniny z paseczków przypominające jakieś trochę bezbarwne, beżowate materiały z początku XX wieku.

Mnie się to kojarzy z czymś, czym wykładano stare walizki, takie subtelne paseczki.

Od razu powiem, że oprócz pasków modne są też kwiatki, ale nie ma jak materiały gładkie, prawda? Wracam do pasków. Jest to moda typowo konfekcyjna, taka do ubrania. Pojawiło się pełno bluzek w paski, a z tenisów jest już chyba wszystko – od płaszczy, przez żakiety, bluzki, spodnie. Ta moda będzie się ciągnęła też przez następny sezon, więc małe ryzyko.

Paski są też w modzie męskiej: koszule, krawaty, garnitury. Szczególnie w nurcie mody eleganckiej jest powrót garnituru w dyskretny tenis (na przykład na granacie), a w ostrzejszej – mniej dyskretny.

Niektóre żakiety damskie czy spodnie w te właśnie modne paski wyglądają trochę piżamowo, ale taka właśnie jest moda.

Piszę to, żeby nie było nieporozumień.

Zdjęcia, które są obok, zrobiliśmy na takim awangardowym (co za przestarzałe słowo!) pokazie mody młodzieżowej „Who's Next?" w Paryżu, który jest ostro wystylizowany i gdybym chciała go skrótowo określić, nie przychodzi mi nic innego jak: cholernie modny.

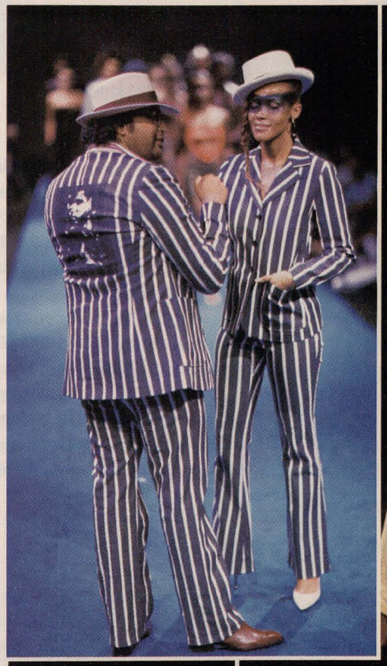

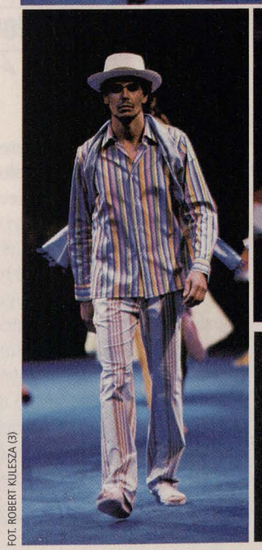

FOT. ROBERT KULESZA (3)

HOFF

Jak eufemistycznie określić śmierć

Kici Kici

Zestaw niezbędnych wyrażeń i zwrotów w różnych językach świata

- w Polsce: **odejść na łono Abrahama**, kopnąć w kalendarz, wyciągnąć nogi/kopyta
- we Francji: **payer sa dette à la nature** (dosłownie: spłacić swój dług wobec natury) lub **aller oú va toute chose** (iść tam, gdzie wszystko podąża), lub **finir ses jours** (skończyć swoje dni), lub **être reçu au sein d'Abraham** (być przyjętym na łono Abrahama), lub **rejoindre ses aieux** (dołączyć do swoich przodków)
- w Wielkiej Brytanii: **to end one's days** (zakończyć swoje dni) lub **to go the way all flesh** (podążać drogą wszystkich ciał) lub **kick the bucket** (kopnąć w wiadro)

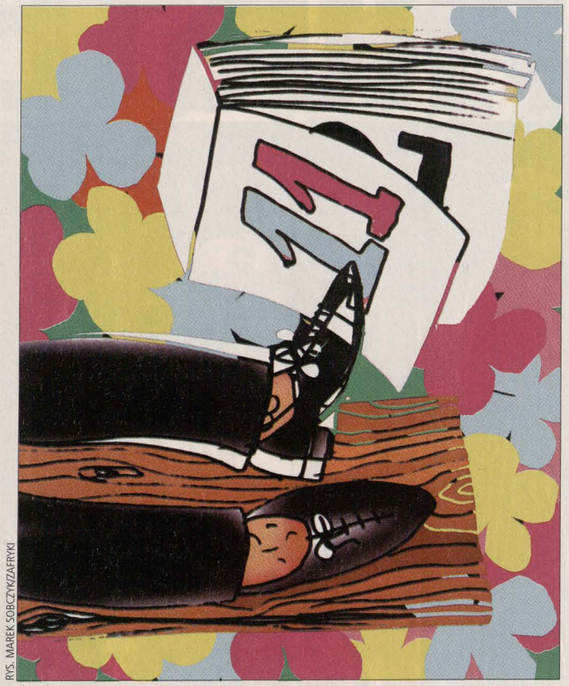

RYS. MAREK SOBCZYK/ZAFRYKI

- we Włoszech: **andare all'altro mondo** (przejść do innego świata) lub **tirare/lasciarci le cuoia** (wyciągnąć/zostawić skórę), lub **rimanerci secchi/stecchiti** (stać się suchym/wysuszonym/kościstym), lub **crepare** (zdechnąć, ale uwaga: *crepare di salute* znaczy cieszyć się dobrym zdrowiem), lub **lasciarci le penne** (zostawić pióra – uwaga: to wyrażenie oznacza śmierć tylko w niektórych regionach, na przykład w Padwie; w bardziej praktycznym Mediolanie „zostawić pióra" to po prostu ponieść straty finansowe w jakimś interesie); o psach Włosi mówią **stirano le zampe** (wyciągnąć łapy)
- w Hiszpanii: **pasar a mejor vida** (przejść do lepszego życia) lub **dińarla** (kopnąć w kalendarz), lub **estirar la pata** (wyciągnąć łapy/kopyta), lub **jińarla** (jak poprzednio), lub **espicharla** (kojfnąć)
- w Japonii: **hotoke ni naru** (stać się Buddą)
- w Szwecji: **skatta at förgängelsen** (spłacić dług unicestwieniu) lub **ga till sina fäder** (odejść do ojców)
- w Turcji: **hakk'ýn Rahmetine kavutmak** (połączyć się z boskim miłosierdziem)
- w Portugalii i Brazylii: **bater as botas** (uderzyć butami) lub **ir para os anjinhos** (iść do aniołków), lub **esticar o pernil** (wyciągnąć udo – jeśli zważyć, że *o pernil* oznacza w języku kucharskim udziec czy szynkę, to brzmi to dosyć śmiesznie)
- w Niemczech: **über den Jordan gehen** (przejść przez rzekę Jordan) lub **ins Jenseits gehen** (przejść na drugą stronę), lub **zur grossen armee abgehen** (odejść do wielkiej armii)

Szczególne

daję słowo

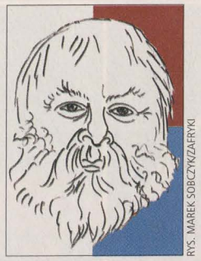

RYS. MAREK SOBCZYK/ZAFRYKI

– Na honor! Czyż to nie szczególne, co?
– Bardzo szczególne – odrzekł Sam.
(Charles Dickens „Klub Pickwicka")

Bohaterowie „Klubu Pickwicka" dziwią się co chwila, serio lub z grzeczności, wykrzykując raz za razem: „To **szczególne**!". Dziś mało kto używa tego **szczególnego** słowa w takim znaczeniu, jakie mają słowa „zdumiewające" czy pięknie staroświeckie „osobliwe".

Jest natomiast i modne, i wygodne (co zresztą idzie w parze) w innym odniesieniu.

Mogę go użyć zawsze i bezpiecznie, oznajmiając, że coś traktuję inaczej niż coś innego, wyjątkowo. Głównie: lepiej. A ponieważ zazwyczaj albo sam chcę, albo inni chcą, bym to, co w ogóle traktuję, traktował dobrze, uważał za duże i ważne, to **„szczególnie"** mogę dokleić i do zainteresowania, i do troski, i do ostrożności, i do odpowiedzialności. I do wielu innych.

Dokleić bezpiecznie, bo zawsze mogę się wykręcić.

Kiedy przeczytałem coś ze **szczególnym** zainteresowaniem albo czemuś poświęciłem **szczególną** uwagę, to nie musiało to wcale być wynikiem dużego czy choćby znacznego (to też wygodne, ale mniej) zainteresowania itd. A **szczególna** odpowiedzialność też nie musi być wielkich rozmiarów. Inni – co prawda – zrozumieją, że uwaga była duża, ale ja przecież uczciwie mogłem myśleć, że była tylko inna niż inne uwagi. **Szczególna**. Takiej uwagi nie było. I mam rację, bo nie ma dwóch takich samych uwag. Mówię prawdę.

Która brzmi dobrze. **Szczególnie** dobrze.

Tym bardziej że „nieszczególny" brzmi **szczególnie** nieszczególnie.

Jerzy Bralczyk

inne pytania

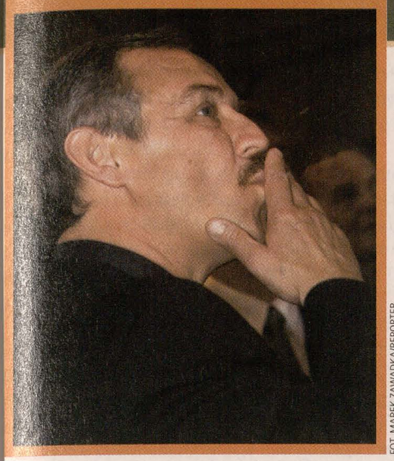

FOT. MAREK ZAWADKA/REPORTER

Myślę, że zostaną tylko kobiety

MARIA CZUBASZEK: Grzebiesz czasem w sobie?
MAREK KONDRAT: Wiedziałem, że o to spytasz.
A ja nie. Szczerze mówiąc, nie wymyśliłabym takiego pytania.
– To już lepiej. Ale w takim razie, dlaczego?
Spytałam? Bo tuż przed naszym spotkaniem przeczytałam... zacytuję po literkach: „Nauczyłem się, że cały czas trzeba się sprzedawać, pokazywać, grzebać w sobie, żeby znajdować potrzebne w danej chwili emocje".
– To nie moje.
Ale też aktora.
– Aktorzy również miewają złe dni.
I złote myśli. Zacytowane przemyślenia są autorstwa Waldemara Goszcza, który zagrał jak dotąd tylko w jednym serialu, a już tyle się nauczył. A ty?
– Jeśli idzie o grzebanie w sobie, w sensie zawodowym, Bóg mnie ustrzegł.
A może po prostu uczysz się wolniej?
– Aktorstwo to wolny zawód.
To inne pytanie. Dlaczego ogórek nie śpiewa, dobrze, a gwiazdka „Big Brothera" śpiewa, i źle?

Trzeba próbować

Marek Kondrat, aktor, w rozmowie z Marią Czubaszek

– Na to pytanie odpowiedział już dawno Kubuś Fatalista. Kto najbardziej mówić lubi? Jąkała. Kto najbardziej lubi chodzić? Chromy.
Kto najbardziej lubi śpiewać?
– Może ta gwiazdka z reality show? Trudno powiedzieć. Nie słyszałem.
Osobiście miałam mniej szczęścia. Słyszałam. A słyszałeś takie powiedzonko? Mijają lata, zostają panienki...
– Nierzadko dorosłe pannice.
Silnie dorosłe. Jak myślisz? Dlaczego jest coraz więcej kobiet samotnych z wyboru?
– Bo zanikają mężczyźni. Myślę, że zostaną tylko kobiety, jak w „Seksmisji" Machulskiego.
Simone de Beauvoir już dawno powiedziała, że przyszłość należy do kobiet. Pod warunkiem że nie będą małpowały mężczyzn.
– Wszystko idzie w tym kierunku.
I kobieta, jak mówi inna gwiazdka „Big Brothera", „nie chce być głupią blondynką, tylko silną osobowością, z jajami".
– Przy tym ostatnim bym się nie upierał.
Kobiety też nie powinny, bo to by znaczyło, że chcą jednak małpować mężczyzn. Ale poważnie. Dlaczego mężczyźni zanikają?
– Między innymi dlatego, że kobieta przestała być kurą domową.
A mężczyzna kogutem?
– Mężczyzna przestał się starać, żeby zaimponować kobiecie.
Za wysokie progi?
– Też. Żeby zarobić, żeby się podobać, żeby zawód uprawiać...
Niektórzy uprawiają.
– Ale nie dla kobiety. Tylko dla siebie. Bo trzeba sobie coś umościć. A kobieta zawadza trochę. Ale bywa też wprost przeciwnie. Znam kobiety, które mówią, że jak się już do niej jakiś przyczepi i zaczyna się mościć u niej w domu (który ona zbudowała, urządziła, i w którym wszystko sobie ułożyła), no więc, kiedy on zaczyna u niej układać swoje rzeczy, zaczyna się robić nieprzyjemnie.
Nikt nie mówił, że ma być przyjemnie.
– Tylko, że długo i szczęśliwie!
Przy mężu?
– Okazuje się, że niekoniecznie. I coraz częściej niechętnie. Bardzo mi się spodobało, kiedy w konkursie ogłoszonym przez jakieś amerykańskie pismo na najkrótsze, najbardziej lapidarne określenie męża, wygrała definicja. „Mąż to taki facet, który rano siada w gaciach na łóżku i kaszle".
A przedtem chrapie?
– Niestety. Podejrzewam, że jest to wizerunek męża popularny na całym świecie.
I dlatego „panowie na telefon" stają się równie popularni jak *call girls*?
– Niewykluczone. Bo dlaczego kobieta nie może zadzwonić do takiego, który nie kaszle przynajmniej w jednym momencie jej życia?
A przedtem, a zwłaszcza potem, nie chrapie? Bo już go nie ma, czyli, zamiast długo i szczęśliwie, krótko i przyjemnie?
– To już kwestia wyboru.
I ludzie coraz częściej wybierają samotność?
– W końcu człowiek rodzi się sam i sam umiera. A „pomiędzy" to próba przetrwania. Niektórzy próbują wszystkiego.
Spróbujmy spuentować naszą rozmowę. Ludzie dzielą się na bogatych i biednych, na mądrych i głupich, starych i młodych, kobiety i mężczyzn. Co najbardziej dzieli?
– Płeć.
Prędzej bogaty zrozumie biednego...
– Niż mężczyzna kobietę. I odwrotnie.
To mamy problem.
– Wiedziałem o tym od początku.
A ja nie.
– I bardzo dobrze! Od tego zaczęliśmy i na tym kończymy. Za chwilę mam próbę w teatrze.
Życie to nie teatr.
– Ale próbować trzeba.

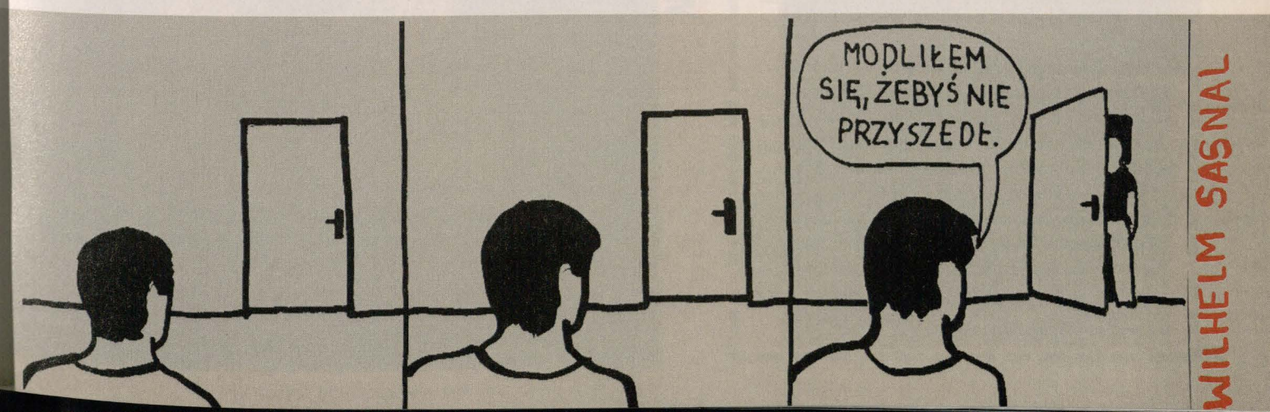

HECA

– Przeważnie są dwa warianty, jeden za, a drugi anty.
– Wszystko lepiej zagra, gdy zawołam szwagra.
– Nie każda żmija w kłębek się zwija.
– Jabłek już nie jadam, zmądrzałem – Adam.
– Nastolatki na prywatki, małolaty do mamy i taty.
– Byłby jak ptak, ale skrzydeł mu brak.
– Ten pan ni ma miny mima.

HECA

PIĄTKA KLEPKA

Lista absolutnie niezbędnych wynalazków i usprawnień, których jeszcze nikt nie wymyślił:

• Chłomka, czyli chłodosłomka (*coolsipper*) – do picia zbyt gorących napojów.

• Pipilampek (*pissylight*) – fosforyzujący nocnik, łatwy do znalezienia w ciemnościach pod łóżkiem (model firmy Osram zawiera także żarówkę).

• Smycz zwrotna (*backmaster*) – smycz, za pomocą której pies powstrzymuje pana, gdy ten na spacerze za bardzo zapędza się za jakąś samicą gatunku „człowiek". Idealny prezent dla męża.

• Retromazak (*bullshit eater*) – flamaster, cienkopis lub długopis. Gdy włączy mu się bieg wsteczny, z powrotem wsysa tusz do środka, likwidując świeżo napisane głupstwo.

• Włosiokrętka (*hairy ejaculation*) – nakrętka na tubkę od pasty do zębów pokryta krótkim miękkim włosiem, z jedną małą dziurką. Wystarczy chwycić mocniej tubkę, aby włosiokrętka pokryła się pastą. Dzięki temu wynalazkowi możemy myć zęby, używając samej tubki, bez szczoteczki.

• Klubofon (*screampipe*) – hełm z rurą w miejscu ust i otworami na uszy, do których można przykręcić podobne rury pochodzące z innych klubofonów. Służy do rozmawiania w pubach i innych silnie muzycznych lokalach.

• Kupex lub kupexpress (*happy cart*) – wózek sklepowy (hipermarketowy) wypełniony uprzednio przygotowanymi standardowymi zakupami, takimi jakie robi 60% polskich rodzin (kilo zwyczajnej, kilo salcesonu, kilo mielonego, kilo cebuli, kilo ziemniaków, kilo cukru, kilo soli, kilo mąki, kilo papieru toaletowego). Od razu stoi przy kasie i czeka na klienta. Wydatnie przyśpiesza zakupy.

TOMASZ PIĄTEK

Obraz wyrażeń

Podaj hasło, które zilustrował Mariusz Wilczyński

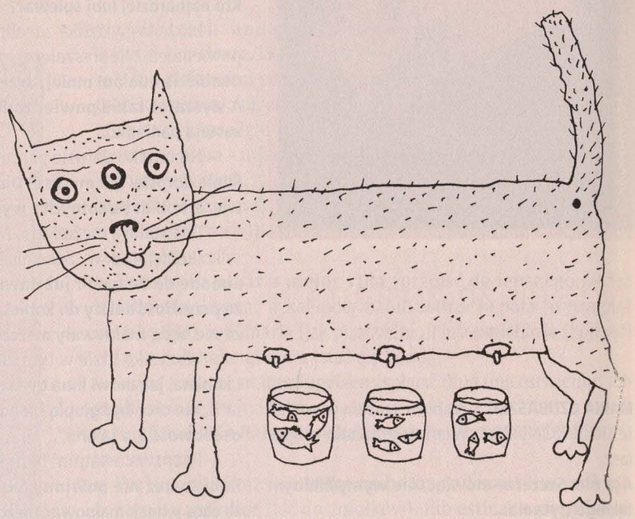

(za pod tzy po tzy)

WYTĘŻ WZROK...

...i znajdź 14 szczegółów, którymi różnią się te dwa

Problemy z myśleniem

Zaczęło się dość niewinnie. Rozpocząłem myślenie pod wpływem znajomych. Na różnego typu imprezach podsuwali myśl, która prowadziła do innej, ta z kolei do następnej, i ani się obejrzałem, a już byłem więcej niż okazjonalnym myślicielem.

Wkrótce okazało się, że do myślenia nie potrzebuję wcale towarzystwa. Coraz częściej myślałem w samotności. W duchu tłumaczyłem sobie, że robię to tylko dla relaksu. Myślenie przynosiło mi ulgę, stawało się coraz ważniejsze. W efekcie zrozumiałem, że myślę przez cały czas i, co gorsza, nie mogę bez tego żyć! Myślałem praktycznie już tylko o jednym: jak by tu pomyśleć?

Doszło do tego, że zacząłem myśleć w pracy. Wiedziałem, że na dłuższą metę praca i myślenie nie idą w parze, ale nie mogłem się opanować. Myślałem pokątnie, wykorzystując każdą przerwę. W porze drugiego śniadania miałem cały szereg przemyśleń. Koledzy w pracy odsunęli się ode mnie, bo z takim myślicielem jak ja nikt porządny nie jest w stanie wytrzymać.

Wkrótce zyskałem reputację nałogowego myśliciela. Na kilometr było widać, że ciągle myślę. Mój szef wezwał mnie i powiedział: „Bardzo cię lubię, ale jeśli nie przestaniesz w pracy myśleć, będziesz musiał znaleźć sobie inne zajęcie".

W domu myślenie też przyniosło mi same kłopoty. Pewnego wieczoru zapytałem żonę, jaki jest sens istnienia. Po moim pytaniu spędziła noc u swojej mamy. To dało mi wiele do myślenia. Postanowiłem z nią porozmawiać.

– Kochanie – zacząłem szczerze – co w tym złego, że myślę? To nie jest tak poważne, jak mogłoby się wydawać.

– Mylisz się – odpowiedziała, zagryzając wargi. – Ty myślisz już prawie tak często jak jakiś myśliciel, a spójrz, jak nędznie myśliciele żyją. Wykoleisz się i ty, jeśli będziesz dalej myślał. Dłużej już tego nie wytrzymam. Chcę rozwodu.

– Ty nic nie rozumiesz. Ja nie myślę dla samego myślenia.

Wziąłem urlop i pojechałem do Przemyśla, gdzie pogrążyłem się w myślach. Aż zobaczyłem na murze plakat Stowarzyszenia Anonimowych Myślicieli. Pytanie z afisza: „Przyjacielu, czy myślenie rujnuje ci życie?" było skierowane do mnie!

Od tego momentu nie opuściłem ani jednego ze spotkań Stowarzyszenia, podczas których mamy zajęcia z psychologii, gimnastykę, oglądamy jakiś bezmyślny hollywoodzki film, a potem dzielimy się doświadczeniami, w jaki sposób uniknęliśmy myślenia od czasu ostatniego spotkania.

No i udaje się. Dzięki temu wciąż mam pracę. A i w domu wszystkie sprawy lepiej się układają. Odkąd przestałem myśleć, życie wydaje mi się łatwiejsze i przyjemniejsze.

Rafał Bryndal

Za 1000 złotych można (na wesele)

• zaprosić 10 gości do restauracji (na przykład w Lublinie). Cena obejmuje zarówno wynajem sali, jak i jedzenie w wersji podstawowej (zimne przekąski, danie gorące, trzy napoje zimne, jeden gorący, lody) • wynająć jedną trzecią sali w hotelu pod Warszawą. Sala może zmieścić do 120 osób • wynająć kapelę z Rzeszowa w składzie: wodzirej, perkusista oraz śpiewający klawiszowiec. Wodzirej czuwa nad przebiegiem całej imprezy, prowadzi tradycyjne konkursy i zabawy. Oprócz opłaty mile widziane jest częstowanie zespołu • zamówić trzy występy po 30 minut fakira lub iluzjonisty • zlecić nakręcenie z całego ślubu oraz wesela fotoreportażu, który uwieczni najważniejsze momenty uroczystości, a dodatkowo może zawierać montaż zdjęć z dzieciństwa nowożeńców lub z miejsca, w którym się poznali • wynająć dwóch fotografów. Przez cały dzień będą towarzyszyć nowożeńcom. Uchwycą wszystkie ważne momenty, zrobią im do 250 zdjęć

SENNICZEK ŚCIŚLE JAWNY

Facecje opowiadać – znasz tylko kawały z brodą.

Fajkę pokoju palić – z braku własnej zapalniczki poprosisz o ogień człowieka o odmiennych poglądach politycznych.

Fali szum słyszeć – nie zasypiaj przy włączonym telewizorze, a jeśli wolisz to robić przy radiu, wybieraj stacje nadające przez całą dobę.

Faszerować się – odczuwasz pustkę wewnętrzną.

Figę jeść – jeśli świeżą, to wiesz co dobre, jeśli suszoną, to dobrze wiesz, gdzie żyjesz, jeśli z makiem, to świetnie wiesz, na co cię stać.

Fiskusa wykiwać – znajdziesz na ulicy złotówkę i nie wykażesz jej w zeznaniu.

Formularz wypełniać – jeśli sen okazał się męczący, spróbuj jadać kolacje wcześniej i mniej obfite.

Fortunę zbić – tylko zbić? Za to, że zawsze sprzyja innym, trza było zatłuc na śmierć. Mile widziane jest częstowanie gości.

Baraneusz Dobrodziewicz

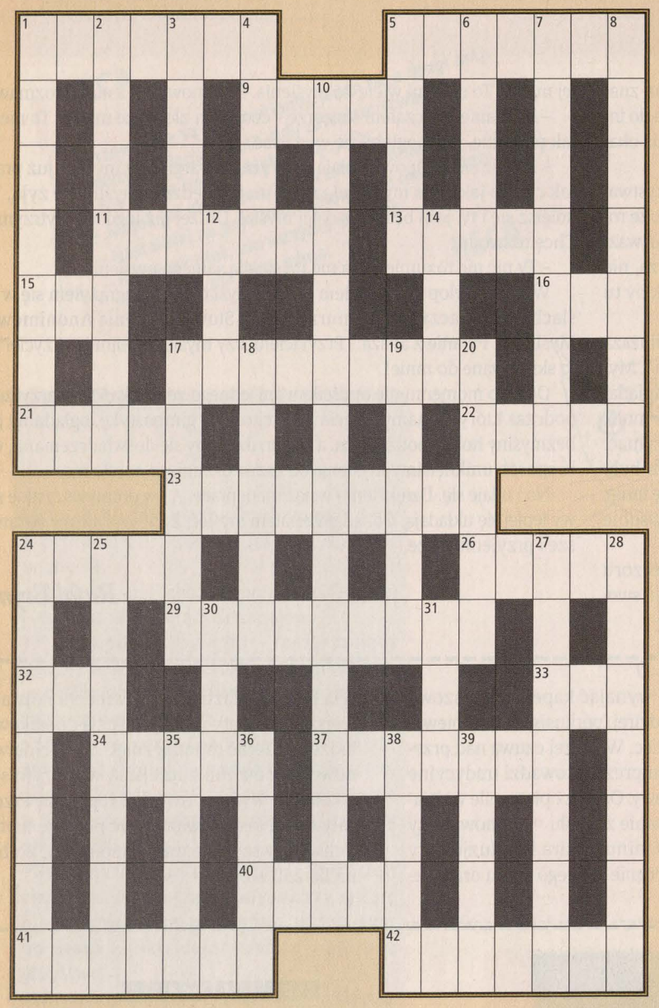

KRZYŻÓWKA nr 16

POZIOMO:

1 poważny, niestety, coraz rzadziej
5 łakoć na raz
9 stworzył postać geometry K.
11 najstarsze z siedmiu w Rzymie
13 na przykład z jagnięciny
15 statyści
16 w cwany sposób puentuje
17 tam przygotowują pracę szwaczkom
21 z nią nie ma dyskusji
22 El
23 progenitura
24 często lepszy tekst niż cały tekst
26 przyjaciel Tytusa i Wajdy
29 węglowe miasto w Kazachstanie
32 „Laleczka" Pruseczka
33 królewski zodiak
34 grzechu warta
37 perzowe korzenie
40 niedaleko lęku
41 niezły…
42 lepiej niż pokój

PIONOWO:

1 mienie
2 tam nie Małysz
3 koniec Europy
4 śląski brydż
5 2/3 bardzo
6 oliwka dla dzieci do użytku wewnętrznego
7 witamy rzodkiewki, pierwsze witaminy wiosny
8 czworonóg przy stole
10 przywidzenie
12 angielska powierzchniówka
14 ben Marabut
17 obowiązkowo na łódce
18 Andrus
19 Bumppo czyli Sokole Oko, jego niezdrobniałe imię
20 wydawca gazety
24 lekarski dmuchawiec
25 z gumowym kółkiem na koście
27 odmienny stan świadomości
28 nabożeństwo rozłożone na dziewięć dni
30 poza
31 wykopana trauma
35 początek kariery Nikodema
36 tropikalny szał
38 logo
39 nierzeczywistość

Rozwiązanie krzyżówki nr 14:

POZIOMO: 1. głowa 4. berek 7. zakąska 10. socha 11. kózka 12. piłka 15. Noe 17. racja 19. rodak 21. adamaszek 22. środa 24. pająk 27. oko 29. ogary 30. Erato 32. manna 33. Santana 34. klapa 35. klasa

PIONOWO: 1. gąsior 2. ojciec 3. Aza 4. bak 5. rozwód 6. kwasek 8. klin 9. sake 13. łopatka 14. radar 16. krepa 18. jad 20. Oka 22. świerk 23. oprawa 25. Joanna 26. kurara 27. ogon 28. orka 31. osa 32. mak

ODPOWIEDŹ ZA TYDZIEŃ

kwiecień 24 środa

Śmierć niewiernych

Pewnym państwem, tak naprawdę miasteczkiem, ale ponieważ to miasteczko było państwem, więc jednak pewnym państwem, rządziła królowa. Rządziła tylko kobietami, jako iż mężczyźni nie mieli w królestwie żadnych praw i byli tylko pożytecznym, a zarazem miłym, dodatkiem do życia.

Pewnego razu królowa zaprosiła zamężne kobiety do swego pałacu. Przyszły wszystkie. Królowa powiedziała:

„Rozpuścili się ci wasi mężczyźni. Wiem, że co najmniej jedna z was jest zdradzana. Wiem również, że każda z was wie dokładnie, co do sztuki, który mąż jest niewierny, a który nie, poza własnym mężem, o którym nie wie, czy jest wierny, czy nie. Po tym spotkaniu pójdziecie do swoich domów, nie będziecie się ze sobą kontaktować i nie będziecie wymieniać żadnych informacji o wierności czy też niewierności waszych mężów. Jeśli któraś z was nabierze pewności, że jest zdradzana, to zastrzeli swojego męża o północy tego dnia, w którym nabrała tej pewności".

Kobiety – niekoniecznie wierne swoim mężom, jednak wierne swojej królowej – uczyniły, jak kazała. A ponieważ wszystkie były gruntownie wykształcone, zwłaszcza w zakresie logiki, więc nie miały żadnych kłopotów z prawidłowym myśleniem.

Pierwszego dnia w miasteczku-państwie panowała cisza. Drugiego również. Trzeciego dnia o północy rozległy się strzały.

Ilu niewiernych mężów zastrzelono?

ODPOWIEDŹ SPRZED TYGODNIA

CZYSTY CZAS – rozwiązanie

Wychodząc od siebie, pan Zenek nakręcił zegar, ustawiając go na jakąś dowolną godzinę. I musiał tę godzinę zapamiętać lub zapisać. Kiedy zobaczył, jaki jest dokładnie czas na zegarze sąsiada, to po odjęciu od tego czasu 45 minut wiedział, jaką godzinę powinien wskazywać w chwili wyjścia pana Zenka z domu jego zegar, gdyby był dobrze nastawiony. Pamiętając godzinę, na jaką nastawił swój zegar, z łatwością mógł obliczyć poprawkę.

Jeśli więc zegar pana Zenka z chwilą jego wyjścia z domu wskazywał czas A, a zegar sąsiada, w chwili kiedy dotarł tam pan Zenek, wskazywał czas B, to pan Zenek po powrocie do domu powinien przesunąć swój zegar o różnicę czasu równą: B – 45 min – A.

JOLKA nr 16

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Po wypełnieniu należy rozszyfrować następujące hasło:

H6 – F15 – L2 – J1 – A6 – K14 /, G9 – I14 – D1 – B8 – Ł14 / D10 – J3 – A7 – Ł13 – C12 – B3 – D13 – L4 – Ł11 – I9 / A5 – L15 / C14 – F8 – H2 – L7 – G4 – L11 / A1 – L9 – I12 – F13 – G7 / K11 – E14 – A3 – C2 – E8 – I2.

Wyrazy 9-literowe:
• z brzydulą w repertuarze Marii Koterbskiej • emaliowane utrzymanie • zamiast dorobku ma tremę • ach, może nie? ależ proszę, może choć odrobinkę • na uchu rysia pięknisia

Wyrazy 7-literowe:
• żabie nie przysługuje • niejadalne posiłki • zachęca do przebaczenia • ma krechę u ortodoksa • pierwszy lub wymierający • śpiący pieszy • do zdania • ary z miotaczem • czytanka pełna dag

Wyrazy 6-literowe:
• sylabę napuszy • co koń wyskoczy to to nie jest

Wyrazy 5-literowe:
• ujada chórem • pełne ręce zachwytu • alternatywa dla kleiku • krecia robota • chmurka dymu • metafora mentora • za miasto lub do kina • metal na rybkę • czar krasawicy • godzinnikowi harówą, sekundnikowi pestką

Wyrazy 4-literowe:
• wdzianko z wędzidłem • czytanka pełna dag i zł • kwietniowa kapryśnica • władca w bogatym zawoju • himalajski śladorób • jazda z taksometrem

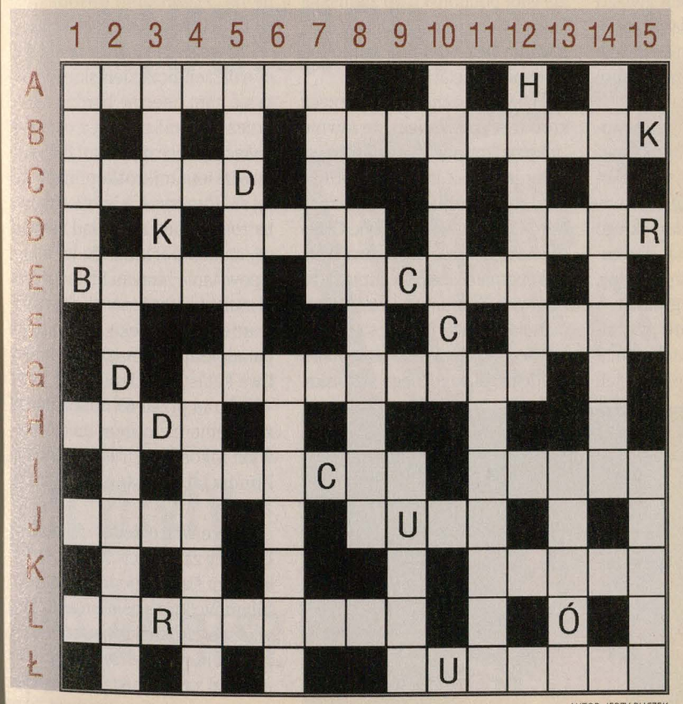

AUTOR: JERZY BUCZEK

Rozwiązanie jolki nr 14: BAZYLISZKOWE SPOJRZENIE

Rzędami: śpiew, melancholik, Końskie, binokle, duchy, najeźdźca, mysz, dech, skoki, jeżyk, oracz, kleń, laik, sekretarz, uszko, kudełki, podstęp, nieśmiałość, renta.

Kolumnami: silikon, prozaik, osiedle, wskaźnik, tłum, miedź, jezuita, uczeń, lanca, szkło, dymek, nabytek, kopeć, Hans, Holender, lektyka, chrząst, kleszcz.

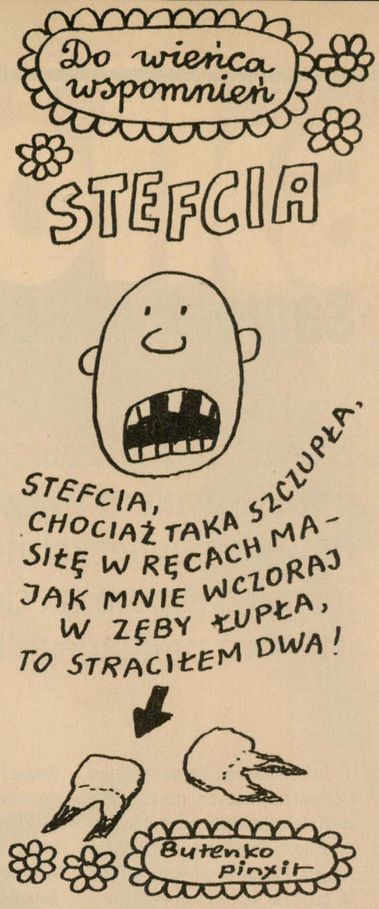

Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 28 kwietnia (decyduje data stempla pocztowego) nadeślą poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy po pięć egzemplarzy **„Wykładów o literaturze" Vladimira Nabokova** i **„Kroniki zapowiedzianej śmierci" Gabriela Garcii Marqueza** (wydawnictwo MUZA).

Nasz adres: **„Przekrój", ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa,** z dopiskiem **Jolka 16** lub **Krzyżówka 16.**

Uwaga! Listę laureatów jolki i krzyżówki nr 12 opublikujemy w numerze 17/18.

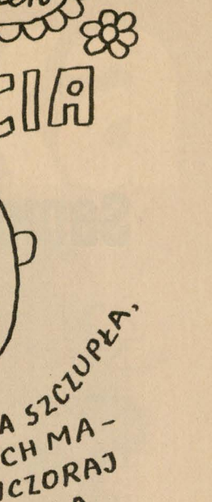

WYTĘŻ WZROK
rozwiązanie ze stron 70.–71.

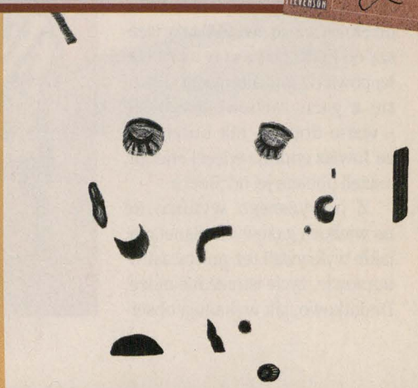

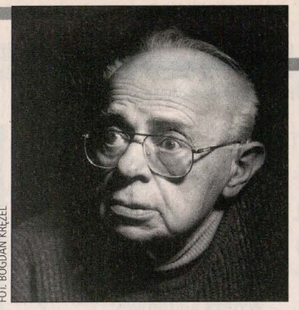

FOT. BOGDAN KRĘŻEL

Samotni w kosmosie

Nasze ciało niebieskie wraz z życiem buszującym na jego powierzchni jest wyjątkiem na tle martwo pałającego kosmosu

Już od szeregu lat prasa donosi o coraz częstszych, powtarzających się odkryciach systemów planetarnych wokół gwiazd spoza naszego Układu Słonecznego. W gruncie rzeczy takiej planety okrążającej obce Słońce nie można zobaczyć bezpośrednio, nawet za pomocą najpotężniejszych instrumentów astronomicznych. Dostrzegalne są jedynie subtelne przesunięcia prążków widmowych światła samego obcego słońca dające się zaobserwować dlatego, że domniemana planeta oddziałuje grawitacyjnie, a więc w sposób dostrzegalny, na gwiazdę macierzystą. Katalogi rejestrują niemal setkę wykrytych do tej pory tym sposobem planet. Wszystkie one są jednak olbrzymami gazowymi podobnymi do naszego Jowisza, większość zaś nawet posiada jeszcze większe od niego rozmiary. Jowisz, największa planeta Układu Słonecznego, jest 300 razy cięższy od Ziemi i nie ma w ogóle stałej powierzchni, albowiem składa się z gazu zachowującego się – warto dodać – tak burzliwie, że Jowisz emituje więcej energii, aniżeli pobiera jej od Słońca.

Z powyższego wynika, że na wielkich gazowych planetach, jakie wykrywali też polscy astronomowie, życie istnieć nie może. Dodatkowo, jak wykazują obserwacje i symulacje, takie planety powstające wokół swych gwiazd najczęściej nie poruszają się na orbitach kołowych. Jedynie właśnie kołowe orbity nie zagrażają spokojnemu krążeniu wewnętrznych planet typu ziemskiego. Natomiast olbrzym krążący po nieregularnej orbicie – mając dalekosiężne pole grawitacyjne, albo wytrąca globy typu ziemskiego w przestrzeń kosmiczną, albo zostają one rzucone, niejako utopione, w pożarze macierzystej gwiazdy.

Statystyka wykazuje, że olbrzymów gazowych zachowujących się tak nieszkodliwie jak nasz Jowisz jest wyraźnie znacznie mniej aniżeli cyrkulujących dość bezładnie. Ze względu na to obecne odkrycia planetologii nie mogą zaspokoić apetytu na odnalezienie planet zdolnych utworzyć, jak Ziemia, biosferę. A ponieważ wiemy, że prawie cztery miliardy lat istnienia ziemskiej biosfery zaowocowało powstaniem gatunków, których ukoronowaniem stał się człowiek dopiero kilkaset tysięcy lat temu, jednym z naczelnych warunków powstania istot podobnych do ziemskiej fauny i flory jest kosmiczny czas trwania bez wielkich zakłóceń systemu planetarnego.

Inaczej można wyrazić rzecz krótkim orzeczeniem, że równie „uporządkowane" planetarne systemy jak nasz muszą stanowić bardzo skromną mniejszość wśród wszystkich galaktyk. Orzeczenie to narusza tak zwaną zasadę kopernikańską przyjmującą, że zarówno Ziemia wraz z innymi planetami, jak i Słońce są najzupełniej przeciętnymi elementami każdego galaktycznego skupiska.

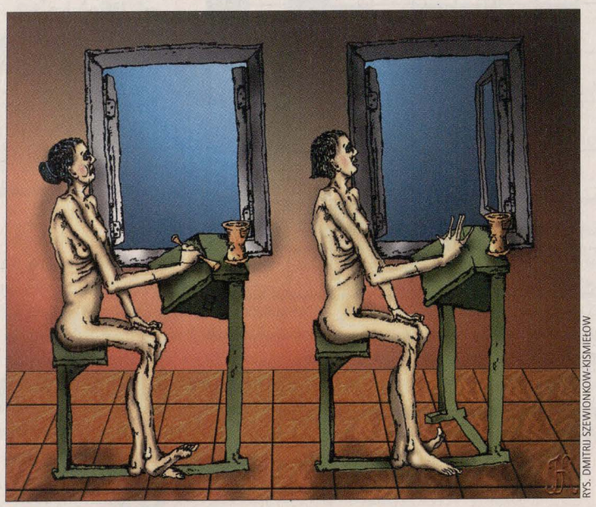

RYS. DMITRU SZEWIONKOW-KISMIELOW

Zresztą nie tylko regularne, cyrkularne orbity oraz ich wzajemne odległości stanowią o możliwościach biogenezy w układzie. Wydaje się bardzo prawdopodobne, że zawartość metalicznych pierwiastków w Słońcu także nie odpowiada uśrednieniu pomiędzy miliardami gwiazd. Wyniki obserwacji, symulacji oraz rozumowań zdają się zatem wskazywać na to, że nasze ciało niebieskie wraz z życiem buszującym na jego powierzchni jest wyjątkiem i tym samym zjawiskiem osobliwym na tle martwo pałającego kosmosu.

Tak zatem szanse wykrycia cywilizacji pozaziemskiej wydają się nam obecnie bardzo nikłe. Przez trzy miliardy lat z okładem wyłącznie oceany Ziemi były środowiskiem mikroskopijnych żyjątek. Pierwsze wielotkankowe ustroje dostały się na ląd nie więcej aniżeli pół miliarda lat temu, a powstanie humanoidalnej odnogi ssaków zwieńczonej ukształtowaniem człowieka rozumnego paradoksalnie umożliwiła straszliwa katastrofa ziemskiego życia – ta, która przed 65 milionami lat zderzeniem z ciałem meteorytowym zakończyła trwającą 140 milionów lat erę panowania dinozaurów.

Może warto dodać, że podług badaczy zajmujących się poszukiwaniem śladów podobnych kataklizmów, które uśmiercały życie większości gatunków, nasz własny gatunek, czyli *Homo sapiens*, uchodzi za kolejnego potencjalnego sprawcę zoocydu, ponieważ stworzona przez człowieka cywilizacja w niezwykle szybkim tempie likwiduje kolejne odmiany roślin i zwierząt.

STANISŁAW LEM
4 kwietnia 2002

TYGODNIK

przyjaciółka

z płytą
już od 18 kwietnia
w kioskach.

Natalia Kukulska
śpiewa przeboje swojej mamy
Anny Jantar

Wiele słonecznych dni
Gorących uczuć
życzą Przyjaciółki
Natalia Kukulska

przyjaciółka

Kupując „Przyjaciółkę" z płytą wspierasz leczenie dzieci z domów dziecka.

fundacja przyjaciółka

ej płyty
nie kupisz
w sklepie.
Dostaniesz ją od Przyjaciółki.

SZKOLNY BŁĄD

Pisząc o wymianie nawierzchni na krakowskim Rynku, „Dziennik Polski" w numerze 64. informuje:

„Żółte przeszkolone kabiny nie przystają do zabytkowego wnętrza Rynku Głównego".

Szkolił szklarz, a redakcja wcisnęła kit.

(Nadesłał Stanisław Nowak z Krakowa)

PROSIMY O ODPOWIEDŹ

Jaki jest synonim słowa „synonim"?

BRAKUJE DOBY

„Głos Wielkopolski" z 8 marca z dumą informuje, iż bibliotece w Łowyniu nie brakuje czytelników. Powód?

„W okresie zimowym (...) książka była najlepszym sposobem na spędzenie długich popołudniowych wieczorów".

Oby tylko klienci łowyńskiej biblioteki nie czytali do późna w wieczorną noc, bo nie wstaną w przedpołudniowy ranek.

(Nadesłał Bernard Falkowski z Międzychodu)

HE!

– Mężczyzna zapytany przez pielęgniarkę przed zrobieniem zastrzyku, który pośladek wybiera, najchętniej odpowiedziałby: „Pani".

PRZEMYSŁAW BORKOWSKI

Słusznie, panie ministrze

Raz pewien minister
(i to nie są żarty)
postanowił zlikwidować
teatry.

Bo obliczył dokładnie
(chociaż jak to zrobił, nie wiem),
że wystarczą dwa w Warszawie
i w Krakowie jeden.

Słusznie, panie ministrze!
Zgadzam się z panem w zupełności!
Sztuka nie jest potrzebna
szeroko pojętej ludzkości.

A już zwłaszcza w takim,
za przeproszeniem, Olsztynie
bez teatru nikt chyba
nie zginie.

Mają przecież tam lasy,
jeziora pełne rybów *,
niechaj chodzą po lesie,
niech szukają grzybów.

Bo już Stalin powiedział
(a on nie był głupi):
„Praca w lesie jest zdrowsza
od sztuki".

* archaizm, w zasadzie powinno być „ryb"

JAJA NATURLIŚ

W dzisiejszych czasach najlepiej mają poligloci. Oto jak modelowy egzemplarz gatunku zachwala kawalerkę, którą pragnie wynająć („Gazeta Wyborcza" z 30 stycznia):

„...ewentualna pomoc one speak english, man spricht deutch tylko bezpośrednio...".

No siur, że bezpośrednio! Kajne tłumacz niepotrzebny.

(Nadesłał Cz. Dróżnik z Warszawy)

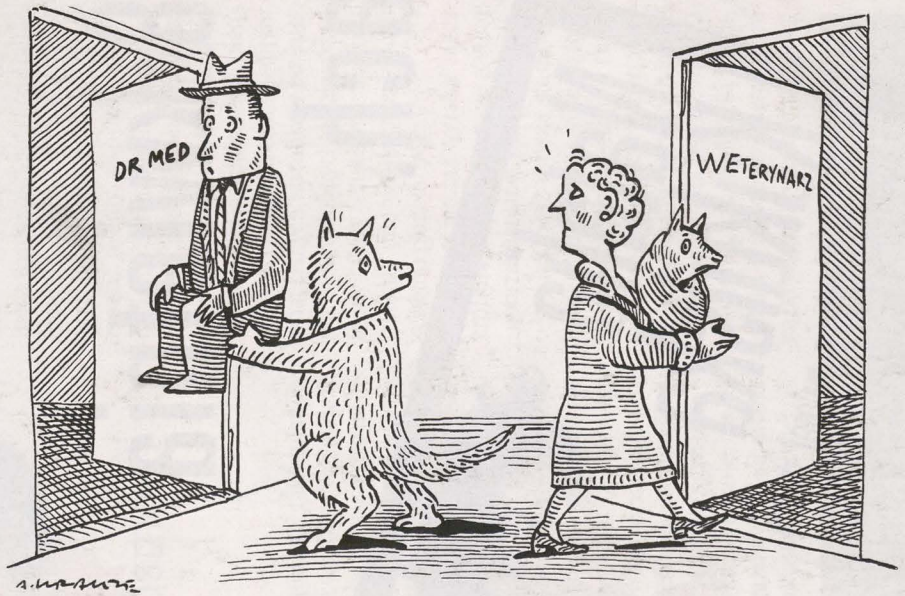

Rys. Andrzej Krauze

FILUTEK

Rys. Zbigniew Lengren

HUMOR ZESZYTÓW SZKOLNYCH

Moim ulubionym politykiem jest Adam Małysz.

Arabi to rumaki szlachetnej rasy.

Dynastia Piastów skończyła się na Jagiellonach.

Pan Tadeusz był pseudonimem Adama Mickiewicza.

Jedną z atrakcji Nałęczowa jest pomnik ku czci ofiar zarazy.

W lesie zwierzęta zachowują się bardzo naturalnie.

Aleksander Wielki przeciął mieczem węzeł gwardyjski związany przez króla Frygii.

Sowa to ptak, który tylko nocą wychodzi na światło dzienne.

MÓWIĄ WIEKI

Chińska parasolka w wieku 6 lat służyła do szpanowania wśród koleżanek.

(Nadesłała Urszula Szubert z Zawiercia)

KINOTEATRZYK P. JURKA

„Shrek"

Występują:

JERZY STUHR
ANIMACJA KOMPUTEROWA
LICZNE ODNIESIENIA DO INNYCH FILMÓW
PRZESŁANIE

JERZY STUHR
(nie pozwala o sobie zapomnieć)
ANIMACJA KOMPUTEROWA
(jest wręcz olśniewająca, kolejna znakomita rola w tym sezonie)
LICZNE ODNIESIENIA
(wyłapywane przez widzów dowartościowują ich intelektualnie)
PRZESŁANIE
(jest politycznie poprawne)

KURTYNA/THE END

Printed in Poland